tygodnikprzegląd.pl

Przegląd

Nr 5 (1151)
24-30.01.2022
Cena 7,50 zł
(w tym 8% VAT)

PAWEŁ SIERGIEJCZYK
PROPAGANDA IPN TRZYMA SIĘ MOCNO

TELEFON ZAUFANIA (116 111)
JESZCZE BARDZIEJ POTRZEBNY

LEWE INTERESY AGENTA TOMKA

KROSNO ODRZAŃSKIE WSTYDZI SIĘ MEJZY

ROZUM POSZEDŁ W SINĄ DAL

Rozmowa z Olgą Lipińską

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299
ISSN 1509-3115
9 771509 311201 05

KSIĄŻKI W KONTRZE DO IPN

Biblioteka PRZEGLĄDU

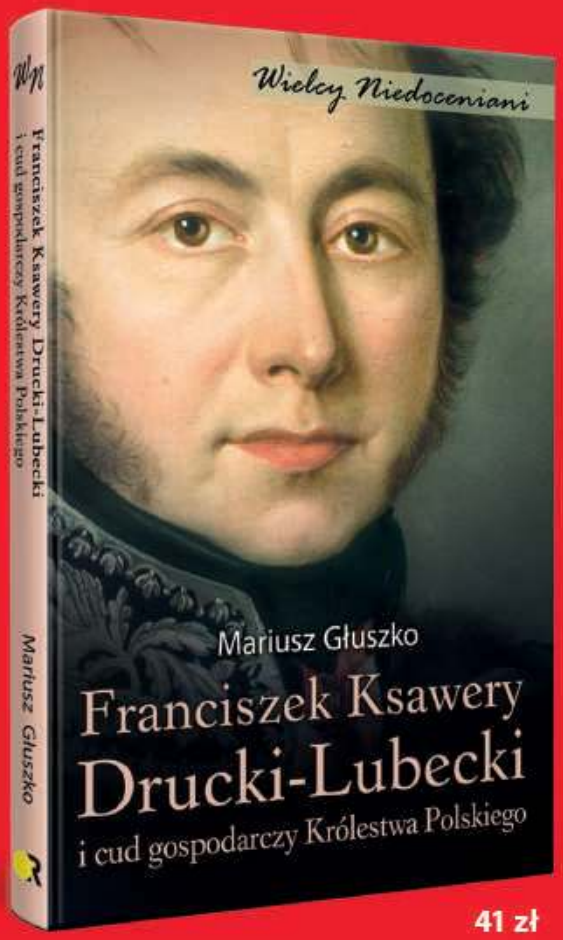

41 zł

51 zł

WYBITNI UCZENI I WAŻNE KSIĄŻKI

Kupuj, czytaj, poleć znajomym!

sklep.tygodnikprzeglad.pl

Wpłaty prosimy dokonywać na konto:
72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7.
W cenę wliczony jest koszt wysyłki nierejestrowanej Pocztą Polską.
Istnieje możliwość wysyłki poleconej priorytetowej +10,00 zł,
Orlen Paczka +6,99 zł, paczkomat InPost +11,90 zł
lub dostawa kurierem InPost +14,90 zł.

Jerzy Domański

Jedna lista, jeden wódz

Łączmy się. Słyszę to na okrągło od polityków Platformy Obywatelskiej i powiązanych z nią mediów. Zbudujmy front jedności narodu. Tego narodu, który PO-PiS tak skutecznie podzielił i skłócił. Tak bardzo, że gdy prawicowi politycy mówią teraz o narodzie, to myślą tylko o tych, którzy ich popierają. Reszta, czyli miliony Polaków, to dla nich jakaś podejrzana magma, której nie rozumieją i nie chcą rozumieć. A najchętniej wepchnęliby tych ludzi do czarnej dziury. Byle ich nie oglądać. I nie słuchać.

Na szczęście tego nie da się zrobić. Trzeba będzie żyć z takim społeczeństwem, jakie realnie mamy. Co i komu miałaby dać jedna, wspólna lista całej opozycji w wyborach parlamentarnych? Komu miałaby pomóc i w czym?

Tylko ktoś bezbrzeżnie naiwny albo fan Tuska może wierzyć, że sklecona w wielkich bólach wspólna lista opozycji może być cudowną receptą na pogonienie PiS. W gabinetach polityków i redakcjach można pisać takie scenariusze, przy których baśnie z tysiąca i jednej nocy są prawie dokumentami. Ale w realnym życiu to tylko chciejstwo. Opozycja jest wielobarwna i w wielu konkretnych sprawach bardzo się różni. Łączy ją krytyczny stosunek do polityki PiS, choć nie u wszystkich jest to obraz czarno-biały, i poparcie dla integracji z Unią Europejską. Choć i tu również nie brakuje akcentów krytycznych.

Politycy opozycji wiedzą, że głównym, jeśli nie jedynym, beneficjentem wspólnej listy będzie Koalicja Obywatelska, czyli Donald Tusk. To, że politycy PO marzą o powrocie do władzy i dla naszego dobra chcą się znowu męczyć na stanowiskach rządowych, jest dla mnie zrozumiałe. Skoro przez sześć lat nie znaleźli sobie pożytecznego i dobrze płatnego zajęcia, to powrót do władzy jest kuszącą perspektywą. Ale tak jak oni bardzo chcą, tak większość wyborców bardzo nie chce, by znowu było, jak było.

Dla polityków PO czasy ich rządów były piękne. Byli ważni, dysponowali budżetem państwa, a ich decyzje wpływały na kształt państwa. Znacznie gorzej, a często całkiem marnie, pamiętają te czasy rządzeni. Wielu uważa, że gdyby nie długa lista błędów, nie byłoby rządów PiS. A przynajmniej nie byłyby aż tak długie.

Tusk za przeciwnika na opozycji wybrał sobie najsłabsze ogniwo, czyli Nową Lewicę Czarzastego i Biedronia. Dlaczego akurat ich? Bo ma już w partii i koalicji wielu byłych członków SLD. A w kolejce czekają następni. Selekcja kadrowa w Nowej Lewicy nie ma końca. Każdy, kto może zagrozić dwugłowej władzy, będzie wyeliminowany. Tusk przygarnie, kogo zechce, bo walczy o elektorat lewicowy. Nie jest w stanie przekonać do siebie wyborców PiS, ale lewicowych może. I próbuje. Paprotki z rodowodem lewicowym już u siebie ma.

BĄKOWSKI

KOLPORTER

Drogi Czytelniku,
jeśli masz problem
z zakupem „Przeglądu",
skorzystaj z wirtualnej
mapy Kolportera
z zaznaczonymi salonikami
prasowymi zlokalizowanymi
w większych miastach w Polsce.

www.kolporter.com.pl/mapa_saloniki.php

Sprawdź, gdzie masz najbliżej.
Szczegółowe informacje
tel. (22) 635 84 10 wew.118

eprasa.pl cd394828f6

W NUMERZE

KRAJ

8 **Jesteśmy nieznośnym bachorem Europy**
– rozmowa z Olgą Lipińską

12 **Zatracił się i pogubił**
Krosno Odrzańskie przeprasza za Mejzę

15 **Oskarżony agent Tomek**
Z ław sejmowych na ławę oskarżonych

18 **Numer największego zaufania**
– rozmowa z Paulą Włodarczyk

24 **Testament i zielony parapet**
Każdy ma swój sposób na pandemię

28 **Opiekuj się sobą jak dzieckiem**
– rozmowa z Katarzyną Kucewicz

ZDROWIE

22 **Jak leczyć covid, by pacjenci nie umierali?**
Respirator to ostateczność

ZAGRANICA

30 **Premier bez precedensu**
Kłopotliwy Boris Johnson

34 **Zjednoczone stany strachu**
Atak na demokrację w USA nastąpi

38 **Moralne zobowiązanie**
Jak Niemcy wspierają militarnie Izrael

40 **Mięsna Hiszpania**
Minister krytykuje wielkie farmy

58 **Śmierć za drewno**
Krwawa wycinka w Amazonii

HISTORIA

42 **Świece nad socjalistką**
Pogrzeb w KL Auschwitz

OPINIE

44 **Paweł Siergiejczyk**
Historia bez zaciśniętych zębów

KULTURA

48 **Wiele rzeczy jednocześnie**
– rozmowa z Krystyną Róż-Pasek

51 **Qulturalia**

66 **Rafał Olbiński w Pekinie**
9. Biennale Sztuki „Duch Europy"

ZWIERZĘTA

52 **Łyżka dziegciu w beczce miodu**
Zagrożone dzikie zapylacze

OBSERWACJE

56 **Bałkańskie kilometry narciarskich rozkoszy**
Nowe trasy dla zapaleńców

FELIETONY I KOMENTARZE

3 **Jerzy Domański**
Jedna lista, jeden wódz

21 **Jan Widacki**
18 stycznia w Krakowie

33 **Andrzej Szahaj**
Pochwała związków zawodowych

37 **Tomasz Jastrun**
Ale burdel!

47 **Agnieszka Wolny-Hamkało**
Światowe życie patocelebrytów

55 **Wojciech Kuczok**
Czarny tulipan

18
KRAJ

NUMER NAJWIĘKSZEGO ZAUFANIA
– rozmowa z Paulą Włodarczyk

34
ZAGRANICA

ZJEDNOCZONE STANY STRACHU
Atak na demokrację w USA nastąpi

52
ZWIERZĘTA

ŁYŻKA DZIEGCIU W BECZCE MIODU
Zagrożone dzikie zapylacze

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. JAN BOGACZ/TVP/PAP

eprasa.pl cd394828f6

Jednak wyzwolenie

Plany Hitlera wobec Polaków są znane: większość wytępić, resztę zmienić na bydło robocze. Realizacja była w toku. Armia Czerwona nie wyzwoliła Polski i Polaków, ona ich OCALIŁA. Owszem, w ówczesnej konstelacji politycznej ocalenie równało się podległość, co nie zmienia faktu, że naród polski istnieje do dziś, może odgrywać oświetlony blaskiem rac teatrzyk jedności 11 listopada, uprawiać piractwo drogowe, pijaństwo, megalomanię narodową, grzęznąć w zawiści, wzajemnej wrogości oraz pobierać 500+ dzięki zwycięstwu ZSRR nad niemieckim faszyzmem. I żaden IPN ani inni spece od historycznych machlojek tego nie zmienią. Kto nie odróżnia lat 1939-1945 od lat 1945-1989, kto nie widzi różnicy między okresem, gdy 6 mln Polaków straciło życie, a tym, gdy 15 mln się urodziło, mogło żyć w pokoju, uczyć się, pracować, między zburzeniem stolicy a jej odbudową, między dewastacją gospodarki i infrastruktury a budową tysięcy nowych zakładów, szkół, szpitali itd., jest osobnikiem zamroczonym obłąkaną polityką historyczną. Natomiast ci, którzy organizują ów haniebny proceder czy choćby przyklaskują burzeniu pomników poświęconych ludziom, którzy ocalili ich babki, dziadków, matki i ojców, wystawiają sobie świadectwo moralnej karłowatości, podłości i wyjątkowej nikczemności.

Michał Czarnowski

•

Przed Grobem Nieznanego Żołnierza i na Cmentarzu Mauzoleum Żołnierzy Radzieckich w Warszawie odbyły się uroczystości z okazji przypadającej 17 stycznia 77. rocznicy wyzwolenia Warszawy spod okupacji niemieckiej. Miałem zaszczyt brać w nich udział. Nie pojawił się na nich ani jeden przedstawiciel władz państwowych, ani jeden przedstawiciel władz Warszawy. Nie było polityków PiS ani PO. Czy oznacza to, że wolą sytuację sprzed wyzwolenia?

Łukasz Marcin Jastrzębski

Mażcie po murach, nie gwałćcie dzieci

A w jaki sposób wymalowanie kościelnego muru zwiększa bezpieczeństwo tych dzieci? Skutek tego bohomaza na zabytkowym budynku jest wręcz odwrotny do zamierzonego. Takie działania wzmacniają stronę kościelną, która teraz może mówić, że jest „prześladowana, szykanowana, domaga się ochrony, zwiększenia środków itd.". A szkody i tak zostaną pokryte z naszych kieszeni, a nie z kieszeni proboszcza.

Mariusz Zinek

•

Mazanie po kościelnych murach to zwykły wandalizm, za który trzeba karać. I nie ma żadnego znaczenia, że to świątynia katolicka. To samo powinno dotyczyć fasad budynków prywatnych, szkół czy urzędów. PRZEGLĄD zamiast skupiać się na kwestiach ekonomiczno-socjalnych, prawdziwie lewicowych, uderza w wulgarny, liberalny antyklerykalizm, licząc na to, że zostanie zaproszony na salony liberalnych mediów.

Mateusz Cichocki

•

Ma znaczenie, że to Kościół w obecnym klimacie społeczno-politycznym. I trzeba być naprawdę głupim, żeby sprowadzać to do „wulgarnego, liberalnego antyklerykalizmu". I usilnie nie dostrzegać nieadekwatności środków wytoczonych przez państwo do „zbrodni".

Monika Hendrickson

ZDJĘCIE TYGODNIA

Tysiące wyznawców prawosławia zanurzyło się w stawach i rzekach, by dokonać oczyszczenia podczas święta Objawienia Pańskiego, Sankt Petersburg, 19 stycznia 2022 r.

FOT. AP/EAST NEWS

eprasa.pl cd394828f6

2 mld zł wydali Polacy w ramach Polskiego Bonu Turystycznego.

Paszporty „Polityki" otrzymali m.in. reżyserka Aleksandra Terpińska, kompozytor Dominik Strycharski, pisarz Łukasz Barys, autorka muzyki filmowej i teatralnej Teoniki Rożynek i muzyk Ralph Kaminski. Nagrodę Kreatora Kultury przyznano Katarzynie Nosowskiej.

Polski Komitet Olimpijski przy wsparciu ambasady Chin w Warszawie dostał zgodę na bezpośredni lot na olimpiadę do Pekina. Dreamliner PLL LOT z kadrą i mediami na pokładzie odleci 26 stycznia.

W Ustroniu Morskim (woj. zachodniopomorskie) zaszczepiło się przeciw COVID-19 ponad 75% mieszkańców. Gmina jest liderem w Polsce. W konkursach organizowanych przez rząd otrzymała 2,2 mln zł.

W rankingu liceów „Perspektywy 2022" wygrało LO im. Stanisława Staszica w Warszawie, wyprzedzając Uniwersyteckie LO z Torunia, XIII LO ze Szczecina, LO im. Augusta Witkowskiego z Krakowa i LO im. Marynarki Wojennej RP z Gdyni.

„Szczepienie" i „granica" to zdaniem kapituły językoznawców Słowa Roku 2021. Według internautów Słowem Roku jest „szczepienie".

Zbiory kukurydzy były w Polsce, w tym roku rekordowe i wyniosły 7,3 mln ton. Zebrano je z 1,7 mln ha.

Prokuratura Okręgowa w Warszawie umorzyła postępowanie w sprawie słów posła Konfederacji Grzegorza Brauna skierowanych do ministra zdrowia Adama Niedzielskiego „Będziesz pan wisiał". Ministerstwo Zdrowia zaskarżyło tę decyzję.

Około 6,2 mld zł rocznie zarabiają Google i Facebook na danych polskich użytkowników internetu.

Michał Dworczyk (PiS) stał się kronikarzem wpadek władzy, a wycieki z jego skrzynki mejlowej to gotowy materiał dla prokuratury. Kiedyś. Choćby w sprawie zorganizowania hejtu na strajki nauczycieli i prezesa ZNP Sławomira Broniarza.

Aleksander Stępkowski, powiązany z Ordo Iuris, po raz drugi został odrzucony przez komisję ds. wyboru sędziów Europejskiego Trybunału Praw Człowieka w Strasburgu. Odrzucono też kandydatury Elżbiety Karskiej i Agnieszki Szklannej.

Ks. Daniel Galus ze Wspólnoty Miłości i Miłosierdzia Jezusa mającej siedzibę we wsi Czatachowa prowadzi z ambony kampanię antyszczepionkową „Covidianizm to jest niebezpieczna herezja". Interweniuje Watykan, a diecezja częstochowska ogłosiła, że ks. Galus działa „bez wiedzy i zgody biskupa".

PRZEBŁYSKI

Standardy wedle Lisickiego

Media dojnej zmiany kipią od moralnego wzmożenia. Non stop pouczają, piętnują i wskazują drogę do najprawdziwszej prawdy. Najwyżej sztandar nieskazitelnej moralności niesie ekipa tygodnika Pawła Lisickiego „Do Rzeczy". Ale czegoś na nim brakuje. Informacji, jak skubać nienależną kasę. Choćby od Ziobry. Z Funduszu Sprawiedliwości. Może czegoś nie wiemy, ale Lisicki nie wygląda na ofiarę przestępstw. Ale na cwanego biznesmena już tak. Wie, gdzie są pieniążki. Wystarczało założyć fundację Strażnik Pamięci i zostać jej prezesem, a na wice powołać Katarzynę Annę Gintrowską-Lisiecką, żonę wydawcy „Wprost" i „Do Rzeczy". Tego, co go zamknęli w marcu 2019 r. i oskarżyli o przestępstwa skarbowe, udział w zorganizowanej grupie przestępczej i takie tam. Strażnik Pamięci Lisickiego dostał od Ziobry 1,3 mln zł. Kasa poszła na kuriozalne wkładeczki do jego tygodnika. Zdaniem NIK wydano ją „niecelowo i niegospodarnie". Morał: gdy dojna zmiana mówi o moralności, trzeba pilnować portfeli.

Odpust za Koronkę

Twórcy bałaganu przewrotnie nazwanego Polski Ład zacisnęli zęby i przeprosili za, jak to nazwali, „niedogodności". To nie jest śmieszne. Niedogodność to Morawiecki miał, gdy przepisywał majątek na żonę. Nie było łatwo poukrywać tyle kasy. A Polski Ład to katastrofa zagrażająca bytowi wielu ludzi. Trudno to będzie naprawić. Zostaje odmawianie Koronki do miłosierdzia Bożego. Gwarantuje odpust zupełny. Ale tylko tym, którzy mają „duszę całkowicie wolną od przywiązywania do jakiegokolwiek grzechu". Trzeba też uważać na fałszywki. Obowiązuje tekst, który św. Faustynie podyktował osobiście Pan Jezus w Wilnie w 1935 r. Rękopis jest w krakowskim klasztorze. I czeka na wizytę twórców Polskiego Ładu.

Głos z dziury

Jeśli po związkowcach z NSZZ Solidarność nie spodziewacie się niczego dobrego, to jesteście realistami. Modelowym reprezentantem tego gatunku jest Wojciech Ilnicki, przewodniczący Solidarności w Kopalni Węgla Brunatnego Turów. Elegancki jak pyły węglowe. Chwilowego ambasadora w Pradze Mirosława Jasińskiego nazywa w „Naszym Dzienniku" kłamcą, skandalistą i szkodnikiem. Dla niego TSUE to „trybunał niesprawiedliwości i kumoterstwa". A porozumienie z Czechami jest na wyciągnięcie ręki. O tej ręce słyszymy już od paru miesięcy. I ciągle nic. Skoro ręka jest za krótka, to kieszeń na kasę, by zapłacić karę, musimy mieć głęboką. Bardzo głęboką. Jak dziura po węglu w Turowie.

FOT. YOUTUBE (2), WIKIPEDIA

eprasa.pl cd394828f6

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI

mleczko.pl

sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Jak Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy zmieniła Polskę?

DR JACEK KUCHARCZYK,
socjolog, Instytut Spraw Publicznych

WOŚP to ogromnie ważna akcja nie tylko zakupu sprzętu medycznego, ale także edukowania społeczeństwa, że trzeba sobie nawzajem pomagać oraz że dawanie pieniędzy organizacjom pozarządowym ma sens. Pozwala ona przezwyciężać bariery istniejące w sporej części społeczeństwa, która niechętnie patrzy na dzielenie się. Orkiestra wręcz tworzy modę na solidarność i działalność społeczną. WOŚP zmieniła także nasze postrzeganie samych siebie. Wielu hierarchów kościelnych i chyba część społeczeństwa uważa, że religia ma monopol na czynienie ludzi dobrymi, tymczasem Owsiak pokazał, że to, czy jesteśmy katolikami, nie jest tak istotne, jak nasza gotowość do niesienia pomocy. Przekonaliśmy się, że potrafimy właściwie postępować, nie oglądając się na to, co nam mówią biskupi.

MONIKA HELAK,
socjolożka, UW, Polityka Insight

WOŚP należy do największych oddolnych inicjatyw społecznych i jako taka stanowi pozytywny przykład wspólnotowej aktywności. Co roku Polki i Polacy masowo przystępują do zbiorowych działań na rzecz systemu ochrony zdrowia, czego efektem są inwestycje w drogi sprzęt medyczny. W społeczeństwie zdominowanym przez kulturę indywidualizmu jest to dobra szkoła bezinteresownego zaangażowania i współpracy z innymi. Jednocześnie popularność WOŚP sprawiła, że dla części Polaków Jerzy Owsiak stał się autorytetem. To, co w tym niepokojące, to fakt, że Owsiak z pozycji autorytetu wypowiada się o usługach publicznych amatorsko i chaotycznie, najczęściej powtarzając frazesy o wyższości własności prywatnej nad publiczną. Niestety, w efekcie paradoksalnie wzmacnia w swoich odbiorcach antywspólnotowe postawy i nieufność do państwa.

IGNACY DUDKIEWICZ,
filozof, „Kontakt"

Zakup nowoczesnej aparatury medycznej oraz wyzwolenie obywatelskiej energii to ważne sukcesy WOŚP. Są też jednak efekty uboczne. Po pierwsze, rozmach WOŚP sprawia wrażenie, jakby rozwiązywała ona problemy ochrony zdrowia systemowo. Nie, styczniowa zbiórka to kropla w porównaniu z budżetem NFZ. Ważna, bo pozwalająca na zakup świetnego sprzętu, ale bez wpływu na strukturalne niedomagania. Udział w WOŚP daje jednak niektórym poczucie, że się samoopodatkowali na ochronę zdrowia oraz że tylko pozapaństwowe działania mają sens. To utrudnia reformy, które wsparłyby ochronę zdrowia z wyższych oraz progresywnych podatków i składek. Po drugie, mechanizm „skoro dałem na WOŚP, to się dorzuciłem", wpływa też na postawy filantropijne Polek i Polaków w innych sprawach wymagających naszego wsparcia. W sposób niezamierzony WOŚP utrudnia więc w jakimś stopniu zbiórki na inne działania społeczne oraz walkę o sprawiedliwsze podatki.

Not. Michał Sobczyk

eprasa.pl cd394828f6

Jesteśmy nieznośnym bachorem Europy

Jako naród jesteśmy bardzo nabzdyczeni i śmieszni z tą swoją powagą, którą pokrywamy często głupotę, niewiedzę i małostkowość

Rozmawia Robert Walenciak

Byłoby z czego zrobić kabaret w dzisiejszych czasach?

– Byłoby, proszę pana, każdy czas potrzebuje kabaretu satyrycznego, bo to jest lustro, w którym muszą się przeglądać i władza, i naród.

Na kartce papieru kabaretu jednak się nie zrobi.

– No nie, bo do tego trzeba żywych i niepowtarzalnych ludzi. I twórca kabaretu musi sobie takich właśnie ludzi dobrać. Takich, którzy przekażą publiczności sprawę, klimat i atmosferę, którą twórca chce zainteresować i poruszyć publiczność.

Reżyser musi mieć w głowie wyobrażony spektakl i wiedzieć, jak zagrają aktorzy?

– Oczywiście. To jest i trudne, i łatwe. Dla mnie łatwiejsze, bo lubię przyglądać się ludziom. Patrzeć, jak się uśmiechają, jaki mają sposób bycia, sposób mówienia, *timbre* głosu.

Kiedy pani pisała kabaret, to wiedziała pani dla kogo pisze, miała wyobrażenie, jak aktor zagra?

– Tak, bo pisałam pod mój zespół, który dobrze znałam. Miałam swoich aktorów. Wiedziałam, że to zdanie i to słowo najlepiej powie Pokora, a Kobuszewski powie lepiej coś innego. W kabarecie Pokora grał zwykle rolę prezesa, dyrektora czy ważnego doradcy. Jego chłodna uroda i zasadniczy sposób bycia pasowały do roli decydenta. W kabarecie był zawsze punktem odniesienia dla swojego nieznośnego personelu, czyli szalonego towarzystwa artystów, którzy czasem byli nie do opanowania, roztrzepani.

I dziecinni!

– Tak jak Polacy.

OLGA LIPIŃSKA
– reżyserka

A skąd ta dziecinność się bierze?

– Z edukacji, która nie uczy racjonalnego myślenia. A może to i dobrze, bo nie ma nic smutniejszego niż tzw. życiowa mądrość.

Wraca do Polski Sarmacja

Jest pani dumną Polką? – zapytam prowokacyjnie.

– Dumna Polka, dumny Polak – bardzo mnie to irytuje. Jesteśmy tacy sami jak inne narody. Nie jesteśmy ani lepsi, ani gorsi, tylko mamy pewne cechy charakteru, które nas niestety odróżniają negatywnie. Jesteśmy leniwi, bierni i zamknięci w przekonaniu o swoich racjach. Wraca do Polski Sarmacja, najciemniejszy okres w dziejach naszej historii. Rządzi prawica i ideały Polaka sarmaty są jej bliskie. Lex Czarnek to wzór sarmackiego prawa, to Kościół jako wzorzec moralny, rodzina pojęta patriarchalnie – kobieta pełna „cnót niewieścich", to dom, dzieci i służba mężowi. Sarmacja to swoiście pojęty patriotyzm – że Polak z jego obyczajami i światopoglądem jest najlepszy i najważniejszy wśród narodów świata.

Najlepszy i teraz, i wcześniej.

– Polak ma żyć podług dawnego zwyczaju.

Podług dawnego zwyczaju
będą drużbowie i swaty
beczka starego tokaju (sarmaci to także tęgie pijusy)
dla nowożeńców wiwaty

– śpiewano w XVII w. z okazji wesela

w białym kontuszu pan młody,
a w robronie panna młoda,
to mi to uczciwe gody,
to mi to wspaniała moda.
W kontusze, znowu w kontusze,
bo żeby być cnym Polakiem,
to trzeba się rozstać z frakiem.

Na przełomie XVII i XVIII w., w ideologii Sarmacji, frak był wyklęty, jak dziś LGBT. Frak to była zdrada narodowa. Strój ludzi obcych, nie polski. Polski strój to kontusz, który śmieszył wtedy całą Europę. Natomiast we fraku często nosili się ludzie otwarci na świat, wykształceni – także na zagranicznych uczelniach, tolerancyjni i życzliwi dla innych nacji i ich obyczajów. Nasza współczesna Sarmacja także rozstaje się dzisiaj „z frakiem", czyli tolerancją i otwartością na „innych". Małopolska kurator i minister edukacji to wzorce z Sèvres sarmackiej postawy.

eprasa.pl cd394828f6

Kreacje w kabaretach reżyserowanych przez Olgę Lipińską stworzyli m.in.: Hanna Śleszyńska, Barbara Wrzesińska, Janusz Gajos, Wojciech Pokora...

Tę postawę ośmieszała pani w kabaretach, w których śpiewano:

Myśmy są ozdobą świata! Jak tur przystojni, z niczego hojni

Czuj duch Europo! Idziemy do ciebie! My fantastyczni Polacy!

– W kabarecie wymyślałam sytuacje nie do ogarnięcia. Ten zespół świetnie sobie z tym radził. Ważne jest też to, że się lubili. W tym całym kabaretowym bałaganie i jako bohaterowie kabaretu trzymali się razem i bronili się wzajemnie.

Czasy były patetyczne, a ja się śmiałam

„Niech pan nie krzyczy na pannę Basieńkę, przecież to bądź co bądź kobieta", wołał w obronie Wrzesińskiej Kobuszewski. Jak sobie tę scenę przypominam, nie mogę opanować śmiechu.

– Pamięta pan to? W roku 1990, po przemianach zmieniłam Wrzesińskiej *image*. Panna Basieńka się uwznioślila. Wystąpiła nie jak zwykle w loczkach i balowej, dziurawej sukni, ale w granatowej sukience z białym kołnierzykiem i płowym warkoczem, po polsku przerzuconym przez ramię. Działała już w wolnej Polsce. Była bardzo wzniosła, patetyczna i bardzo śmieszna. Czasy też były patetyczne, a ja się śmiałam.

W ten sposób zakwalifikowali panią jako komuchę, która nie sprzyja przemianom.

– Tak, bo niezupełnie sprzyjałam i w kabarecie rzucałam światło na fałsz i niemądry triumfalizm, który się wyłonił na początku tych przemian. „Gazeta Wyborcza", także wtedy bardzo wzniosła i patetyczna, oskarżyła mnie o lament po PRL-u. Nie miałam powodu lamentować po PRL-u. W UB była teczka z donosami na mnie i 30 lat szarpałam się z cenzurą. Pamiętam taką rozmowę z cenzorem. Krzyczał: „Ja tego nie puszczę!".

Czego nie chciał puścić?

– Piosenki „Życie wokoło aż się skrzy, wesoło płyną cudne dni". „Ja-ja sobie z tego kraju robicie!? Jakie cudne dni pani tu widzi?", krzyczał. „Ja nie jestem idiotą, wiem, jak jest!".

Kabaret miał przeprawy z cenzurą?

– Wyłącznie. W kabarecie każdy tekst i piosenka musiały mieć na każdej stronie podpis cenzury. Przy okazji wyjaśnię. Pytają mnie często widzowie, czy aktorzy, grając w kabarecie, mówili własnym tekstem, czy improwizowali. Nie. Każde słowo tekstu musiało być obejrzane i podpisane przez cenzurę. Nie było więc mowy o żadnej improwizacji. Tekst kabaretu pisałam osobiście od tytułu do napisu koniec. Ale ci wspaniali, wybitni aktorzy, interpretowali ten tekst przez swoją osobowość, talent i wdzięk. To był ich wielki wkład w nasz wspólny sukces. Ale tekst i sytuacje wymyślałam ja.

Czy kabaret był wymyślony specjalnie dla telewizji ?

– Tak, tę formę teatru kabaretowego wymyśliłam specjalnie dla telewizji. Jednak kabaret zaistniał także w formie scenicznej. To były dwa przedstawienia, które napisałam

OLGA LIPIŃSKA – reżyserka, scenarzystka telewizyjna i satyryczka, autorka tekstów kabaretowych; związana jako aktorka i reżyserka z STS-em, wieloletnia dyrektorka warszawskiego Teatru Komedia (do 1990 r.). W TVP stworzyła kabarety: „Głupia Sprawa", „Gallux Show", „Właśnie Leci Kabarecik", „Kurtyna w Górę", wreszcie „Kabaret Olgi Lipińskiej" – zdjęty z anteny za czasów prezesury Jana Dworaka. Wyreżyserowała kilkadziesiąt przedstawień Teatru Telewizji (Fredry, Słowackiego, Musseta) oraz spektakli teatralnych.

eprasa.pl cd394828f6

...Piotr Fronczewski i Jan Kobuszewski.

dla Teatru Komedia – „Śmiechowisko" i „Kabaretowa mysz". Chciałam sprawdzić, jak mój kabaret działa bezpośrednio na publiczność. W telewizji nie miałam takiej okazji. Reakcja była nadzwyczajna. Publiczność śmiała się od początku do końca, choć flagowych aktorów telewizyjnego kabaretu zastępowali aktorzy Teatru Komedia. Oba przedstawienia nie schodziły z repertuaru przez wiele lat.

Sprawdzian jest szybki: publiczność się śmieje albo nie

Jakie predyspozycje musi mieć aktor, żeby grać w kabarecie?

– Kabaret to chyba najtrudniejsza dla aktora forma przekazu. Aktor, który gra w kabarecie, a publiczność go zaakceptuje i polubi, może potem zagrać wszystko. W dramacie czasem aktor może okłamać czy jakoś ukryć brak talentu. Oglądając dramat, publiczność może udawać zainteresowanie. W komedii czy w kabarecie nigdy. Tu sprawdzian jest bardzo szybki: publiczność się śmieje albo nie. Dlatego w komedii czy w kabarecie mogą grać tylko najlepsi.

W Polsce nie wszyscy się z tym zgadzają.

– Wiem, że nie wszyscy się z tym zgadzają, nawet w moim środowisku. Jesteśmy narodem bardzo poważnym, narodem bohatersko cierpiącym, więc śmiech nam nie przystoi. Przecież nie można się śmiać z nieszczęścia, jakim jest nasza „umęczona ojczyzna". Toteż w Polsce ludzie komedii, kabaretu i rzeczy śmiesznych są trochę podejrzani patriotycznie. A i aktorzy biorący udział w procederze zabawy i śmiechu nie mają takiego poważania i prestiżu jak ich koledzy grający w tragicznych dramatach. Kto chociaż raz nie wygłosił na scenie „Wielkiej Improwizacji", w środowisku średnio się liczy. Publiczność polska, oglądając tragicznie nudne dramaty, grane przez poważnych, często bez talentu aktorów, uważa, że wzbogaciła się duchowo. A wesołków przecież nikt nie traktuje poważnie. Natomiast ja uważam, że komedia i kabaret poprzez lżejszą formę przekazu mogą być bardziej wychowawcze społecznie. To oczywiste, że sztuka działa przede wszystkim na emocje. Dlatego w każdym działaniu artystycznym ważny jest klimat, coś nieuchwytnego, co wywołuje emocje – śmiech, lęk, smutek lub zadumę.

> Jesteśmy leniwi, bierni i zamknięci w przekonaniu o swoich racjach.

A pani jak to robiła?

– Tak, aby poruszyć widza. Pisarz na przykład, aby poruszyć czytelnika, szuka odpowiedniego słowa. Malarz – koloru. Muzyk – odpowiedniego tonu. Każdy z tych artystów działa sam. I sam odbiera zachwyty lub cięgi. Reżyser, aby przekazać sprawę i klimat swojego dzieła, musi przekazać to przy pomocy ludzi: aktorów, muzyków, scenografów, kostiumologów, operatorów kamer. Musi zatem dobierać sobie takich ludzi, którzy potrafią przekazać jego wizję. Taki zespół buduje się latami, a rozwalić go może jednym podpisem małostkowy decydent.

Przez prawie 40 lat budowałam zespół złożony z wybitnych aktorów, najlepszych muzyków, scenografów i poetów. Stworzyliśmy program telewizyjny lubiany i latami akceptowany przez publiczność. Nie zaakceptował go tylko jeden bardzo małostkowy i wpływowy decydent Jan Dworak.

Za jego czasów zlikwidowano „Kabaret Olgi Lipińskiej". Bardzo wtedy w PRZEGLĄDZIE protestowaliśmy.

– Wiem i dziękuję. Ale pan Jan Dworak był nieugięty. Za jego rządów zniknął także z anteny Teatr Telewizji i wiele innych programów, które lubiła, jego zdaniem „komusza", ale jednak polska publiczność. Pan Dworak nie wiedział i nie chciał wiedzieć, jaką rolę w podnoszeniu kultury i wiedzy Polaków odgrywała i odgrywa telewizja. Wiedział tylko, że w telewizji można dobrze zarobić. Chyba nie zdawał sobie sprawy, on i cała jego drużyna,

FOT. ARCHIWUM OLGI LIPIŃSKIEJ

eprasa.pl cd394828f6

z którą przyszedł do TVP, że np. Teatr Telewizji był jedynym takim zjawiskiem w skali europejskiej i że w programach, które zlikwidował, grali najwybitniejsi polscy aktorzy. Pozbawił w ten sposób ludzi z najdalszych zakątków Polski spotkań ze światową i polską literaturą i dramaturgią.

Ach, wróć rozumie

Czy w zespole, który pani stworzyła w telewizji, była zgodność poglądów?

– Chyba tak. Szczególnie w kabarecie satyrycznym, w którym porusza się sprawy światopoglądu i polityki, musi być pewien wspólny sposób oglądu rzeczywistości, wspólne poczucie humoru, aby poruszyć czy rozweselić niełatwą polską publiczność. Przecież w naszym katolicko wychowanym kraju żart, śmiech i zabawa to grzech.

Sposób wychowania wpływa na odbiór sztuki?

– Przez 13 lat prowadziłam warszawski Teatr Komedia. Pokazywałam często bardzo wartościowe i pouczające sztuki, także Fredrę, wielkiego satyryka i nauczyciela czy noblistę Dario Fo. Publiczność śmiała się od początku do końca. Jednak wychodząc rozbawiona z teatru, komentowała: to było bardzo dobre, świetne, ale mało poważne.

Jako naród jesteśmy bardzo nabzdyczeni i śmieszni z tą swoją powagą, którą pokrywamy często bezmyślność, głupotę i głęboką niewiedzę, a szczególnie małostkowość. I tu nie ma miejsca na żarty.

Na przykład…

– Bardzo proszę. Przed kilku laty napisałam do mojego kabaretu piosenkę żart o rozumie, który gdzieś się zapodział. Piosenka zaczynała się od słów „po piaszczystej polskiej drodze poszedł rozum w siną dal". Dalej był lament Narodu i prośby: „Ach, wróć, rozumie, pełne zwierza bory!". I tu – nie tylko dla rymu napisałam – „niestety, niestety, wróciły kaczory". Oczywiście tematem piosenki był rozum, którego do dziś nie można odnaleźć. I na tym się kończyło. Ale wówczas władzę w Polsce objęli bracia Kaczyńscy, którzy uznali piosenkę za paszkwil na ich dobre imię. I mówili w wywiadach, cytuję dosłownie, „nawet Olga Lipińska dołączyła do chóru tych, którzy nas prześladowali". Śmiałam się, bo myślałam, że to żart. Panowie Kaczyńscy nie interesowali mnie zbytnio, jak zresztą inni politycy.

Ale przecież pani kabaret wciąż poruszał sprawy polityki!

– Tak, ale politycy nie interesowali mnie na tyle, aby zajmować się nimi personalnie w kabarecie. Toteż ze zdumieniem czytałam co jakiś czas w prasie, jak bardzo skrzywdziłam panów Kaczyńskich piosenką żartem. Śmieszne? Bardzo. Ale nie dla mnie. Dziś mam do TVP wstęp wzbroniony. Małostkowość polityków to bardzo groźna i nieuleczalna choroba psychiczna, szczególnie u wszechmocnych decydentów.

> Komedia i kabaret poprzez lżejszą formę przekazu mogą być bardziej wychowawcze społecznie niż dramat.

To tandeta, nie kultura!

Tacy politycy, jakie społeczeństwo.

– Oczywiście. Władza jest emanacją narodu. Polacy, jak każdy naród, mają pewne wspólne cechy. Wynika to z edukacji, z warunków życia, z historii i z interpretacji tej historii.

I żeby napisać kabaret, trzeba to wszystko mieć w głowie – i społeczeństwo, i jego historię, i jego literaturę, kulturalny dorobek?

– Tak, powinno się mieć na to wszystko swój pogląd. Ciągle słyszę o PRL-u jako o czarnej dziurze, a ja uważam, że myśmy dzisiaj – w stosunku do PRL-u – cofnęli się intelektualnie i obyczajowo o jakieś dobre 50 lat. Może przesadzam, a może nie. Moja młodość i studia to czasy PRL-u. Byłam członkiem Studenckiego Teatru Satyryków – STS. Byliśmy pokoleniem gadającym i ruchliwym. Obciachem było nieczytanie książek. Sprawy materialne były u nas na ostatnim planie. Liczyła się otwarta głowa i błyskotliwy pomysł. A dziś… nie wiem, bo wyrosłam już z młodzieży. Ale ze zdumieniem patrzę, jak młodzi ludzie bawią się na tandetnym, sylwestrowym koncercie marzeń – gust nam się psuje.

Dziś do innych spraw przywiązuje się wagę…

– Tak. Najważniejsze hasło to przedsiębiorczość. Dorobić się i dogonić Zachód w sferze materialnej. Bo w sferze intelektualnej z Zachodem się nie dogadujemy. Naszą kłótliwość, agresję i chamstwo widać wszędzie – w życiu codziennym, a także w polityce i niestety w stosunkach międzynarodowych. Wstyd! Jesteśmy nieznośnym bachorem Europy.

Skąd to wszystko się wzięło?

– Z zaniedbania i lekceważenia kultury. Nasze społeczeństwo duchowo się nie rozwija. W każdym kraju kultura właśnie dlatego ma prestiż, bo jest ważnym spoiwem narodowym. To, co proponuje się Polakom w mediach jako kulturę, to tandeta. Kultura, która kształci i wygładza obyczaje, nie ma obecnie żadnego prestiżu. Nasi rządzący do kultury nie mają głowy, bo nie ma ona wpływu na wybory. I w związku z tym nie jest to interesujący, ich zdaniem, temat. Szkoda. Niczego specjalnie nie mamy do zaoferowania światu. Mamy kulturę. Nasi muzycy, malarze, pisarze – nobliści, twórcy filmowi i teatralni – to oni nas w świecie nobilitują. Panowie politykowie, nie jesteście najważniejsi. To artyści, wielcy ludzie kultury rozwijają duchowo społeczeństwa. A w końcu celem życia człowieka jest jego rozwój. Ech… Plotę już o sprawach tak oczywistych, że pora, drogi panie redaktorze, postawić kropkę.

Więc stawiamy! Dziękuję za rozmowę.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl cd394828f6

Zatracił się i pogubił

W Krośnie Odrzańskim ludzie uznali, że wybrany przez nich na posła Łukasz Mejza jest ucieleśnieniem grzechów politycznych klasy rządzącej

Regina Dachówna

Pod Krosnem Odrzańskim, na polu Piotra Gałęskiego, widnieje olbrzymi napis ,,Sorry za Mejzę". Każda litera ma wysokość 50 m, a cały napis zajmuje prostokąt o wymiarach 240 na 190 m. Tworzenie napisu trwało trzy dni. Do jego wykonania zużyto ponad 11 tys. m kw. agrowłókniny. Najtrudniejsze było dokładne wyliczenie i wymierzenie powierzchni gruntu pod każdą literkę.

– Żartowaliśmy, że obmierzamy pole jak geodeci. A nikt z nas nie ma takiego wykształcenia, ani nie wykonuje tego zawodu – opowiada Robert Szarkowicz, elektryk, znajomy Piotra.

Do wykonania tego niezwykłego zadania pierwszego dnia zgłosiło się osiem osób, następnego dnia – 10, a trzeciego – 15. Wystarczyły telefony do przyjaciół i znajomych.

Piotr Gałęski, twórca napisu, najpierw wymyślił hasło ,,Przepraszamy za Mejzę", ale wyraz przepraszamy jest za długi, dlatego lepsza wydała mu się angielszczyzna z krótkim słowem *sorry*.

Napisu nie można w całości dokładnie zobaczyć, stojąc na obrzeżu pola. Najlepiej widać go z wysokości co najmniej 15 m, na przykład z drona. Twórcy napisu żartują, że ich dzieło obejrzą posłowie, gdy będą lecieli samolotem do Brukseli.

Piotr Gałęski jest absolwentem AWF, jednak nie zajmuje się sportem. Ma własne przedsiębiorstwa, jedno z nich znajduje się w Krośnie Odrzańskim, mieście, w którym kończył podstawówkę i liceum. Teraz mieszka pod Poznaniem, ale do Krosna przyjeżdża regularnie co 10 dni. Uważa, że miasto jest piękne i zasługuje na popularyzację w kraju. Poza tym mieszkają tu jego rodzice i siostra z rodziną.

Pomysł hasła oraz umieszczenia go na własnym polu dojrzewał w Gałęskim przez pewien czas. Irytacja rosła, w miarę jak poseł Mejza powtarzał, że na nim wisi rządowa większość. Czarę goryczy przelał nagły awans 30-latka (Mejza to rocznik 1991) na wiceministra sportu i to w czasie, gdy media odkryły, że młody poseł chciał się wzbogacić na ludzkim nieszczęściu. Wielu mieszkańców Krosna Odrzańskiego powiedziało: Dość! My się na to nie zgadzamy! I ci niepogodzeni z zachowaniem i postępowaniem posła Mejzy pomogli Piotrowi Gałęskiemu w realizacji zamiaru.

Ci, którzy głosowali na bezpartyjnego samorządowca, nie mogli uwierzyć, że poseł Mejza głosuje tak jak PiS, a nie jak PSL.

– Zadzwonił do mnie Marek, właściciel klubu „Wodnik", w którym kiedyś grałem – opowiada Roland Rasiński. – Zapytał, czy nie włączyłbym się do tego przedsięwzięcia. Zgodziłem się od razu.

Bracia Rasińscy, Roland i Radosław, założyli zespół muzyczny, który występuje w miejscowych klubach. Ponadto Roland przed 10 laty otworzył firmę filmowo-fotograficzną. Filmuje uroczystości rodzinne, wesela, śluby, chrzciny i inne wydarzenia, produkuje również filmy oraz teledyski. Sfilmował i sfotografował prace przy wykonywaniu napisu. Zdjęcie napisu jego autorstwa pojawiło się w wielu mediach. W sieci jest też film z tego wydarzenia.

Z zawodu mechanik elektronik przy filmowaniu wszystko robi sam. Jest i operatorem, i montażystą. Przed pandemią dało się żyć z usług firmy. W czasie pandemii dochody spadły o połowę.

Niezgoda na nikczemność

Krosno Odrzańskie, położone nad Odrą u ujścia Bobru, nie jest wielkim miastem. Liczy ponad 11 tys. mieszkańców. Może nie wszyscy się tu znają, ale stali mieszkańcy wiedzą, kto kim jest.

– Nigdy nie widziałem na żywo posła Mejzy, jedynie w telewizji. Ale poznałem jego dziadków, prowadzili sklep z warzywami – opowiada Piotr Gałęski.

Senior Adam Kuczyński, elektryk, od lat mieszka w Krośnie Odrzańskim. Piotra i jego rodzinę zna od kilkunastu lat. Gdy Gałęski zatelefonował i powiedział, że potrzebuje pomocy w zrobieniu napisu, Kuczyński zgodził się bez wahania.

– Wiem, że jeśli Piotr się czegoś podejmie, zrobi to na pewno. Uczciwy i ambitny. Byłem przy wymierzaniu gruntu pod ten napis. Pracowałem przy literze M, to był punkt odniesienia do innych liter – mówi teraz, gdy napis stał się znany w całej Polsce.

Co ma za złe posłowi Mejzie? Zachowanie i postawę życiową.

– Przecież on pochodzi z naszego środowiska. I na czym chciał się dorobić? Na nieszczęściu innych ludzi? Wymyślił hasło „Leczymy nieuleczalnych". Przecież to podłe – mówi wzburzony Adam Kuczyński.

Od sukcesu do upadku

Kariera społeczno-polityczna Łukasza Mejzy zaczęła się fantastycznie. W wyborach samorządowych w 2014 r. uzyskał mandat radnego

eprasa.pl cd394828f6

Napis zajmuje prostokąt o wymiarach 240 na 190 m.

Sejmiku Województwa Lubuskiego z listy komitetu Lepsze Lubuskie, założonego przez ówczesnego prezydenta Nowej Soli Wadima Tyszkiewicza, dzisiaj senatora. Mejza był wówczas najmłodszym radnym w Polsce, miał 23 lata. W wyborach prezydenckich 2014 r. poparł Pawła Kukiza. We wrześniu 2015 r. został przewodniczącym klubu Lepsze Lubuskie. Klub zmienił nazwę na Bezpartyjni Samorządowcy, ale Mejza nadal był jego przewodniczącym. Wyborcom wciąż kojarzył się z samorządowcami.

W wyborach parlamentarnych w 2019 r., po wejściu Bezpartyjnych Samorządowców do Koalicji Polskiej, znalazł się na ostatnim miejscu listy PSL. Dostał 10,4 tys. głosów, był drugi na liście, po Jolancie Fedak. A gdy Jolanta Fedak zmarła w grudniu 2020 r., przejął po niej mandat i w marcu 2021 r. złożył ślubowanie. Został posłem niezrzeszonym. Jednak po ponad pół roku, w październiku 2021 r. przystąpił do Partii Republikańskiej Adama Bielana.

Na studiach Mejzie nie wiodło się tak dobrze jak w polityce. Bez powodzenia studiował na Wydziale Nauk Społecznych Uniwersytetu Wrocławskiego, nie skończył też studiów prawniczych z komunikacją wizerunkową. Zawodowy licencjat uzyskał dopiero w 2017 r. na Wydziale Finansów i Bankowości Wyższej Szkoły Bankowej w Poznaniu na kierunku stosunki międzynarodowe.

Za to w 2019 r. postanowił rozwinąć skrzydła jako przedsiębiorca.

Piotr Gałęski: Łukasz Mejza wzbudził swoim zachowaniem powszechne oburzenie w Krośnie Odrzańskim.

Założył firmę Future Wolves, która miała organizować szkolenia z zakresu tzw. kompetencji miękkich, czyli uczyć, jak się zachowywać w zespole, jak tworzyć pozytywne relacje między pracownikami i klientami. Te szkolenia mieściły się w projekcie „Lubuskie Bony Rozwojowe w subregionie zielonogórskim". Pieniądze na ten cel, prawie 1 mln zł, przekazała Lubuska Agencja Rozwoju Regionalnego, środki w większości pochodziły z Europejskiego Funduszu Społecznego.

Zarząd województwa lubuskiego zlecił kontrolę, która wykazała, że firma Łukasza Mejzy przeszkoliła 76 pracowników z 37 firm za sumę 883 tys. zł. Nie można było sprawdzić, czy faktycznie tyle mogły kosztować świadczone przez nią usługi szkoleniowe. Zarząd województwa lubuskiego skierował sprawę do prokuratury.

Rok później, w 2020 r., Łukasz Mejza wraz z Tomaszem Guzowskim założyli spółkę Vinci NeoClinic z siedzibą w Zielonej Górze. Miała ona zajmować się m.in. turystyką zdrowotną i medyczną. W listopadzie 2021 r. dziennikarze Wirtualnej Polski prześledzili działalność Vinci NeoClinic. Okazało się, że spółka obiecywała rodzicom nieuleczalnie chorych dzieci pomoc w dotarciu do klinik, m.in. w USA, które rzekomo leczą skutecznie takie dzieci nowymi metodami. Wkrótce w telewizji ukazały się wypowiedzi zawiedzionych rodziców. Wyjazd i leczenie miały ich kosztować 80 tys. dol.

Łukasz Mejza zaprzeczył sugestiom dziennikarzy o nieuczciwej ofercie, zaprzeczał też słowom zrozpaczonych rodziców. W mediach społecznościowych umieścił oświadczenie, w którym napisał, że „spółka Vinci NeoClinic nigdy nie zamierzała prowadzić i nie prowadziła działalności medycznej. Przedmiotem jej działalności miało być prowadzenie turystyki medycznej". A tymczasem ciężko doświadczeni rodzice organizowali zbiórki na zagraniczne wyjazdy.

Irytacja rosła, w miarę jak Łukasz Mejza powtarzał, że na nim wisi rządowa większość.

Oburzenie i niedowierzanie

Mieszkańcy Krosna Odrzańskiego, którzy głosowali na bezpartyjnego

FOT. REGINA DACHÓWNA, ROLAND RASIŃSKI

eprasa.pl cd394828f6

samorządowca, nie mogli uwierzyć, że w Sejmie poseł Mejza głosuje tak jak PiS, a nie jak PSL.

Robert Szarkowicz tłumaczy, skąd się wzięła złość na Mejzę. Pierwszy powód – naciąganie na wydatki ludzi dotkniętych nieuleczalną chorobą dzieci. – Jak można zarabiać na cudzej tragedii? – pyta.

Drugi powód – wybrany z listy PSL, w Sejmie, jak chorągiewka, dla koniunktury i własnej kariery, przeszedł do partii Bielana. – Ktoś powiedział, że on przeszedł na drugą stronę barykady. A przecież głosujemy na wybraną opcję – mówi Robert Szarkowicz. – Mejza sprzeniewierzył się obietnicom wyborczym. Jako samorządowiec obiecywał inwestycje dla Lubuskiego. Nic z tych obietnic nie zostało. Poza tym nasz protest ma charakter edukacyjny. Wyborcy powinni poznać kandydatów, na których głosują.

Piotr Gałęski jest zadowolony z rezultatu swojego przedsięwzięcia. Ludzie dowiedli, że są zdolni do oddolnego sprzeciwu. – Mejza jest ucieleśnieniem grzechów politycznych klasy rządzącej. Wzbudził powszechne oburzenie w Krośnie Odrzańskim – mówi Piotr Gałęski.

Utworzenie napisu miało też inny cel. – Krosno Odrzańskie potrzebuje reklamy, rozgłosu. Liczyłem na promocję mojego rodzinnego miasta. I to mi się udało.

Napis na polu na obrzeżach miasta niespodziewanie stał się miejscem spontanicznych spotkań. 14 stycznia wieczorem na obrysie liter miało stanąć około 600 osób z latarkami w ręku. Padał deszcz, przyszła tylko setka.

Adam Kuczyński twierdzi, że napis zostanie na długo. – Wiosną trzeba będzie tylko delikatnie trawę wykosić.

Janusz Jasiński, szef Organizacji Pracodawców Ziemi Lubuskiej i właściciel koszykarskiego Zastalu powiedział w grudniu zeszłego roku uniwersyteckiemu portalowi Wzielonej: „Łukasz Mejza kilka lat pracował w koszykarskim klubie. Był odpowiedzialny m.in. za kontakty ze sponsorami. Dla mnie jest jak dziecko. Ja go spotkałem jako biednego chłopca, który miał olbrzymie plany i potencjał. (…) Chciał coś w życiu osiągnąć, ale się zatracił i pogubił”.

Regina Dachówna

PS 14 stycznia Łukasz Mejza w Szkole Podstawowej nr 2 w Zielonej Górze poprowadził zajęcia z uczniami I klasy w ramach cyklu „Poznajemy zawody”. Tłumaczył pierwszoklasistom, na czym polega praca posła. Tak wygląda odpolitycznienie szkoły. Sytuację wyjaśnia lubuska kurator oświaty Ewa Rawa.

Mejza sprzeniewierzył się obietnicom wyborczym. Jako samorządowiec obiecywał inwestycje dla Lubuskiego. Nic z tego nie zostało.

eprasa.pl cd394828f6

Oskarżony agent Tomek

Na Tomaszu K. ciąży 19 zarzutów udziału w grupie przestępczej, która wyłudziła ponad 71 mln zł dotacji

Marek Książek

Słynny agent Tomek z żoną Katarzyną oraz 40 innymi osobami zasiądzie na ławie oskarżonych Sądu Okręgowego w Olsztynie. Chodzi o wyłudzenia dotacji, ale w orbicie tej kryminalnej sprawy krążą nazwiska polityków.

Po raz pierwszy w powojennej historii Olsztyna w jednej sprawie karnej zgromadzono 500 (!) tomów akt, którymi zawalony jest cały pokój miejscowego Sądu Okręgowego. Sam akt oskarżenia przesłany przez Prokuraturę Regionalną w Białymstoku liczy 1000 stron zamkniętych w sześciu tomach. Trzeba docenić wysiłek prokuratorów białostockich – i wcześniej olsztyńskich – którzy zajęli się stowarzyszeniem Europejskie Centrum Wsparcia Społecznego Helper już w 2015 r. Co wyniknie z sześcioletniej żmudnej pracy śledczych, tego nikt nie potrafi przewidzieć, zwłaszcza że nie wyznaczono jeszcze – w drodze losowania – sędziego do prowadzenia tego procesu. Jeśli uda mu się w kilka miesięcy zapoznać z wszystkimi aktami, które bardziej przypominają dokumentację księgową, z mnóstwem nazwisk, liczb, dat, numerów i innych szczegółów dotyczących wyłudzenia wielomilionowych dotacji, ale i mniejszych zarzutów. A gdy na ławie oskarżonych zasiądą, przynajmniej teoretycznie, aż 42 osoby, to może sprawdzić się powiedzenie, że „winni są wszyscy, czyli nikt".

Grupa przestępcza z Olsztyna

Pewnie na to liczy Tomasz K., rocznik 1976, były agent Centralnego Biura Antykorupcyjnego, pobierający 7,8 tys. zł emerytury, który wcześniej odnosił spektakularne sukcesy, zastawiając pułapki, a jakże korupcyjne!, na posłankę Platformy Obywatelskiej Beatę Sawicką, aktorkę Weronikę Marczuk, czy wreszcie podejmując działania w sprawie willi w Kazimierzu Dolnym, rzekomo należącej do Jolanty i Aleksandra Kwaśniewskich. Wszystkie te śledztwa zakończyły się fiaskiem, a w dwóch ostatnich sprawach Tomasz K. jako funkcjonariusz publiczny został oskarżony o przekroczenie uprawnień. Żalił się potem w mediach, że działania prokuratury wobec niego są „nacechowane politycznie" i że PO przed kolejnymi wyborami „musi uzupełnić magazynki do walki z PiS". W tym czasie Tomasz K. nie był już posłem PiS, ale jeszcze utożsamiał się z tą partią – o czym pisaliśmy w tekście „Podejrzany agent Tomek" (PRZEGLĄD nr 48/2019).

Tomasz K. – z ław sejmowych na ławę oskarżonych.

Kiedy PiS odwróciło się od niego, skarżył się w TVN, że atak na stowarzyszenie Helper to zemsta Jarosława Kaczyńskiego oraz Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika, ale on wybroni się z kryminalnych zarzutów. Tymczasem nic takiego nie nastąpiło, bo oficjalnie ciąży na nim 19 zarzutów udziału w grupie przestępczej, jak prokuratorzy określają ścisłe grono osób z najbliższego otoczenia Tomasza K. „Mózgiem" grupy miała być żona Tomasza K. Katarzyna, która pod pozorem prowadzenia środowiskowych domów samopomocy (ŚDS) w czterech gminach miała wyłudzić z budżetu państwa oraz budżetu jednostek samorządu terytorialnego łącznie ponad 71 mln zł dotacji celowych, udzielonych na podstawie fikcyjnych faktur i innych dokumentów poświadczających nieprawdę. Z tej kwoty główna, sześcioosobowa grupa miała przywłaszczyć sobie aż 33 mln zł. Oprócz tego ciąży na oskarżonych wiele innych zarzutów, zwłaszcza oszustwa, przywłaszczenia mienia,

Mózgiem grupy przestępczej miała być żona Tomasza K. Katarzyna.

FOT. WITOLD ROZBICKI/REPORTER

eprasa.pl cd394828f6

poświadczania nieprawdy, a także nakłaniania świadków do składania fałszywych zeznań oraz prania brudnych pieniędzy.

Polityczne wsparcie ze stolicy

W opinii znających ją olsztynian młodsza o trzy lata od obecnego męża Katarzyna K. przejawiała niezwykły talent w zdobywaniu funduszy, ale nade wszystko – zdobywaniu zaufania ludzi z mocną pozycją społeczną. Najpierw została asystentką Jacka Kurskiego, który z listy PiS zasiadł w 2009 r. w ławach Parlamentu Europejskiego. To był świetny przyczółek do nawiązywania kolejnych, politycznych znajomości. Zwłaszcza że urzędowała w pokoju naprzeciw biura swojej dobrej znajomej, żeby nie powiedzieć – przyjaciółki, posłanki PiS Iwony Arent. Kiedy później Helper znalazł się na cenzurowanym, Jacek Kurski, wtedy już prezes TVP, tłumaczył, że zatrudnił mężatkę z dwójką dzieci, której właściwie nie znał, ale poleciła ją miejscowa instancja PiS.

I to nie agent Tomek oczarował Katarzynę, ale ona, jeszcze pod nazwiskiem pierwszego męża Arkadiusza Sz., jako przebojowa bizneswoman zastawiła sieci na funkcjonariusza CBA. Założone przez nią i Marzenę H. w 2010 r. stowarzyszenie Helper zaczęło odnosić sukcesy na niwie charytatywnej i pani prezes do stolicy jeździła porsche cayenne za 300 tys. zł. Zwróciła wtedy uwagę Tomasza K. W czerwcu 2013 r. doszło do skandalu towarzyskiego z udziałem byłego agenta, który podczas imprezy imieninowej Iwony Arent zagroził legalnemu mężowi swojej nowej partnerki, że go pobije nogą od krzesła. Gdy sprawa ujrzała światło dzienne, klub parlamentarny PiS zawiesił Tomasza K. w prawach posła. Wkrótce on sam zrezygnował z członkostwa w klubie, a w lutym 2015 r., kilka miesięcy przed końcem kadencji, zrzekł się mandatu posła, uzasadniając to względami rodzinnymi. Do tego czasu zdążył wziąć ślub z rozwiedzioną Katarzyną Sz., która właśnie urodziła mu córkę (później także syna).

Katarzyna i Tomasz K. zabrali większość wyposażenia z prowadzonych przez Helpera domów samopomocy i prowadzą prywatny instytut neurorehabilitacji.

Do tego czasu pozycja polityczna Katarzyny K. urosła do tego stopnia, że zaczynała już myśleć o ministerialnej posadzie w stolicy. Znała przecież ustosunkowanych polityków PiS, w tym Adama Lipińskiego, uchodzącego za kadrowego partii Kaczyńskiego. Olsztyński dziennikarz Adam Jerzy Socha z prawicowego pisma „Debata" dokładnie opisał, jak to nadzwyczaj huczną galę z okazji pięciolecia Helpera „uświetnili: abp senior Edmund Piszcz, ks. Henryk Błaszczyk od Kawalerów Maltańskich, wojewoda Marian Podziewski (PSL), posłanka Iwona Arent (PiS), poseł Andrzej Jaworski (PiS), poseł Marek Suski (PiS), poseł Stanisław Szwed – (po zwycięstwie PiS w wyborach zostanie wiceministrem w resorcie rodziny, pracy i polityki społecznej, skąd pochodzą dotacje na ŚDS-y). Rozpromieniony Tomasz Kaczmarek siedział pomiędzy wiceprezesem PiS posłem Adamem Lipińskim a senatorem rektorem prof. Ryszardem Góreckim (PO), (…) byli też włodarze gmin Purda, Jedwabno, Reszel i Olsztyn, w których Helper prowadził ŚDS-y".

Wtedy to z ust obecnych luminarzy padły słowa o szlachetnych działaniach ponad podziałami politycznymi, jakie prowadzi Helper. Stosunki pani prezes z elitą regionu były istotnie ponadpartyjne, skoro gościła w swoim domu PSL-owskiego wojewodę, o czym opowiedział w śledztwie pierwszy mąż szefowej stowarzyszenia. I to Arkadiusz Sz. jako jedyny przyznał się do stawianych mu zarzutów, tłumacząc, że był zwykłym pracownikiem i wykonywał tylko polecenia żony.

Strzały w pisowskiej wojnie

Ale oto wybory 2015 r. zakończyły się zwycięstwem PiS i wojewodą w Olsztynie został Artur Chojecki – wcześniej dyrektor biura poselskiego Jerzego Szmita. Co prawda, sam Szmit ponownie nie wystartował w wyborach do parlamentu, na co wpływ miała publikacja o jego romansie pozamałżeńskim i utracie prawa jazdy za nadmierną szybkość, ale nie utracił całkiem zaufania Kaczyńskiego, gdyż został wiceministrem infrastruktury i budownictwa nadzorującym budowę dróg. Zachował też funkcję regionalnego szefa PiS w okręgu warmińsko-mazurskim. Do Sejmu weszła za to Iwona Arent i wydawało się, że przepchnie swoją przyjaciółkę Katarzynę K. na wiceministra w resorcie rodziny, pracy i polityki społecznej. Czyli tym, który przekazywał fundusze na domy społeczne. Nic z tego nie wyszło, ponieważ trwała jeszcze wewnętrzna wojna w olsztyńskim PiS, firmowana z jednej strony przez Szmita, a z drugiej przez posłankę Arent. Jeszcze w końcówce kampanii wyborczej do parlamentarzystów i mediów trafił anonim, jakoby władzę w regionie chciała przejąć miejscowa „ośmiornica" z agentem Tomkiem na czele. Przy okazji anonim ujawnił, że kierowane przez

---

SPROSTOWANIE

W związku z opublikowaniem w dniu 10.01.2022 r. artykułu pt. „Polityczne wzloty, upadki, nadzieje i rozczarowania roku 2021", autorstwa Roberta Walenciaka (Tygodnik „Przegląd"), Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego informuje, że:

1) minister kultury nie odebrał dotacji Teatrowi im. Słowackiego – teatr ten jest samorządową instytucją kultury i to na samorządzie spoczywa obowiązek utrzymania instytucji;
2) nieprawdą jest, że Janusz Janowski został powołany w miejsce Hanny Wróblewskiej – kontrakt p. Wróblewskiej wygasł, Pan Janowski został powołany na nieobsadzone stanowisko;
3) nieprawdą jest również, że minister kultury „dał ponad 4 mln zł Robertowi Bąkiewiczowi" na jego inicjatywy – programem dotacyjnym, którego beneficjentem były przywołane organizacje, zarządza Instytut Dziedzictwa Myśli Narodowej.

Anna Pawłowska-Pojawa, Dyrektor Centrum Informacyjnego Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

eprasa.pl cd394828f6

jego żonę stowarzyszenie wyciąga miliony z publicznej kasy, a machlojki te osłaniają bonzowie PiS: Arent, Lipiński i Ziobro. Zorientowani w sprawie domyślili się, że anonim to dzieło ludzi Szmita, jeśli nie jego samego.

Drugi atak poszedł oficjalną drogą; wojewoda Chojecki nakazał skontrolowanie działalności Helpera, a raport w tej sprawie ujawnił poważne nieprawidłowości, potwierdzone potem przez organy śledcze. Mowa była nie tylko o zawyżaniu kosztów budowy i remontów obiektów stowarzyszenia, np. w byłych koszarach w Olsztynie. Media obiegły wieści, że za publiczne pieniądze kupowano m.in. luksusową bieliznę, markowe perfumy, wysokiej klasy sprzęt rtv, elektryczną deskorolkę i dron oraz odzież... narciarską. Tomasz K. tłumaczył potem, że ich podopiecznych nie stać na drogie perfumy, więc niech przynajmniej w domach opieki poczują odrobinę luksusu, a dron jest potrzebny do filmowania imprez w ośrodkach stowarzyszenia. Tylko że w akcie oskarżenia, który właśnie wpłynął do sądu, znalazła się także długa lista zakupów dla dzieci, w tym zabawek, gier i animacji. Były mąż Katarzyny potwierdził w śledztwie, że były to prezenty dla jej dzieci, którym kupiła np. sprzęt narciarski przed wyjazdem w góry. Na elektrycznej deskorolce jeździły też wspólne dzieci Katarzyny i Tomasza.

Słabe atuty w walce z CBA

Ujawnienie afery Helpera było jak najbardziej na rękę Jerzemu Szmitowi, który jednak długo nie zagrzał fotela w ministerstwie. Po niecałych dwóch latach został odwołany, ale do końca nie podano, z jakiego powodu. Możliwe, że był to rezultat niewygasłej jeszcze wojny między nim a posłanką Arent. A może też zemsta agenta Tomka? Taką sugestię Jerzy Szmit pomijał dwuznacznym milczeniem. W każdym razie w 2019 r. już nie startował w wyborach, co opisaliśmy w tekście „Utrącony ręką prezesa" (PRZEGLĄD nr 39/2019).

Tymczasem Iwona Arent błyszczała w mediach, m.in. zostając w 2018 r. – w miejsce Marka Suskiego – członkinią komisji śledczej ds. Amber Gold. Wtedy już odcięła się od Katarzyny K. i jej męża, który po żonie przejął funkcję prezesa Helpera. Wiadomo, agent Tomek stał się wrogiem szefów CBA, a więc tym samym prezesa Kaczyńskiego. Odgrażał się, że jeśli zostanie oskarżony o nadużycia w Helperze, wyciągnie kwity na byłych przełożonych. Nic z tego nie wyszło, był nawet aresztowany, ale zwolniono go za półmilionową kaucją. W śledztwie tłumaczył, że on był tylko od ustalania zaliczek. Natomiast 800 tys. zł na zakup przez Helpera nieruchomości przy ul. Gietkowskiej nie pochodziły z dotacji przyznanych stowarzyszeniu, ale od… jego babci Adelajdy J. Babcia „korzystała z pomocy społecznej w Niemczech", a że ta pomoc była za duża na jej potrzeby, więc przekazała je – jako darowiznę – dzieciom Katarzyny i Tomasza K. Po tych mało przekonujących wyjaśnieniach widać, że w walce z szefami CBA Tomasz K. ma słabe atuty. Czy nie dlatego jego obronę odpuścili sobie reporterzy TVN?

Galę z okazji pięciolecia Helpera uświetnili posłowie PiS: Iwona Arent, Marek Suski i Andrzej Jaworski.

Z kronikarskiego obowiązku dodajmy, że akt oskarżenia obejmuje również przedsiębiorców wystawiających fikcyjne faktury dla stowarzyszenia oraz samorządowców z czterech gmin, w tym prezydenta Olsztyna – za brak czujności w przyznawaniu Helperowi dotacji. Wszyscy się bronią, że działali zgodnie z prawem, ale zostali oszukani. Natomiast Katarzyna i Tomasz K. zabrali większość wyposażenia z prowadzonych przez Helpera domów samopomocy i we wspomnianym obiekcie przy ul. Gietkowskiej prowadzą prywatny instytut neurorehabilitacji Salwator – co znaczy zbawiciel.

Marek Książek

PS W ubiegłym tygodniu media ujawniły, że Katarzyna K. była podsłuchiwana za pomocą Pegasusa.

KUP
po promocyjnej cenie
e-prenumeratę roczną
PRZEGLĄDU
TYLKO 99,90 zł
E-PRENUMERATA

W PREZENCIE
E-BOOK!
sklep.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl cd394828f6

Numer największego zaufania

Dzwonią coraz młodsze dzieci, w coraz gorszej sytuacji

Rozmawia Beata Igielska

Z jakimi problemami dzwonią do was dzieci?

– Najczęściej mówią o depresji, myślach samobójczych, obniżonym nastroju, samookaleczeniach, samotności, trudnych emocjach. Następną grupą problemów są relacje rówieśnicze i relacje z rodziną: sytuacje okołorozwodowe, uzależnienia rodziców, dysfunkcje w rodzinie. Dzieci rzadko mówią o dobrej relacji z rodzicami. Mówią o przemocy, której doświadczają, ale też o tym, że brakuje im specjalistycznej pomocy. Poszukują jej, a gdy już znajdą, często są niezadowolone z jej jakości albo narzekają na brak dostępu do specjalistów. Mówią też o relacjach rówieśniczych: rozstaniach, zakochaniach, kłótniach z rówieśnikami.

Jak wygląda typowa rozmowa i co pokazuje, czego dzieciom najbardziej brakuje?

– Brakuje im przede wszystkim obecności dorosłego, uwagi czy raczej uważności, wysłuchania, pełnej obecności. Nie chodzi o to, żeby ktoś siedział w tym samym pokoju, musi być dostępny dla dziecka. Dzieciom bardzo brakuje tej dostępności. Jesteśmy zabiegani, zapracowani. One obserwują nas i albo w ogóle nie wkraczają w świat naszych trosk, albo wycofują się i same próbują uporać się ze swoimi trudnościami lub manifestują je w inny sposób: buntują się, są „niegrzeczne", agresywne, krzyczą. Tak wołają o pomoc, o poświęcenie czasu i uwagi.

Numer 116 111 istnieje już od 2008 r., dzieci przyzwyczaiły się do niego.

Dzwoni dziesięciolatek i mówi, że się zabije.

– To są bardzo trudne rozmowy, nie ma do nich jednego klucza, wzoru. Wiele zależy od tego, czy dziesięciolatek jest już w trakcie próby samobójczej, czy mówi, że ma zamiar samobójczy lub że czasami pojawiają mu się myśli samobójcze. W rozmowie skupiamy się na ryzyku popełnienia samobójstwa, na tym, czy dziecku stanie się krzywda, czy w danej chwili jest zagrożone jego życie lub zdrowie. W skrajnych sytuacjach interweniujemy, tzn. wzywamy do dziecka pomoc: policję, pogotowie albo kontaktujemy się z osobami dorosłymi z otoczenia dziecka, które mogą udzielić mu natychmiastowej pomocy. Najważniejsza jest prawidłowa ocena sytuacji, w której w danym momencie dziecko się znajduje. Dzieci mówią, że od jakiegoś czasu gorzej się czują. Czasem rozmyślają, jakby to było bez nich na świecie. W takich sytuacjach dziecko powinno otrzymać pomoc psychologiczną, psychiatryczną. Sprawdzamy, w jakim stopniu jest to możliwe w jego najbliższym otoczeniu. Nie podchodzimy do tego mechanicznie, poznajemy szerszy kontekst, ale w rozmowie, w której wyłapujemy sygnał, że zagrożone jest życie, najważniejsza jest szybka pomoc i zapewnienie dziecku bezpieczeństwa. Pozostajemy z nim na linii do momentu, aż pojawi się pomoc, np. pogotowie. Rozmawiamy o sytuacji, o tym, co się wydarzyło, czy wcześniej próbowało odebrać sobie życie, co może mieć na to wpływ, od jak dawna jest w takim stanie. Badamy, poznajemy kontekst. To pomaga w ocenie ryzyka popełnienia przez dziecko samobójstwa.

Młodsi kandydaci na samobójców są bardzo impulsywni, nie myślą, działają pod wpływem chwili.

– Zdarzają się tacy rozmówcy. Rozmawiamy przez telefon, nie widzimy dziecka. Musimy polegać na tonie głosu, dźwiękach z otoczenia. Czasem dzwoni i jest bardzo głośno. Albo gwiżdże pociąg, bo dziecko stoi przy torach z zamiarem popełnienia samobójstwa. Pytamy wprost: jesteś

Dajmy dzieciom siłę

Rocznie ponad 1,2 tys. dzieci próbuje odebrać sobie życie – czworo dziennie. W pięciu województwach nie było w 2020 r. dziennego oddziału psychiatrii dziecięcej. Mimo to rząd PiS postanowił nie wspierać finansowo telefonu zaufania prowadzonego przez Fundację Dajemy Dzieciom Siłę.

W ubiegłym roku, działając w trybie 24/7, fundacja przeprowadziła 57 621 rozmów (a i tak odebrano tylko około jednej czwartej połączeń) i odpowiedziała na 9232 wiadomości online. Liczba interwencji w sytuacji zagrożenia zdrowia lub życia dziecka rośnie z roku na rok. W 2018 r. było ich 346, w 2019 – 519, w 2020 – 747, w 2021 – 823. Przez 13 lat działania w fundacji odebrano ponad 1,4 mln połączeń, odpowiedziano na ponad 92 tys. wiadomości i przeprowadzono ponad 3,3 tys. interwencji w sytuacji zagrożenia zdrowia lub życia dziecka. Fundacja apeluje do premiera o współfinansowanie funkcjonowania telefonu, który jest zobowiązaniem państwa wobec UE. Apel podpisało ok. 60 tys. internautów.

Finansowanie analogicznych numerów 116 111 w innych krajach wynosi: w Bułgarii i Luksemburgu – 100%, w Portugalii i Czechach po 60%, w Finlandii – 50%, w Chorwacji – 28%, w Grecji – 15%, w Danii – 13%.

Pod koniec 2020 r. rząd zaczął promocję innej linii pomocowej: **Dziecięcego Telefonu Zaufania – 800 12 12 12**. W kampanii społecznej promował go rzecznik praw dziecka Mikołaj Pawlak. Linia istnieje od 2008 r., lecz dopiero niedawno RPD zdecydował o rozszerzeniu jej działalności na całą dobę, a także uruchomił specjalny czat internetowy, gdzie dyżurują specjaliści prawnicy i psychologowie: brpd.gov.pl.

eprasa.pl cd394828f6

PAULA WŁODARCZYK

– psycholożka z **Telefonu Zaufania dla Dzieci i Młodzieży 116 111**

przy torach? Jeśli tak, prosimy, żeby odeszło od torów, żeby próbowało znaleźć na tę rozmowę bezpieczniejsze miejsce. Jakby ktoś tych naszych rozmów posłuchał, to zauważy, że wyłapujemy małe, drobne rzeczy, ale konkretne. A co do impulsywności, porywcze bywa nie tylko małe dziecko z myślami samobójczymi. Nastolatki też takie bywają. Czasami próby samobójcze podejmują po środkach odurzających, po dużej ilości alkoholu, po zażyciu narkotyku. Wciąż mamy z tyłu głowy, że może być potrzebne bardzo szybkie działanie, ale jednocześnie wyważone i delikatne. Nie możemy zareagować paniką, podniesionym głosem, krzykiem – musimy być opanowani. U tej osoby mnóstwo się dzieje emocjonalnie, a gdyby jeszcze po drugiej stronie linii zaczęło się panikowanie, krzyki, proszenie i lamenty, byłoby to zupełnie niepomocne. Potrzebny jest dystans i opanowanie, ale też ogromne skupienie na tej osobie, na wszystkich sygnałach, które jesteśmy w stanie usłyszeć.

Oprócz dźwięków otoczenia, tembru głosu coś jeszcze zwraca waszą uwagę? Pora wykonania tego telefonu?

– Pora niekoniecznie. Wiadomo, że jeśli dziecko dzwoni nad ranem albo w środku nocy i mówi, że jest poza domem, nas to niepokoi. Same tylko pory nie są jednak dla nas tak niepokojące, są tylko wskazówką. Natomiast zwracamy szczególną uwagę na to, czy dziecko w ogóle jest w kontakcie, czy odpowiada na pytania, czy jest poznawczo w dobrym stanie, czy rozumie, o co pytamy, czy jest może skupić się na odpowiedzi na pytanie, czy w ogóle mówi, bo czasem dzieci milczą. Powiedzą jedno słowo, zdanie i cisza. Czasem są impulsywne, poruszone, krzyczą. Wtedy naszym zadaniem jest wyciszenie dziecka do takiego stopnia, żeby udało się porozmawiać. Na wszystko musimy być wyczuleni, np. czy ktoś jest obok dziecka. Takie sygnały wyłapujemy uchem, ale też słuchamy emocji dziecka. Bo słychać je nie tylko w tonie głosu, ale też wtedy, gdy dziecko milczy. Domyślamy się, co się z nim dzieje. Rozmawiamy o emocjach, jakie mu towarzyszą w tym momencie.

Często pada słowo towarzyszą. Dzieciom brakuje towarzyszenia w tym trudnym dla nich stanie.

– Tak, towarzyszenia w różnych trudnościach dnia codziennego. Żyjemy w kulturze sukcesu: musisz być silny, sam musisz sobie radzić, nie możesz się zatrzymać na takich „małych" problemach, musisz zwyciężać, wybiegać do przodu, zdobywać różne dobra materialne. Taką ogromną presję wytwarzamy u dzieci często już na wczesnym etapie ich życia. Czasem rodzice są zdziwieni, bo przy dzieciach niczego takiego nie mówią. Ale tego wcale nie trzeba mówić, wystarczy, że dziecko obserwuje nasze funkcjonowanie. Widzi, jak dużo pracujemy, że ciągle dążymy do czegoś, nie mamy czasu na zatrzymanie się, że ciągle jesteśmy rozdrażnieni, zmęczeni. To wystarczające komunikaty, żeby dziecko myślało w określony sposób i nie przyszło po pomoc.

Użyła pani określenia: musimy być opanowani. My, czyli kto, psycholodzy? Ilu was jest?

– Linię obsługują psycholodzy i pedagodzy, zespół liczy prawie 70 osób. Przechodzą specjalne szkolenie. Musi być nas dużo, żeby działać całą dobę, także w weekendy i święta.

Jakie jest pani najbardziej traumatyczne doświadczenie z Telefonem Zaufania, coś co szczególnie utkwiło pani w pamięci?

– Dla nas zawsze dojmująca i poruszająca jest samotność dzieci w ich otoczeniu i siła w tej samotności. Niektóre dzieci kontaktują się z nami w naprawdę bardzo trudnym dla siebie momencie. Często latami doświadczały traumatycznych wydarzeń: przemocy, wykorzystania seksualnego, mierzyły się z depresją i innymi zaburzeniami psychicznymi i przez cały ten czas dawały radę. Żyły np. w rodzinie dysfunkcyjnej, alkoholowej. Zawsze mamy ogromne współczucie i podziw dla dziecka, że tak dużo było w stanie wytrzymać. Jednocześnie mamy ogromną złość, niezgodę na to, że dziecko tyle lat musiało chodzić z tymi problemami samo i dopiero gdy było na skraju wyczerpania, sięgnęło po telefon. Przez tyle lat nikt z jego otoczenia, bo poza rodziną jest szkoła, różne instytucje, dalsza rodzina, znajomi, nic nie zrobił, nie zareagował. Dziecko, dzwoniąc do nas, ma 15-16 lat, a trauma, o której opowiada, trwa od 10 lat.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl cd394828f6

Skąd dzieci dowiadują się o waszym telefonie?

– Głównie z internetu, wpisując w wyszukiwarkę hasła: depresja, problem, myśli samobójcze. Wtedy numer 116 111 szybko wyskakuje. Istnieje już od 2008 r., dzieci przyzwyczaiły się do niego, słyszały opowieści innych dzieci, bo rozmawiają na różnych forach, grupach. Czasem słyszą od pedagogów, psychologów szkolnych.

Czy śledzicie losy dzieci, którym pomogliście? Czy zdarzyło się, że mimo podjętej interwencji i pomocy, dziecko targnęło się na życie?

– Dalszych losów nie jesteśmy w stanie śledzić, ale z naszych informacji wynika, że podjęte przez nas interwencje są skuteczne. Pomoc dociera na szczęście na czas. Raz nam się zdarzyło, że zadzwoniła osoba dorosła w kryzysie. Do niej pomoc nie dotarła na czas.

Takie sytuacje muszą być dla was potworne.

– Zgadza się, są potworne. Bardzo je przeżywamy, bo zawsze zależy nam bardzo na jak najszybszym dotarciu do osoby chcącej popełnić samobójstwo.

W jaki sposób przygotowujecie się do tej wyczerpującej pracy?

– Wszystkie osoby odbierające telefony są po rocznym albo kilkumiesięcznym stażu w Telefonie Zaufania. Co roku prowadzimy taki staż. Obejmuje od 80 do 120 godzin szkoleń. Wtedy ćwiczymy różne scenariusze rozmów, omawiamy różne tematy i kategorie problemów, z którymi dzwonią dzieci. Mamy też regularne superwizje.

Telefon Zaufania dla Dzieci i Młodzieży to – jak widać – ogromnie potrzebna instytucja. Niestety, już po raz drugi nie otrzymaliście dofinansowania od państwa, za to z pomocą przyszli internauci.

– O ile w krajach europejskich finansowanie instytucjonalne utrzymuje się na poziomie od kilku do stu procent, w Polsce finansowanie bywa. Ostatnio większe finansowanie publiczne mieliśmy w 2013 r. Wspomogły nas Ministerstwo Edukacji i Urząd Miasta Warszawa. Wtedy udało nam się mnóstwo zrobić. Kiedy zmieniła się opcja rządząca, finansowanie zostało przerwane. Potem braliśmy udział w różnych konkursach, a ostatnio w konkursie Ministerstwa Zdrowia, który został unieważniony. W ostatnich dniach dostaliśmy informację, że również Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i Administracji w tym roku nie rozpisze konkursu na prowadzenie Telefonu Zaufania dla Dzieci i Młodzieży. Jest to dla nas ogromnym zaskoczeniem, bo dotychczas współpraca z ministerstwem układała się bardzo dobrze i była regularna. Owszem, zdarzały się przerwy, ale raczej co roku konkurs był rozpisywany. Co prawda, wsparcie finansowe MSWiA to tylko ok. 5% naszego budżetu, ale jednak to stała kwota, umożliwiająca działanie. W tej chwili nie mamy żadnego finansowania publicznego.

> Na wszystko musimy być wyczuleni, np. czy ktoś jest obok dziecka. Takie sygnały wyłapujemy uchem, ale też słuchamy emocji dziecka.

W sytuacji, gdy dostaje je TVP, ojciec Rydzyk itp., działania rządu są oburzające. Przecież same dzieci mówią wam, że nie ma dla nich pomocy psychologicznej i psychiatrycznej.

– Mówią, że dostęp do tej pomocy jest bardzo utrudniony albo że na bezpłatną pomoc trzeba bardzo długo czekać. Pamiętajmy, że często są to dzieci z biednych domów, ich rodziców nie stać na płatną pomoc. Prywatnie trzeba bardzo dużo płacić i mimo wszystko długo czekać.

Obecna zbiórka poszła błyskawicznie.

– Jesteśmy bardzo wdzięczni internautom. Ich pomoc jest dla nas poruszająca. Poprzednia zbiórka, dwa lata temu, oraz obecna to promyki nadziei. Wkładamy w tę pracę ogrom serca, mamy duży zespół z gigantycznym doświadczeniem, oddaniem, odpowiedzialnością, mimo to mierzymy się z bezczynnością państwa i własną bezradnością, gdy nie wiemy, czy będziemy mogli działać całą dobę oraz jak będzie wyglądała nasza przyszłość. Ratunek od internautów jest iskrą, dodaje mnóstwo energii, pozytywnego myślenia o przyszłości. Jednak kiedy bardziej w to się zagłębiam, mam sporo złości – to nie powinno tak wyglądać. Nie jest rolą internautów utrzymywanie Telefonu Zaufania dla Dzieci i Młodzieży. Przerażające i ogromnie poruszające są komentarze pod zbiórką dzieci korzystających z naszej pomocy. Piszą, że coś wpłacają, żeby tylko telefon nie przestał działać. To nie jest ich rola. Serce mi się kraje, gdy widzę, że dzieci, które są w trudnej sytuacji, martwią się, czy telefon przetrwa i czują chęć pomocy. Takie sprawy powinni im załatwić dorośli, którzy rządzą tym krajem. Jestem rozczarowana postawą rządzących.

Ile zebraliście, bo zdaje się, że są przekraczane kolejne magiczne granice?

– Gdy teraz rozmawiamy (19 stycznia rano), jest to 1,6 mln zł.

Ile interwencji z wykorzystaniem policji lub pogotowia podejmujecie?

– Niestety, z roku na rok ich liczba rośnie, nie ma czym się chwalić. Liczby po prostu mówią, jak bardzo nasza pomoc jest potrzebna. W tamtym roku były 823 interwencje, w 2020 – 747, w 2019 – 519. Dzwonią do nas coraz młodsze dzieci, w coraz gorszej sytuacji. Rozmowy są coraz dłuższe i coraz trudniejsze dla nas, coraz bardziej obciążające emocjonalnie.

Z liczb, które pani podaje, jednoznacznie wynika, że pandemia bardzo pogorszyła stan psychiczny dzieci.

– Pandemia nie pomaga, dezinformacja nie pomaga, powtarzające się w kółko zajęcia hybrydowe w szkołach też nie pomagają.

Beata Igielska
b.igielska@tygodnikprzeglad.pl

Nagroda dla Beaty Igielskiej

Nasza redakcyjna koleżanka Beata Igielska jest laureatką IV nagrody w konkursie Dziennikarz Medyczny Roku 2021 w kategorii prasa. To druga nagroda dla Beaty, w ubiegłym roku zajęła III miejsce. Prasowym Dziennikarzem Medycznym Roku 2021 został Paweł Walewski z „Polityki". W konkursie wzięło udział 117 dziennikarzy prasowych, radiowych, telewizyjnych i internetowych.

Gratulujemy!

eprasa.pl cd394828f6

Z Galicji

Jan Widacki

18 stycznia w Krakowie

18 stycznia 1945 r. wojska 1. Frontu Ukraińskiego Armii Czerwonej zajęły Kraków, kończąc tym samym trwającą od września 1939 r. niemiecką okupację. Na Wawelu znów załopotała biało-czerwona flaga, z wieży mariackiej po kilkuletniej przerwie zabrzmiał hejnał. Wkrótce uruchomiono uniwersytet, otwarto szkoły. Życie miasta i jego mieszkańców zaczęło wracać, na ile tylko się dało, do przedwojennego rytmu. Sowieci nie zdobywali miasta od wschodu, ale natarli od północnego zachodu i od północy. Ocaliło to od zniszczenia zabytkowe centrum miasta, bowiem Kraków jako stolica Generalnego Gubernatorstwa był przez Niemców przygotowany do obrony. Ufortyfikowano skrzyżowania głównych ulic, wykorzystano dawne austriackie forty Twierdzy Kraków. Zaminowano i przygotowano do wysadzenia wiele obiektów. 19 stycznia w godzinach przedpołudniowych wojsko radzieckie zajęło Stare Miasto. Ofensywa z zachodu i północy zaskoczyła Niemców, a groźba okrążenia zmusiła do odwrotu bez obrony miasta. Niemcy wycofali się w jedynym możliwym wówczas kierunku, to jest na południe, wysadzając za sobą mosty (m.in. most Dębnicki). Część zaminowanych obiektów uratowało polskie podziemie, przecinając kable i rozbrajając ładunki. W operacji wyzwalania Krakowa zginęło prawie tysiąc żołnierzy Armii Czerwonej.

W okresie PRL fakt wyzwolenia Krakowa obrósł wieloma mitami. Wedle oficjalnej wersji dowodzący 1. Frontem Ukraińskim marszałek Koniew, z natury podobno wrażliwy na piękno, miłośnik zabytków, a już szczególnie zabytków Krakowa, postanowił oszczędzić miasto i wyzwolić je słynnym „manewrem okrążającym". Nie wiem, czy Koniew był wrażliwy na piękno, czy miał jakiekolwiek pojęcie o zabytkach Krakowa. Ale decyzje podejmował jako dowódca wojskowy, a nie konserwator zabytków. Jego celem było szybkie zajęcie Górnośląskiego Okręgu Przemysłowego i nie chciał tracić czasu na zdobywanie ufortyfikowanego miasta. Zrobił więc to, co nakazywała mu sztuka wojenna, a nie sentyment do zabytków. Koniew dostał Virtuti Militari, został honorowym obywatelem Krakowa, miał w Krakowie ulicę, a na osiedlu Widok potężny socrealistyczny pomnik dłuta Antoniego Hajdeckiego. Ulica łącząca Bronowice z centrum Krakowa nosiła nazwę 18 Stycznia. Groby żołnierzy radzieckich i stosowny pomnik umieszczono na Plantach, w sąsiedztwie Bramy Floriańskiej i Barbakanu.

W III RP rozpoczęło się demitologizowanie wyzwolenia Krakowa. Realizowano je z pasją bodaj przewyższającą tę, z którą je kiedyś mitologizowano. Nie ma już ulicy 18 Stycznia, jest Królewska, nie ma ulicy Koniewa, jest Armii Krajowej. Zdemontowany pomnik wywieziono do Rosji, do Kirowa. Zlikwidowano cmentarz na Plantach przy Barbakanie, przenosząc go na cmentarz wojskowy na Rakowicach. Załatwił to ówczesny wojewoda Jacek Majchrowski, który zrobił to kulturalnie, dyplomatycznie, uzgadniając przeniesienie cmentarza z ambasadami Rosji i kilku innych państw byłego ZSRR, gdyż wśród poległych w walkach o Kraków żołnierzy radzieckich obok Rosjan byli Ukraińcy, Białorusini, Ormianie, Kazachowie i przedstawiciele innych jeszcze narodów dawnego ZSRR.

Zaczęło się poprawianie historii. Część historyków, którzy jeszcze niedawno budowali mit wyzwolenia Krakowa, po 1989 r. doznało nawrócenia i z pasją przystąpiło do demitologizacji. Zakwestionowano nawet samą nazwę „wyzwolenie Krakowa", twierdząc, że był to w gruncie rzeczy fakt bez znaczenia, zastąpienie jednej okupacji drugą. Te bzdury z upodobaniem powtarzają historycy, publicyści i politycy rządzącej opcji narodowo-katolickiej. Powtarzają też, że nieprawdą jest, że zabytki Krakowa nie ucierpiały, reprodukując zdjęcie uszkodzonej kaplicy Batorego w katedrze Wawelskiej. Tak, to prawda, na Wawel spadła jedna bomba. Zapomina się przy tym, że Wawel był siedzibą gubernatora Hansa Franka, a bombę zrzucono 17 stycznia, dając znać władzom Generalnej Guberni, że nie mogą czuć się bezpiecznie. Spadły też bomby w okolicach Dworca Głównego. Ale i tak zniszczenia Krakowa do zniszczeń Warszawy czy Wrocławia podobne nie będą.

Szacunek dla żołnierskich grobów jest elementem naszej cywilizacji.

Prezydent Krakowa Jacek Majchrowski co roku organizuje 18 stycznia uroczystość przy kwaterze żołnierzy radzieckich na cmentarzu Rakowickim. Uczestniczą w niej przedstawiciele władz miasta, organizacje kombatanckie, korpus konsularny. Dawniej, gdy władze wojewódzkie nie były jeszcze pisowskie, bywali przedstawiciele władz województwa, była asysta wojskowa, składano wieńce.

W tym roku asysty wojskowej ani nikogo reprezentującego władze rządowe nie było. Nie będą składać wieńców poległym żołnierzom radzieckim, w dodatku w sytuacji, gdy Rosja demonstruje siłę na granicy z Ukrainą! Otóż panie wojewodo, panie komendancie garnizonu i wszyscy ich szefowie, spróbujcie zrozumieć, że czcząc pamięć prawie tysiąca poległych żołnierzy, nie czci się rosyjskiego militaryzmu. Oddaje tylko cześć żołnierzom, których, nie pytając o zdanie, wcielono do wojska, wysłano na front, kazano się bić. A oni spełnili swój żołnierski obowiązek do końca, składając ofiarę życia. Spoczywają teraz z dala od ojczystych stron, zapomniani. Szacunek dla żołnierskich cmentarzy, dla żołnierskich grobów, nawet grobów żołnierzy nieprzyjacielskich wojsk, jest elementem naszej cywilizacji. Dlatego te cmentarze są pod ochroną międzynarodowych konwencji. Czy i ten fragment naszej cywilizacji jest wam obcy?

j.widacki@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl cd394828f6

Niemal każdy zaintubowany chory na covid łapie infekcję bakteryjną i powstaje szpitalne bakteryjne zapalenie płuc.

Jak leczyć covid, by pacjenci nie umierali?

Wiele leków pomaga organizmowi walczyć z wirusem. Polscy lekarze masowo jednak leczą antybiotykami i paracetamolem

Beata Igielska

Covid dopadł starsze małżeństwo z Warszawy po trzeciej dawce szczepionki. On przechodził infekcję łagodnie, ona źle. Na dzień dobry obydwoje dostali antybiotyk. Również w szpitalach chorym na covid masowo podaje się antybiotyki, bez refleksji, czy to ma sens. W wypadku starszej pani antybiotyk mógł być potrzebny, bo rozwinęło się zapalenie płuc, w wypadku pana jego podanie było zupełnie bez sensu. W tej historii, jakich w Polsce ostatnio tysiące, szczególnie oburza fakt, że absolutnie nie było mowy, żeby którykolwiek lekarz POZ osłuchał tych ludzi – pacjentom kaszlącym przysługuje teleporada.

Nie dziwmy się więc, skąd mamy 100 tys. zgonów covidowych. W niechlubnej statystyce tygodniowej liczby zgonów wyprzedza nas tylko Bułgaria – ponad 12 na milion mieszkańców; w Polsce – 11,8 na milion. Dla porównania: w Niemczech – 3,2 na milion; w powalonej omikronem Wielkiej Brytanii – mniej niż 2 zgony na milion. Tę statystykę napędzają szpitale, w których na 100 pacjentów podłączonych do respiratora umiera 99! Są szpitale powiatowe, w których na intensywnej terapii leczy się tak jak 30 lat temu.

Doskonałe wyniki w leczeniu covidu dało zastosowanie budezonidu.

Respirator to ostateczność

– Wiele osób pisze na mój służbowy adres mejlowy, błagając o pomoc – opowiada prof. Piotr Kuna, pulmonolog z Kliniki Chorób Wewnętrznych, Astmy i Alergii Wydziału Lekarskiego UM w Łodzi. – Piszą, że bliskich zaintubowano. Pytam, dlaczego. Bo były duszności. Wszyscy poumierali. Intubacje robi się oczywiście w akcie desperacji, żeby ratować życie. Ale trzeba dokładnie zrozumieć mechanizm covidu. Jest kilka różnych czynników, które powodują, że tlen przestaje przechodzić z pęcherzyków płucnych do krwi. My na siłę próbujemy wpychać ten tlen. To nie takie proste, jak się wydaje. Należy przede wszystkim zwalczać przyczynę, czyli ograniczyć zaburzenia, które prowadzą do braku dyfuzji tlenu z pęcherzyków płucnych do krwi – tłumaczy profesor.

Niemal każdy chory na covid po zaintubowaniu od razu łapie infekcję bakteryjną i powstaje szpitalne bakteryjne zapalenie płuc. Tak chorego człowieka naprawdę trudno wyleczyć.

FOT. PIOTR HUKAŁO/EAST NEWS

eprasa.pl cd394828f6

Dodatkowo nie ma wystarczającej liczby personelu medycznego do opieki nad pacjentami pod respiratorami.

– Oni powinni być co pół godziny przekładani na brzuch, na boki. Tymczasem słyszę od lekarzy, że na osiem łóżek respiratorowych jest jedna pielęgniarka. Co ona biedna może? Trzeba sobie powiedzieć krótko: jeden pacjent covidowy, jedna pielęgniarka do opieki nad nim 24 godziny na dobę. A ponieważ personelu nie ma, trzeba robić wszystko, żeby pacjenci nie musieli trafiać na intensywną terapię. Pacjentów na oddziałach covidowych leczą lekarze bez doświadczenia w pulmonologii. Dermatolodzy, okuliści, bo do tej pracy skierował ich wojewoda. Pulmonologii ludzie uczą się 20 lat! To tak, jakby zamiast profesjonalnego strażaka pożar w domu gasił domownik – denerwuje się prof. Kuna.

Oprócz szpitali umieralni są też takie, w których śmiertelność pod respiratorem jest poniżej 50%. Czyli można leczyć w cywilizowany sposób. Sprzęt w Polsce mamy nie gorszy niż na Zachodzie. Gorzej z kulturą leczenia.

Czym leczyć?

Na uniwersytecie w Oksfordzie przeprowadzono badania nad zastosowaniem leku Budesonide Turbuhalaer, budezonidu. Badacze robili pacjentom covidowym inhalacje w dawce dwa razy 800 mikrogramów, ale można też podać cztery razy 400 mikrogramów. Dowiedli, że podanie tego leku natychmiast po stwierdzeniu zakażenia SARS CoV-2 redukuje ryzyko rozwoju zapalenia płuc o ponad 90%. Leczenie powinno trwać 15 dni. Badanie zostało przerwane, bo dało tak doskonałe wyniki, że stwierdzono, iż niepodawanie tego leku jest błędem w sztuce i jest szkodliwe dla pacjenta. Tę metodę leczenia zaaprobowała Polska Agencja Oceny Technologii Medycznych. Jednak zdaje się, że nie zaaprobowała jej większość lekarzy wciskających pacjentom antybiotyk.

Prawie 2 tys. leków blokuje replikację wirusa w komórkach.

Prof. Kuna pierwszego pacjenta ambulatoryjnego, który powrócił z podróży zagranicznej z dziwnymi objawami – jak się później okazało covidowymi – przyjął w styczniu 2020 r., potem miał grupę Włochów pracujących w Łodzi z równie dziwnymi objawami. – Wszyscy zostali wyleczeni, choć nie wiedziałem, że leczę covid – mówi profesor. Od samego początku pandemii żaden z jego pacjentów nie zmarł na covid ani nie wymagał hospitalizacji. Nie jest z tych, co głoszą cud amantadyny.

– Nie leczę za pomocą tego specyfiku. Pokazuję na własnym przykładzie, że można tak leczyć ambulatoryjnie, żeby pacjenci nie umierali. Przede wszystkim leczę chorego człowieka. Badania udowadniają, że prawie 2 tys. leków w sposób nieswoisty blokuje łączenie się wirusa z receptorem, czyli blokuje replikację wirusa w komórkach. Krótko mówiąc, wirus nie może się namnożyć i choroba zostaje powstrzymana. Takim właśnie lekiem jest m.in budezonid. Ciekawymi lekami są telmisartan czy nebiwolol stosowane w leczeniu nadciśnienia. One również hamują namnażanie wirusa. Pacjenci leczący nadciśnienie telmisartanem o 40% rzadziej zapadają na covid. Czyli trzeba wiedzieć, jakie leki podawać w leczeniu licznych chorób przewlekłych, szczególnie u osób po 60. roku życia, żeby zmniejszyć ryzyko zakażenia SARS CoV 2 – tłumaczy prof. Kuna.

Minister Adam Niedzielski pytany, dlaczego tak wielu Polaków umiera z powodu covidu, wskazuje na niższy niż w innych krajach odsetek zaszczepionych. To już standard. Boleje też, że chorzy za późno zgłaszają się do lekarza z objawami choroby oraz że polskie społeczeństwo ma słabą kondycję zdrowotną z powodu niewłaściwego stylu życia, złego odżywiania się i zaniechania regularnych badań. Czas skończyć z tą fikcją. Za to, że tylu Polaków umarło w ostatnich miesiącach, odpowiada fatalnie zarządzany system ochrony zdrowia – i to nie tylko przez obecnie rządzących. Pandemia kosztem tysięcy istnień ludzkich uwidoczniła jego mizerię.

b.igielska@tygodnikprzeglad.pl

PS Dzieci starszych państwa wezwały lekarza na wizytę prywatną. Za 300 zł chętnie przyjechał do chorych. Wszedł nie w kombinezonie, a jedynie w maseczce. Na Zachodzie na oddziałach covidowych kombinezonów nie używa się od dawna, bowiem dużo łatwiej na nich przenieść z chorego na chorego inne drobnoustroje niż koronawirus.

W poczuciu głębokiej straty
serdecznie współczuję

Staszkowi Sołtysowi

po śmierci tak bliskiej Mu Żony Eli

Wyrazy współczucia składam
Jego Bliskim

Jerzy Domański

Staszkowi Sołtysowi

po śmierci Żony Eli

przesyłamy słowa głębokiego żalu, współczucia,
otuchy i wsparcia

Hanka i Jurek Słabiccy

eprasa.pl cd394828f6

TESTAMENT I ZIELONY PARAPET

Gośka zrobiła zaległe badania, Aga przestała pić, Marek edukuje – każdy ma swój sposób na pandemię

Anna Stachowiak

Niepokój. Lęk. I strach. Takie słowa zdaniem osób biorących w badaniach zaprezentowanych w raporcie „Życie codzienne w czasach pandemii" przygotowanym przez socjologów z UAM w Poznaniu najlepiej obrazują pandemię. Często pojawiały się też „panika" i „niepewność". Pierwszym słowem o pozytywnym zabarwieniu był „spokój". A dalej „zmiana", „troska, „solidarność". Na pytanie, czy pod wpływem pandemii w życiu respondentów zaszły zmiany, 66% odpowiedziało „tak", 24% „nie", a 10% „trudno powiedzieć". Zmiany dotyczą wszystkiego: sposobu pracy, tego, jak robimy zakupy, jak gotujemy, jak często korzystamy z usług medycznych, z oferty kulturalnej, jak często się (nie) spotykamy ze znajomymi. Ale też, jak myślimy o życiu i jego priorytetach.

Z innego badania – „Nastroje Polaków, uczucia i spojrzenie na przyszłość – zmiany, które spowodował COVID-19" – przeprowadzonego przy współpracy Instytutu LB Medical i agencji badawczej SW Reaserch wynika z kolei, że 67% Polaków chce wrócić do życia sprzed pandemii, a 25% tęskni za przedpandemicznymi czasami, ale nie w każdym aspekcie. 22% jest zdania, że ich życie nie zmieniło się wcale, ale już 13% uważa, że zmiany są na plus.

Wiele osób, próbując dostosować się do nowej rzeczywistości, zaczęło bardziej o siebie dbać: lepiej jeść, ćwiczyć, znajdować czas na przyjemności. Coraz więcej próbuje znaleźć ukojenie w rytuałach. Ale także we wspieraniu innych i w przygotowaniu się na możliwe scenariusze – także takie, które przed marcem 2020 r. były niewyobrażalne.

Gotowa na wszystko

Przed pandemią organizacja nie była mocną stroną Aleksandry. Wszystko puszczała na żywioł, uważając, że jakoś to będzie. Na zakupy znajdowała czas, kiedy w lodówce było tylko światło. – Walnęło mnie któregoś razu, gdy czytałam artykuł o kolejnych zgonach. Do tamtej pory myślałam, że to zaraz minie, nie ma co popadać w paranoję i kupować stu rolek papieru toaletowego – mówi. Ale kolejne nagłówki o zagrożeniu, nowych wariantach wirusa, a najbardziej te o zmarłych sprawiły, że potraktowała pandemię poważniej. – Nie było wielkiej rewolucji, po prostu zaczęłam regularniej robić zakupy i kupowałam na zapas. Makaron, ryż, tuńczyka w puszce, a przy okazji o jedno opakowanie mydła i szamponu więcej. Skoro może zabraknąć wszystkiego, to uzupełnię leki, a co mi szkodzi – opowiada.

Po prawie dwóch latach pandemii zapasy gromadzi, jak mówi od drugiej czy trzeciej fali. W zasadzie przez kilka miesięcy mogłaby nie wychodzić z domu. Ma wszystko: mąkę, ryż, kasze, makaron, przetwory, musy, puszki. Na kawę i herbatę oddzielną półkę. Postarała się też o zapas leków, które bierze na stałe. Do tego środki przeciwbólowe, na przeziębienie, maści na popularne infekcje i wysypki. – No i mam zapas świec, specjalne zapałki, których

eprasa.pl cd394828f6

nie da się zamoczyć, porządną latarkę, duży zapas różnych baterii – dodaje. Nigdy nic nie wiadomo. Ale – mówi – nie popada w przesadę: bunkra nie ma. Ani generatora prądu. Ani maski gazowej. Na razie. Są za to rośliny na parapecie, szczypior, pietruszka, rzeżucha. W sezonie na balkonie sadzi pomidory. I zaczęła segregować śmieci – tak porządnie. Ma kompostownik, torbę na plastik, szkło, zmieszane. Ktoś o tę planetę musi zadbać.

U Anki podobnie. Tyle że ona, zamiast na zapasach i ratowaniu planety skupiła się na sprawach, które wymagały uporządkowania, ale gdyby nie pandemia i dziwaczne – mówi – tory, na które pchnęła jej myśli, pewnie długo by się tym nie zajęła. – Wcześniej zawsze miałam zaległości w opłatach, nie dlatego, że brakowało mi pieniędzy, po prostu nie zwracałam na to uwagi. Płaciłam rachunki, jak mi się przypomniało, zdarzało się, że miałam egzekucje komornicze, bo ciągle obiecywałam sobie, że zapłacę jutro albo pojutrze. Bo teraz nie mam czasu, ochoty, cokolwiek. W pandemii uregulowałam wszystkie zaległości – łącznie ze starociami związanymi z dawno wygasłą umową z operatorem komórkowym – i płacę wszystko na bieżąco – zapewnia.

Zaczęła kontrolować wydatki – prowadzi ewidencję. 100 zł za prąd, 30 za gaz, czynsz 650, szkoła młodej – 2 tys. Zapisuje, ile wydała na zakupy, ile na lekarza, ile na kawę na mieście. Bo to właśnie o młodą chodzi. – Cały czas słyszę, że nikt nie jest bezpieczny, bo koronawirus może dopaść każdego i różnie może być. I pomyślałam sobie, że w razie czego, nie zostawię przecież dziecka z niezałatwionymi sprawami – dodaje.

To dlatego zaczęła oszczędzać – co znacznie ułatwia skrupulatny rejestr wydatków. W czasie pandemii udało jej się odłożyć 20 tys. zł bez specjalnych wyrzeczeń, po prostu zamiast puszczać finanse na żywioł, zaczęła nimi zarządzać. – Przyznam się: napisałam też testament. Bo naprawdę cholera wie – dodaje. Podkreśla, że jeszcze dwa lata temu nie przyszłoby jej to do głowy, zawsze optymistycznie patrzyła w przyszłość, a testament kojarzył jej się ze staruszkiem na łożu śmierci. Zdanie zmieniła, kiedy covid ją poturbował.

Nie jest jedyna. Wszyscy się boją – i o siebie, i o bliskich. Z danych przekazanych serwisowi money.pl przez Krajową Radę Notarialną wynika, że w 2020 r. notariusze w całej Polsce sporządzili 145 929 testamentów, o ponad 2 tys. więcej niż rok wcześniej. Notariusze mówią, że zainteresowanie jest coraz większe.

W 2020 r. notariusze sporządzili 145 929 testamentów, o ponad 2 tys. więcej niż rok wcześniej. Zainteresowanie jest coraz większe.

Anka akurat do notariusza nie poszła, tylko wyszukała, jak to zrobić samodzielnie. Dokument trzeba napisać odręcznie, podpisać i zaznaczyć datę. Mieszkanie zapisała córce, podobnie jak oszczędności i drobiazgi. Opiekę nad nią powierzyła rodzicom, a w razie czego – siostrze.

I jest trochę spokojniejsza. Przedtem lęk o przyszłość ją dobijał. Teraz trochę go oswoiła.

Pomocą w samotność

Sposobów na lęk jest więcej. Podobnie jak na samotność, pandemiczną plagę. W Polsce co czwarty dom prowadzi osoba samotna. Mamy 7,5 mln singli. 14% osób po 65. roku życia – często owdowiałych – czas spędza samotnie. W pandemii zasady społecznego dystansu i izolacji sprawiły, że coraz więcej osób dotkliwie odczuwa samotność, co z kolei sprawia, że coraz gorzej czuje się psychicznie. „Wiele osób zgłasza nasilone objawy psychopatologii, takie jak ciągły lęk, obniżenie nastroju, przewlekłe napięcie. (...) Obecna sytuacja epidemiologiczna wiąże się ze zwiększonym ryzykiem zaburzeń adaptacyjnych i innych zaburzeń emocjonalnych (zespołu stresu pourazowego – PTSD, zaburzeń depresyjnych i lękowych)", piszą w raporcie z badania na temat zdrowia psychicznego w czasie pandemii naukowcy z Uniwersytetu Warszawskiego, z zespołu kierowanego przez dr hab. Małgorzatę Dragan. 75% osób określiło pandemię jako „stresujące wydarzenie". Więcej osób cierpi na depresję, lęk, zaburzenia adaptacyjne i PTSD.

Pani Jolanta, lat 65, postanowiła walczyć z poczuciem beznadziei. – Syn mieszka z rodziną za granicą, z oczywistych powodów nie przyjeżdżają tutaj, a ja nie jeżdżę do nich – mówi. Jest zaszczepiona, ale z uwagi na nadciśnienie i cukrzycę jest w grupie ryzyka, ograniczyła kontakty z i tak niewielkim gronem koleżanek. – Siedziałam w domu, ale ile można czytać, gotować i sprzątać. Czasem jakiś spacer. Któregoś dnia przeglądałam Facebooka i było ogłoszenie, grupa wolontariuszy zbierała jedzenie dla seniorów (czyli, tłumaczy pani Jolanta, takich po osiemdziesiątce). Napisałam, że mogę ugotować zupę, tylko niech ktoś przyjedzie odebrać – mówi. Przyjechali, odebrali, a ona zaczęła szukać, komu jeszcze mogłaby pomóc. Na początku po omacku, potem zapisała się do grup sąsiedzkich na Mokotowie i tak gotuje i szykuje już od prawie roku. – Nie narzekam, mam porządną emeryturę i syn mi pomaga. Mogę się podzielić, przy okazji mam zajęcie – opowiada. Do słoików z gołąbkami i krupnikiem dołącza czasem karteczki „dzień dobry", „miłego dnia", rysuje uśmiech. – Takie tam drobiazgi – mówi.

Społeczne Forum Wymiany Myśli we Wrocławiu

zaprasza na debatę z cyklu „Tajne komplety" pod hasłem „Czym jest wolność?".

Udział w niej wezmą prof. Joanna Hańderek – filozofka z Uniwersytetu Jagiellońskiego oraz Roman Kurkiewicz – zastępca redaktora naczelnego PRZEGLĄDU. Moderatorem będzie Marta Stożek, wrocławska działaczka i polityczka.

27 stycznia 2022 r. godz. 17, Wrocław, Przejście Garncarskie 2

Debata będzie transmitowana online.

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl cd394828f6

To te słowa z badań, które pojawiały się rzadziej: „solidarność” i „troska”. Inni mówią: staram się wspierać małe firmy, na których istnieniu mi zależy; szyję maseczki według zaleceń z internetu; organizujemy pomoc dla pacjentów. Wspieranie (się) ma moc terapeutyczną.

– Okres pandemii był dla wielu z nas czasem odkrywania alternatywnych sposobów na życie. I chociaż do większości zostaliśmy zmuszeni, to okazuje się, że wiele osób odnalazło w tych zmianach pozytywny wpływ na własne życie. Dlatego chcemy, żeby pomimo powrotu do tzw. normalności, one z nami pozostały – mówi w wywiadzie Dorota Bieniek-Kaska, prezeska Instytutu LB Medical, inicjatorka kampanii #NASZAwtymGŁOWA.

Przegląd i podlewanie

Inni też dbają, ale głównie o siebie. – Pomyślałam tak: pracuję zdalnie, mam dużo czasu, który przecieka mi przez palce, to zajmę się sobą – mówi Gośka. Czytała doniesienia o covidzie i postanowiła zrobić pełny przegląd: morfologia, hormony, cytologia (pierwsza od trzech lat, bo czasu nie było), USG piersi i tarczycy. A jak już była w gabinecie, to zrobiła i USG brzucha. – Pomyślałam: jakby, nie daj Boże co, to wolę być w dobrej formie – opowiada. Kiedy badania wyszły w porządku – są guzki w tarczycy, ale niegroźne – odetchnęła, ale poszła dalej. Zaczęła interesować się tym, co je, suplementować wit. C, D, selen, cynk magnez. – Mięso jem maksymalnie dwa razy w tygodniu, dwa razy ryby, kupiłam zapas ziemniaków, marchwi, jabłek od rolnika. Gotowej żywności nie kupuję, za dużo soli i ulepszaczy.

Dzień zaczyna od szklanki złotego mleka, czyli gorącego mleka z pastą z kurkumy. Je dużo kiszonek, robi je na bieżąco. Siemię lniane daje do owsianki i kotletów – świetnie robi na żołądek. Na odporność – imbir i czosnek. I dużo ziół do parzenia: ostropest na wątrobę, szałwia na gardło, czystek. Eksperymentuje, testuje, zamawia książki kucharskie albo szuka przepisów w internecie. Półtora roku temu zamawiała dania w KFC. Dziś robi kotlety z buraka i kaszy.

Kaśka zamieniała dom w dżunglę. – Zaczęło się od zakurzonych paprotek, które dała mi mama – śmieje się. Potem w supermarkecie kupiła monsterę, bo słyszała, że łatwo ją hodować. Potem były pieniążek, filodendron, sanseweria, skrzydłokwiat i sukulenty. Idealne dla początkujących. Dziś rośliny wiszą nawet na karniszach – na meblach i podłodze nie ma już miejsca. – Jakoś tak wyszło – mówi. – Podlewam je, przesadzam (nie teraz, nie sezon). Rosną jak szalone – dodaje.

W domu jest przyjemnie, powietrze lepsze, a ona ma zajęcie. – W pewnym momencie zaczęło to przypominać obsesję. Jak rzucali nową monsterę, odmianę monkey, leciałam do Lidla, żeby na pewno dostać – śmieje się.

„Dbanie o siebie” znalazło się na jednym z pierwszych miejsc wśród sposobów na niepoddanie się pandemicznemu marazmowi w raporcie przygotowanym przez UAM.

To działa. Małe przyjemności: dobry obiad, odżywiona roślina, miłe wnętrze. Właśnie: wnętrze. Zdalna praca przemeblowała nam nie tylko życie zawodowe, ale i domy. Nagle okazało się, że w mieszkaniu nie ma gdzie się schować, żeby spokojnie popracować, wziąć udział w spotkaniu na zoomie czy porozmawiać przez telefon. Polacy rzucili się więc do supermarketów budowlanych: przestawiać, oddzielać, meblować na nowo. Wojtek stwierdził, że skoro trzeba wydzielić miejsce do pracy dla niego i żony, to czemu nie zrobić małego remontu. W sypialni zrobił kącik do pracy – można się schować za parawanem, zamontował światło, a biurko postawił tak, że jeśli będzie potrzeba, mogą przy nim pracować dwie osoby, a przy okazji pomalował mieszkanie. Na kolory nie mógł już patrzeć, potrzebował przestrzeni i oddechu. Ściany stały się białe. Przepatrzył szuflady, wywietrzył szafę, zrobił porządek w bibliotece. Porządki dobrze robią na głowę.

Aga też zrobiła porządek. I porządnie jest już od 12 miesięcy. Kilka dni temu świętowała rok w trzeźwości. Tymczsem na całym świecie odnotowano ogromny wzrost spożycia alkoholu. Jak wynika z raportu Global Drug Survey, opartego na badaniach prawie 60 tys. osób z Niemiec, Francji, Wielkiej Brytanii, Irlandii, Austrii, Holandii, Szwajcarii, Australii, Nowej Zelandii i Stanów Zjednoczonych, aż 43% osób wskazało, że w czasie pandemii częściej pije alkohol. 36% twierdzi, że pije więcej. W Polsce – to badania Biostatu – jest podobnie: co piąty Polak pije alkohol co najmniej kilka razy w tygodniu, co dziewiąty pije więcej podczas pandemii, ale ponad 20% Polaków i Polek ograniczyło picie alkoholu lub całkowicie go wyeliminowało. W tym Aga.

– Piłam. Piłam dużo. Butelkę wina otwierałam o 17, o 21 szłam po kolejną. Potem okazało się, że mogę napić się o 11, bo wszystkie spotkania miałam zdalnie. Przez pierwsze kilka miesięcy pandemii ciągle byłam lekko nawalona – mówi. Na początku było OK, dawała radę z pracą, tłumaczyła sobie, że pije dla rozluźnienia, i tak nie ma nic lepszego do roboty. W grudniu 2020 r. było już źle – raz wsiadła za kierownicę po kilku kieliszkach wina. Paru wieczorów nie pamięta. Zawaliła kilka terminów, straciła klientów. W styczniu powiedziała: dość. – Nie poszłam na terapię. Zrobiłam sobie test online i wyszło, że jest problem – jakbym tego nie wiedziała. Stwierdziłam, że coś jest nie tak. Zrobiłam sobie miesiąc przerwy – łatwo nie było.

Ciągle zwracam komuś uwagę. Nie założysz maseczki? Proszę bardzo, dzwonię po policję.

Naszym Przyjaciołom z „Angory”

Mirosławowi i Robertowi Kulisiom oraz ich Bliskim
głęboko współczujemy
po śmierci mamy Marii

Jerzy Domański, Agata Mierzejewska i zespół „Przeglądu”

eprasa.pl cd394828f6

Ale po tym miesiącu zobaczyłam, że jest mi lepiej. Głowa pracowała sprawniej, lepiej spałam, kac przestał być moją zmorą. Choć był czas, kiedy właściwie go nie odczuwałam, bo ciągle piłam – mówi.

Trzeźwość to zasługa pandemii? – Szczerze, to pewnie gdyby nie koronawirus i wszystko to, co związane z pandemią, toby się nie wymknęło spod kontroli. Więc to raczej przez pandemię zaczęłam dużo pić, choć widocznie miałam takie skłonności i one wcześniej czy później w życiu by wyszły. W jakimś sensie pandemii zawdzięczam i picie, i trzeźwienie – dodaje.

Załóż maseczkę, do cholery

Dbanie o siebie ma jeszcze inny wymiar. To zakładanie maseczek w przestrzeni publicznej, dbanie o dystans, przestrzeganie zaleceń epidemicznych. Nie mają z tym problemu kraje, w których jest duży kapitał społeczny i zaufanie do rządzących. Polacy jednak rządowi nie ufają, a w pandemię wciąż wielu nie wierzy. Za to w teorie spiskowe już tak. Z badań przeprowadzonych na SWPS wynika, że 26,2% respondentów uważa, że koronawirus jest zjawiskiem celowo nagłaśnianym przez koncerny farmaceutyczne, a aż 30,7% nie ma na ten temat zdania. Komunikaty osób publicznych, choćby słowa małopolskiej kurator Barbary Nowak o szczepionkach będących „eksperymentem", tylko wzmacniają te postawy. Wystarczy pójść do supermarketu –- połowa osób jest bez maseczek, część nosi je pod nosem, ludzie nie przestrzegają zasad dystansu.

Marek: – Szlag mnie trafia. Jestem w centrum handlowym, czekam na windę. Napisane wołami: „Z uwagi na pandemię z windy mogą korzystać cztery osoby jednocześnie". Wsiadam, ze mną jeszcze trzy osoby, szykuje się kolejnych pięć. Zaraz, mówię, tylko cztery osoby, proszę poczekać. W odpowiedzi od dwóch wyrostków: „Ja pierdolę". W supermarkecie facet na mnie wchodzi i chucha mi w szyję. Na moją uwagę reaguje agresją.

Ale Marek się nie zraża i edukuje. – Ciągle zwracam komuś uwagę. Nie szczypię się z ludźmi – jasno i dobitnie komunikuję: „Nie założysz maseczki? Proszę bardzo, dzwonię po policję" – dodaje. Nie może zrozumieć, skąd ta niefrasobliwość. – Szczerze? Pandemia pokazała mi, jak bardzo w tyle jesteśmy w każdej sferze życia. Szok. Jak nie zaczniemy o siebie naprawdę dbać nawzajem, to nikt o nas nie zadba, do cholery – dodaje. Wcześniej nie miał zapędów społecznikowskich.

Anna Stachowiak

Pandemia pokazała, jak bardzo w tyle jesteśmy w każdej sferze życia. Jeśli nie zaczniemy o siebie naprawdę dbać nawzajem, nikt o nas nie zadba.

eprasa.pl cd394828f6

Opiekuj się sobą jak dzieckiem

Inwestuj w zabawę, relaks. Po co? Bo potrzebne nam jest ładowanie. Jeśli rozładuje się nam bateria, nie damy rady

Rozmawia Anna Stachowiak

KATARZYNA KUCEWICZ
– psychoterapeutka

Mamy kryzys globalny i wiele kryzysów lokalnych. Z kolejnych badań wynika, że nasze zdrowie psychiczne coraz bardziej szwankuje – nasilają się stany lękowe, jest więcej depresji, mamy poczucie braku sprawczości. Jak sobie radzić?

– W sytuacji pandemii, jej kolejnych fal i obostrzeń, na co nakładają się problemy w kraju, jesteśmy coraz bardziej napięci i zmęczeni. Te sytuacje stresują nas do tego stopnia, że niektórzy przestają dawać sobie radę z codziennością. Jesteśmy bardziej podenerwowani, smutni, depresyjni, bo wiele sytuacji, które nas dotykają, są męczące i drażniące. Wypala nas brak spokoju i stabilizacji, jesteśmy ciągle straszeni, mamy poczucie zagrożenia. Psychologowie porównują stan, w jakim się znajdujemy, do wojny.

Mówi pani o strachu. Teraz boimy się zajrzeć do mediów, żeby nie dostać kolejnej porcji złych wieści. Mamy kryzys praworządności, kryzys humanitarny na granicy, Polski Ład, walczymy o wolne sądy, o wolne media. Jak okiełznać strach, żeby nas nie paraliżował?

– Warto zanurkować w głąb siebie i zadać sobie pytanie, w jakiej jesteśmy kondycji, rozpoznać obecny stan emocjonalny. Nie zagłuszać emocji odgrywaniem roli twardziela, tylko dać sobie prawo do tego, by na chwilę się zatrzymać, pomyśleć o tym, jakie emocje nas przytłaczają. Dla jednych osiową emocją jest strach, takie osoby za wszelką cenę usiłują go unikać, włączając np. mechanizm gigantycznej kontroli. Drudzy bardzo się denerwują i atakują, kłócą się. Inni zaczynają obojętnieć. Ale niezależnie od tego, co dominuje, powinniśmy postępować jak z bolącym zębem – boli, to idziemy do dentysty, a jeśli czujemy przeciążenie, należy o siebie zadbać.

Jak?

– Wygospodarować czas dla siebie – i to więcej niż kwadrans czy pół godziny raz w tygodniu. Potrzebna nam minimum godzina dziennie na osobistą regenerację, pobycie przy sobie, przy swoich potrzebach. Ktoś powie, że to za dużo, że dzisiejsze tempo życia uniemożliwa *self care* w pełni. Ale przecież przyglądamy się temu, co jemy, bierzemy suplementy, witaminy, ćwiczymy, więc czemu zapominamy o regeneracji głowy? W dzisiejszych czasach wciąż dominuje kult ciała – głową nikt się nie martwi, dopóki nie pojawi się poważny kłopot, jak depresja. Choć i nawet wtedy niektórzy wciąż bagatelizują siebie i swoje uczucia. Warto zarządzać relaksem aktywnie: nie tylko oglądać seriale czy scrollować *social media*, ale wziąć kąpiel, zapisać się na masaż, porozmawiać z kimś, z kim dawno nie rozmawialiśmy, poczytać książkę i oderwać się od wszystkiego. Nie trzeba w to angażować innych osób, np. partnera, tylko pobyć ze sobą. Potrzebujemy powrotu do siebie, ale nie na zasadzie emigracji wewnętrznej i odcięcia się od bodźców, ale żeby się ze sobą spotkać, wsłuchać w siebie. Spotykamy się ze stresem, trudnymi sytuacjami, a zapominamy troszczyć się o siebie.

To nie brzmi jak coś szczególnie trudnego, a jednak mamy z tym problem.

– Jako psychoterapeutka od wielu lat zachęcam osoby w moim gabinecie, które trafiają tu w sytuacji kryzysu, by traktowały się tak, jak traktowałyby dziecko wymagające uwagi i troski. Masz pod opieką dziecko, a tym dzieckiem jesteś ty. Jeśli chce czegoś, czego nie możesz mu dać – negocjuj. Odpuszczaj perfekcjonizm, inwestuj w zabawę, relaks. Po co? Bo potrzebne nam ładowanie. Jeśli nam się rozładuje bateria, nie damy rady. Jak trafnie powiedział to prof. Wiktor Osiatyński: „Spójrz w lustro, zrób przedziałek i odpierdol się od siebie".

Dużo jest poprawiaczy nastroju, wyciszaczy, choćby alkohol. Z badań na całym świecie wynika, że coraz więcej osób w pandemii pije ryzykownie.

– Sięganie po alkohol to częsta próba ukojenia tego, co czujemy, znieczulenia się. To jest coś, co nazywam paraładowaniem, ale nie działa. Na chwilę być może poprawi nastrój, ale na dłuższą metę nie zadziała. To nic nie daje naszemu dobrostanowi psychicznemu. Nie musimy robić tego, co robią wszyscy – chodzić na jogę, pilates, jeździć na narty do kurortów. Możemy pić dobrą herbatę, hodować zioła, robić cokolwiek, co nam sprawia przyjemność. Jeśli radością jest wzięcie ołówka i rysowanie, super, nie trzeba robić nic spektakularnego. Pamiętajmy, że to powinien być rytuał, coś powtarzalnego, a nie coś, co robimy z doskoku, wtedy gdy sobie przypomnimy.

FOT. JUSTYNA ROJEK/DDTVN/EAST NEWS

eprasa.pl cd394828f6

Codziennie daję sobie trochę przestrzeni dla siebie i tak dbam o swoje zdrowie psychiczne. Takie działania mogą nam pomóc uchronić się przed kryzysem psychicznym.

Mówiła pani o bodźcach – mam wrażenie, że trudno się przed nimi schować. Są wszechobecne.

– Trzeba dozować sobie informacje, bo każdy z nas ma inny próg wrażliwości i wytrzymałości. Na jednej osobie nie zrobi wrażenia informacja o kolejnych setkach zgonów na covid, kryzysie na granicy i zapaści w polskiej psychiatrii dziecięcej, druga nie da rady tego udźwignąć. Każdy człowiek inaczej odbiera to, co słyszy, i kluczem jest poznanie naszego progu, żeby nie przesadzić ze stymulacją. W domu trzeba zadbać o równowagę. Jeśli jedna osoba w domu może 24 godziny na dobę oglądać kanały informacyjne, a druga z tego powodu jest zmęczona i podenerwowana, to trzeba porozmawiać i znaleźć kompromis. Może to będą słuchawki, może ustalenie, że telewizor włączamy tylko na główne wydanie programu informacyjnego. Da się znaleźć złoty środek. Nie róbmy sobie kuku, sprawdzajmy, co nas przebodźcowuje. Może posiedzenia Sejmu, programy informacyjne, internet? Nie oglądać, dozować.

Co się dzieje z naszym mózgiem, kiedy ma tak dużo bodźców?

– Jest wtedy tak wysoki poziom napięcia, że przypłacamy to powolnym popadaniem w coraz większy marazm i zniechęcenie, czujemy się, jakbyśmy byli ofiarami przemocy, mamy poczucie bezradności, które jest najgorsze, bo paraliżuje. Bardzo często takie przebodźcowanie negatywnymi informacjami sprawia, że odechciewa nam się działania, a to jest bardzo niebezpieczne.

Dlaczego?

– Bo jeśli zrezygnujemy, machniemy ręką, uznamy, że to już koniec i nic nie da się zrobić, przestaniemy czuć sprawstwo, a wtedy przestaniemy działać. Idziemy na przykład w rezygnację: pandemia i tak się nigdy nie skończy, więc po co ja mam się szczepić? W polityce nic się nie zmienia, więc nie pójdę na wybory.

Prywatne wybory przekładają się na życie społeczne, to niebezpieczne społecznie?

– Bardzo. Społeczny rodzaj depresyjności, to, że nie mamy siły, jesteśmy zrezygnowani, może się później odbić jeszcze gorszą sytuacją, bo nie będzie siły na działanie. Osoby, które idą np. na wybory czy szczepienie, to ludzie, którzy wierzą, że swoim działaniem mogą coś zrobić, zapobiec katastrofie. Jeśli w to nie wierzymy, niewiele zostało nam w naszym arsenale.

Człowiek jest często w trybie przetrwania, zadaniowym, ale warto robić przystanki, bo w końcu ciało i głowa odmówią posłuszeństwa.

Kolejnym problemem, który narasta, jest polaryzacja, co widać bardzo jaskrawo na przykładzie właśnie zwolenników i przeciwników szczepień.

– No właśnie. Ci, którzy się szczepią, nie tolerują tych, którzy się nie szczepią. I odwrotnie. Jest ogromna nagonka na antyszczepionkowców, a wyśmiewanie ich nic nie zmieni, przeciwnie, będzie ich utwierdzało w przekonaniu, że świat jest wrogi, atakujący, a oni są w oblężonej twierdzy. W ten sposób nie zadbamy ani o siebie, ani o swoich bliskich. Musimy zacząć ze sobą rozmawiać, bo inaczej nie da się tu żyć, coraz bardziej wrogo będziemy się traktować.

Potrzebna nam minimum godzina dziennie na osobistą regenerację.

Jak to wygląda w gabinecie?

– Przede wszystkim częściej kieruję ludzi na terapie uzależnień. Zawsze pytam o zachowania szkodliwe, picie, palenie, narkotyki, leki, bo w pandemii ludzie pogłębiają swoje kompulsje, nawyki, nałogi. Nie chodzi tylko o używki – zauważyłam, że ludzie więcej jedzą i tyją. Stosują więcej uśmierzaczy stresu, bo tym dla wielu osób są słodycze. Tyjemy, bo jesteśmy zestresowani i więcej jemy. To bardzo niepokojące, tym bardziej że to wszystko jest powiązane – mamy coraz więcej osób w kryzysie, a na termin wizyty czeka się bardzo długo, ponieważ kuleje służba zdrowia, wydłużają się także kolejki do specjalistów, którzy przyjmują prywatnie. A dla kogoś, kto jest w kryzysie, czekanie dwa miesiące to stanowczo za długo.

To dorośli. Co z dziećmi? Jak je wspierać?

– Być zainteresowanym dzieckiem, być zaangażowanym w kontakt z nim: słuchać, co opowiada, czym się dzieli, co jest dla niego ważne. Trzeba dziecku dawać przestrzeń – jasne, dzieci się zamykają, ale dlatego, że czują, że rodzic tak naprawdę nie chce wiedzieć, nie chce słuchać. Obserwuję to też u dorosłych – często traktują dzieci przedmiotowo: kupię drogi tablet, telefon, Xbox. Chcę wiedzieć, jak się uczy, czy jest zdrowe, ale na słuchanie, która koleżanka je wkurzyła, nie mam już siły – tak to często wygląda. Rozmawiamy o problemach globalnych, wielkich sprawach, w których uczestniczymy, ale przecież każdy z nas ma jeszcze swoje życie, swoje sprawy, swoje problemy.

Jak to wszystko udźwignąć?

– Monitorować siebie, a w razie konieczności zgłosić się po pomoc. Trochę jak z bolącą głową. Kiedy boli godzinę, bierzemy lek z domowej apteczki, ale kiedy nie przestaje boleć, prosimy lekarza o poradę. Jeśli emocjonalnie boli, też warto siebie wesprzeć rozmową z fachowcem – psychologiem, psychiatrą, terapeutą. Nawet kiedy mamy grono oddanych przyjaciół, specjalistyczna pomoc jest bardzo ważnym oddziaływaniem, nieporównywalnym do rozmowy z koleżanką.

Człowiek jest często w trybie przetrwania, trybie zadaniowym – mam cel. Muszę pracować, zarabiać, ogarniać, dać radę, ale warto robić sobie przystanki, bo w końcu ciało i głowa odmówią nam posłuszeństwa. Czasami pacjenci mówią, że wszystko jest OK, nic takiego się nie dzieje, ale kiedy dopytuję, okazuje się, że ten bojowy tryb powoduje, że całe ciało jest twarde i pospinane, są bóle brzucha, poranne biegunki, mdłości, zawroty głowy. Objawów, które wysyła ciało, mówiąc, że coś jest nie tak, jest dużo. Dlatego obserwujmy się uważnie. ■

eprasa.pl cd394828f6

Premier bez precedensu

Zuzanna Muszyńska

Boris Johnson stał się balastem do zrzucenia i pozostaje jedynie pytanie, kiedy się go pozbyć

Policja w Anglii i Walii od marca 2020 r. do listopada 2021 r. ukarała grzywną 18 tys. osób. Portal openDemocracy podaje, że kary za łamanie reguł dystansu społecznego dotknęły przede wszystkim przedstawicieli mniejszości etnicznych. W tygodniu, kiedy odbyła się słynna majowa impreza na Downing Street, nałożono 800 kar.

Podczas pierwszego lockdownu obowiązywał zakaz biernego wypoczynku w parkach, nie wolno było zażywać kąpieli słonecznych ani urządzać pikników. Kobietę, która wypoczywała na ławce w Richmond Park, aresztowano. Od 13 maja 2020 r. rząd ogłosił poluzowanie reguł – dwie osoby z różnych gospodarstw domowych mogły się spotkać na wolnym powietrzu, zachowując odstęp 2 m.

Partygate

Na majową imprezę w ogrodzie przy Downing Street 10 przyszło 40 osób. Mejl z zaproszeniem wysłał do 100 osób główny sekretarz osobisty premiera Martin Reynolds. Boris Johnson był obecny przez 25 minut na tym – jak uparcie twierdzi – spotkaniu związanym z pracą. Taką deklarację złożył w obecności parlamentu. Jego słowa podważa kilku świadków, m.in. były doradca Johnsona, obecnie jego wróg nr 1, Dominic Cummings. Według Cummingsa Johnson okłamał posłów, gdyż wiedział o charakterze zaproszenia i zachęcał podwładnych, by nie przesadzali z ostrożnością. „Party Marty" Reynolds nie omieszkał umieścić w zaproszeniu popularnej frazy: BYOB (*Bring your own booze* – przynieście swój własny alkohol).

Dr Saleyha Ahsan, specjalistka medycyny ratunkowej, wspomina w „Guardianie", jak spędzała czas, kiedy na Downing Street trwały przyjęcia alkoholowe. Żel z dodatkiem alkoholu służył jej do dezynfekcji szorstkich i popękanych dłoni. Podczas gdy premier nawoływał współpracowników do korzystania z ładnej pogody i wyluzowania przy kieliszku wina, ona pracowała w przepoconym kombinezonie ochronnym, chwilami bliska omdlenia. Od noszenia maseczki miała bolesne odciski na twarzy. Wokół niej ciężko chorowali i umierali bliscy, znajomi, pacjenci.

Kalendarz imprez na Downing Street, podczas których najprawdopodobniej złamano restrykcje antycovidowe, szybko się zapełnia. W listopadzie 2020 r., podczas drugiego lockdownu, miały się odbyć dwie imprezy – pożegnalna dla byłej asystentki premiera oraz domowa, w prywatnym apartamencie Johnsonów. Kulminacja wydarzeń nastąpiła w grudniu, kiedy Londyn zazwyczaj bawi się przedświątecznie. W Kancelarii Rady Ministrów odbyły się pożegnalne drinki dla Kate Josephs, byłej szefowej rządowej grupy zadaniowej do spraw covidu. Downing Street zaprzeczyła doniesieniom „Daily Mirror", jakoby taka impreza się odbyła. Ale stacja ITV News pokazała nagrany dzień później filmik, na którym była rzeczniczka prasowa premiera Allegra Stratton wygłupia się przed kamerą na niby-konferencji prasowej, odpowiadając na próbne pytania dotyczące imprezy.

W kwietniu 2021 r. Anglia otworzyła ponownie ogródki przy pubach i restauracjach. W dalszym ciągu

FOT. EAST NEWS

eprasa.pl cd394828f6

zalecano pracę z domu oraz utrzymano zakaz zapraszania gości. Na powietrzu wolno było przebywać w towarzystwie maksymalnie sześciu osób spoza grona domowników lub z dwóch różnych „baniek". 9 kwietnia zmarł książę Filip, ogłoszono żałobę narodową. Na 17 kwietnia zaplanowano jego pogrzeb. Listę uczestników zredukowano z 800 osób do 30. Królowa Elżbieta II siedziała samotnie, pozostali członkowie rodziny zachowując dystans społeczny, trzymali się swojego otoczenia. Chór wystąpił w zaledwie czteroosobowym składzie, a obecnym w kaplicy osobom zabroniono śpiewać.

Zapominał, gubił. Czasem przeprosił, został pouczony. Ze sprawy na sprawę nabierał przekonania o swojej bezkarności.

Dzień wcześniej odbyły się dwie imprezy pożegnalne na Downing Street – dla dyrektora ds. komunikacji Jamesa Slacka oraz jednego z fotografów premiera. Część gości bawiła się w słabo wentylowanej piwnicy budynku. Podczas imprezy zabrakło alkoholu, ktoś pobiegł z walizką po wino do supermarketu. Koło północy imprezy połączyły się w ogrodzie. Boris Johnson i jego żona Carrie nie wzięli w nich udziału, gdyż przebywali w rezydencji Chequers poza miastem. Johnson oszczędził w związku z tym na przeprosinach publicznych, skierowanych do królowej. Scedował obowiązek na jednego z podwładnych.

„The Evening Standard" dotarł do kobiety, która została ukarana grzywną w wysokości 12 tys. funtów za wydanie przyjęcia urodzinowego w dniu pogrzebu księcia Filipa. W jej ogrodzie bawiło się przy muzyce didżeja ok. 40 osób.

Większość najbliższych współpracowników premiera przeszła zakażenie koronawirusem we wczesnych stadiach epidemii. Johnson ciężko chorował na początku kwietnia 2020 r. Jako ozdrowieńcy musieli mieć wyobrażenie o trudzie lekarzy, pielęgniarek i ratowników z pierwszej linii frontu medycznego. Podejmując decyzje o wprowadzeniu restrykcji, współpracowali ze sztabem antycovidowym, w którego skład wchodzili czołowi naukowcy w kraju. Stając przed kamerami, byli tymi, którym wierzono, że tylko odpowiedzialne zachowanie i wielki wysiłek społeczny mogą przynieść długoterminowe efekty. Po czym szli się bawić po godzinach, ukryci za czarnymi drzwiami Downing Street 10.

Co wolno premierowi

Już pod koniec lat 80., będąc dziennikarzem „Daily Telegraph", Johnson dał się poznać jako zajadły eurosceptyk. Oskarżał Brukselę m.in. o niszczenie brytyjskiego parlamentaryzmu. Przypisywano mu znaczny wpływ na kształtowanie opinii publicznej w sprawach dotyczących Unii Europejskiej, z powstaniem UKIP, czołowej partii eurosceptyków, włącznie. W 2008 r. został burmistrzem Londynu, uważanego za bastion lewicy. Wytrwał na stanowisku dwie kadencje mimo pierwszych głośnych skandali. Do dziś toczy się śledztwo w sprawie grantów wypłaconych amerykańskiej firmie, której szefową była bliska przyjaciółka Johnsona, Jennifer Arcuri. Z kieszeni londyńskich podatników wyparowało 126 tys. funtów.

W lipcu 2019 r. Johnson został szefem Partii Konserwatywnej i premierem po tym, jak Theresa May podała się do dymisji, nie mogąc przepchnąć przez parlament swojej umowy brexitowej. Jednym z pierwszych posunięć Johnsona było wysłanie posłów na przedłużony urlop, tak by nie mogli mu przeszkodzić w „załatwieniu brexitu". Do zawieszenia prac parlamentu potrzebna jest zgoda królowej. Johnson okłamał ją, twierdząc, że potrzebuje czasu na opracowanie pakietu reform. Formalną poradę, jakiej udzielił Elżbiecie II, Sąd Najwyższy nazwał „blokowaniem prac Izby Gmin", a ruch Johnsona uznał za niezgodny z prawem.

Połowa wyborców Partii Konserwatywnej uważa, że Johnson musi odejść.

„Skandal konstytucyjny" albo „zamach stanu" otwiera listę grzechów Johnsona – premiera. Z tych grubszych warto wymienić aferę „gotówka za lordostwo", a szczególnie przypadek zaprzyjaźnionego z Johnsonem miliardera Petera Cruddasa. Stawka za fotel w Izbie Lordów wynosi 3 mln funtów – na konta Partii Konserwatywnej wpłynęły z tego tytułu przez 11 lat aż 54 mln, wpłacone przez 22 toryskich sponsorów, kandydatów do Izby. Policja odmówiła śledztwa w tej sprawie. To, że premier Johnson zignorował decyzję komisji nadzorującej przyznawanie tytułów lordowskich w sprawie Cruddasa, jest sytuacją bez precedensu. Do drobniejszych przewinień premiera można zaliczyć kosztowne prezenty przywożone prosto do kuchni Johnsonów przez służącego jednej z lordowskich mości, opłacane po promocyjnej cenie bez deklarowania zniżki jako darowizny; zaginięcie wiadomości, jakie wymienił z jednym ze sponsorów na temat potencjalnych wpłat gotówki w zamian za obietnicę zorganizowania prestiżowej wystawy; zakup udziałów w nieruchomości w hrabstwie Sussex i pominięcie tego w deklaracji podatkowej. Zapominał, gubił. Czasem przeprosił, został pouczony. Ze sprawy na sprawę nabierał przekonania o swojej bezkarności.

Mógł uniknąć odpowiedzialności za nieudolne zarządzanie kryzysem covidowym dzięki fantastycznemu programowi szczepień. Wielka Brytania znalazła się na początku 2021 r. w światowej czołówce zaszczepionych. Pierwsze miesiące po podpisaniu umowy z Brukselą nie przyniosły spodziewanej zapaści gospodarczej, na półkach leżał chleb. Ale wczesną wiosną zaczął sypać Cummings, były doradca Johnsona, który odszedł z Downing Street pod koniec 2020 r. Media rozpisały się o jego rewelacjach na temat remontu premierowskiej rezydencji, którego koszt znacznie przekroczył roczny budżet 30 tys. funtów. Johnsonowie zażądali – bez skutku – podwyżki do ponad 100 tys. Kiedy na rachunkach za luksusowe materiały i dodatki pojawiły się sześciocyfrowe sumy, Johnson sięgnął po fundusze partyjne. Długo trzymał się wersji, że zapłacił z własnej kieszeni. Potem nie chciał ujawnić nazwiska darczyńcy (był nim lord Brownlow). Partię ukarano za bezprawne procedury sumą 17,8 tys. funtów. Wizerunek Johnsona nieco na tym ucierpiał.

eprasa.pl cd394828f6

Jesienią spadła mu na głowę seria plag. Brak kierowców ciężarówek spowodował kryzys paliwowy i niedobory w zaopatrzeniu. Narodowa Służba Zdrowia (NHS) ogłosiła w październiku, że liczba pacjentów oczekujących na hospitalizację zbliża się do 6 mln. To ponaddwukrotnie więcej niż na początku rządów torysów 12 lat temu. Po 18 miesiącach ograniczeń pacjenci ruszyli szturmem na gabinety lekarzy pierwszego kontaktu. Co miesiąc przybywa 100 tys. skierowań na procedury szpitalne. Na to nakładają się braki personelu spowodowane przymusową izolacją czy wypaleniem zawodowym po kilku falach pandemii. Z tego powodu pielęgniarka, która opiekowała się premierem Johnsonem podczas jego pobytu na oddziale covidowym, opuściła posterunek w szpitalu i przeszła do lepiej płatnej, mniej stresującej pracy w placówce prywatnej.

Pozycją premiera we własnej partii zachwiała poważnie próba szybkiego wprowadzenia nowego kodeksu etycznego postępowania w kontaktach z biznesem. Johnson jak zwykle ratował czyjś kark. Poseł Owen Paterson złamał zasady parlamentarne, uprawiając działalność lobbystyczną. Ostatecznie złożył mandat, ale dopiero po tym, jak Johnson wycofał wsparcie, którym już zdążył narazić się kolegom. Wyborcy wysłali sygnał ostrzegawczy, oddając głosy na Liberalnych Demokratów w białym, bogatym, tradycyjnie konserwatywnym probrexitowym okręgu wyborczym Patersona.

Od listopada gości w mediach *partygate*. Mnożą się zarzuty, piętrzą kłamstwa. W grudniu 101 torysów zagłosowało przeciwko swojemu szefowi. Partia poległa w sporze wokół nowych obostrzeń mających zapobiec rozprzestrzenianiu się omikrona – rząd zaproponował codzienne testy zamiast izolacji, obowiązkowe szczepienia personelu medycznego oraz nakaz posiadania paszportów covidowych przy wejściu na duże imprezy i do nocnych klubów. Swobody obywatelskie to świętość dla tych konserwatystów, którzy na prawo od siebie mają już tylko ścianę. Dla populistów pokroju Johnsona i technokratów, jak Cummings, masa wyborcza to potencjalny bank danych.

Pies na władzę

„The Observer" komentuje: „Posłowie torysów wepchnęli tego szarlatana pod nr 10 (Downing Street – przyp. ZM), nie zważając na konsekwencje dla kraju, ponieważ odpowiadał ich wąskim interesom. To niesamowite, jak mało skruchy wykazało wielu z tych, którzy go poparli. Rezygnacja Johnsona nie wystarczy; cała partia konserwatywna musi zostać pociągnięta do odpowiedzialności za jego katastrofalne premierostwo".

Na razie od afer na południu odcięli się torysi ze Szkocji. Połowa wyborców Partii Konserwatywnej uważa, że Johnson musi odejść. Mniej więcej tyle samo brexitowców z szeregów torysów chciałoby „borexitu". Wystrzeliły w górę słupki Partii Pracy – według badania zleconego przez „Observera" do 41%. To 10 punktów procentowych przewagi nad Partią Konserwatywną, której notowania spadły do poziomu sprzed rezygnacji Theresy May. Johnson stał się balastem do zrzucenia i pozostaje jedynie pytanie, kiedy się go pozbyć. Czas działa na jego korzyść. Śledztwo, które prowadzi mianowana przez niego (w jego własnej sprawie!) Sue Gray, obejmuje w tej chwili 13 wydarzeń i może się przeciągnąć do końca miesiąca lub dłużej, jeśli wyjdą na jaw nowe fakty.

Zaledwie 20 posłów Partii Konserwatywnej wycofało poparcie dla szefa rządu, reagując na zasypanie biur poselskich korespondencją od wściekłych wyborców. Do głosowania nad wotum nieufności potrzeba 54 wniosków członków partii. Theresa May takie głosowanie wygrała. Większość torysów czeka na wyniki śledztwa. Niewiarygodna wydaje się decyzja Metropolitan Police, by nie podjąć żadnych działań, dopóki Sue Gray nie opublikuje swojego raportu. Ta sama policja w zeszłym roku brutalnie przerwała czuwanie po głośnym morderstwie Sary Everard, oskarżając obecne i obecnych o nieprzestrzeganie restrykcji.

Portal openDemocracy twierdzi, że istnieją obawy co do bezstronności Sue Gray. Urzędniczka brała udział w śledztwie dotyczącym tragicznego pożaru w Grenfell Tower, w którym zginęły 72 osoby. Dziennikarze portalu dotarli do dokumentów, według których Gray mogła blokować dostęp mediów do informacji publicznej. W sprawę zamieszany był Clearing House, nazywany „orwellowskim" specjalny dział w Whitehall, znany z blokowania transparentności („Kto mediom zabroni", PRZEGLĄD 37/2021). O luźnym stosunku Gray do Ustawy o wolności informacji (FOI) wypowiadał się też dziennikarz BBC Newsnight, Chris Cook. Poza tym głównym adresatem raportu jest premier. W jego gestii pozostanie decyzja, jak ukarać winnych. Z zapowiedzi wynika, że nie zostanie upubliczniony cały raport, a jedynie jego „wnioski".

Na razie krążą pogłoski o populistycznej ofensywie rządu pod nazwą „Operacja wielki pies" (*big dog*). Wrócił temat obrony granic, ratowania służby zdrowia, zamrożenia, a następnie likwidacji abonamentu na media publiczne. To próby zagonienia elektoratu z powrotem do matecznika. A co z wielką obietnicą wyborczą wyrównywania szans między północą a południem? Mija półmetek kadencji i nic. W połowie stycznia opublikowano dane, według których w ciągu ostatnich pięciu lat Londyn otrzymywał rocznie 12 147 funtów na mieszkańca, o 4 tys. więcej niż północ kraju. Rząd odpowie tym razem błyskawiczną publikacją planu, jak temu zaradzić.

Polecą głowy, odejdzie „Party Marty" Reynolds, a tych, którzy zostaną na Downing Street, będzie obowiązywał zakaz spożywania alkoholu. Premier nie traci ducha. Ciągle wierzy, że jeśli odczeka swoje w czyśćcu, naród mu wybaczy. Przecież kobiety wybaczały – tu Boris Johnson jest premierem bez precedensu, z trzema żonami i siedmiorgiem dzieci, których matki to dwie z jego żon i kochanka. A władza jest kobietą.

Zuzanna Muszyńska
z.muszynska@tygodnikprzeglad.pl

Pozycją Johnsona w partii zachwiała próba szybkiego wprowadzenia nowego kodeksu etycznego w kontaktach z biznesem.

eprasa.pl cd394828f6

Kapitalizm i realizm

Andrzej Szahaj

Pochwała związków zawodowych

Styczeń 1982 r. Kolejny miesiąc stanu wojennego. Niechętnie wspominam ten czas. Chętniej okres wcześniejszy, tzw. karnawał Solidarności. Wstąpiłem do związku w listopadzie 1980 r., zaraz po rozpoczęciu pierwszej pracy po studiach. Prezes mojej firmy (regionalnego związku spółdzielni) był wściekły, tego dnia trzech nowych pracowników z wyższym wykształceniem zapisało się do Solidarności. Byliśmy młodzi i pełni entuzjazmu. Wszystko miało się zmienić. Z zapałem zaangażowaliśmy się w działalność Solidarności, z satysfakcją pełniąc m.in. funkcję straży związkowej w czasie któregoś ze strajków. Nigdy nie zapomnę tego uczucia bycia razem, tej codziennej solidarności przez małe s, jakiej wtedy doświadczaliśmy. To mnie ukształtowało na lata.

Z tego też okresu pochodzi moje uznanie i szacunek dla związków zawodowych. Dziś poparte także znajomością historii walki pracowników najemnych o swoje prawa. Pokazuje ona wyraźnie, że nie ma innej drogi do poprawy ich losu. A także to, jak była ona trudna i bolesna. Od XIX-wiecznego zakazu ich tworzenia do XX-wiecznego rozkwitu. To związkom zawodowym pracownicy najemni zawdzięczają w dużej mierze bardzo dobry dla nich okres lat 1945-1973, w którym istniała względna równowaga między kapitałem a pracą, nierówności były umiarkowane, a pracownicy systematycznie poprawiali swoją pozycję ekonomiczną i społeczną. Nawet w kraju, którego dziś w żaden sposób nie kojarzymy z silnym ruchem związkowym, jakim są Stany Zjednoczone. A swoją drogą, czy kojarzą państwo Kalifornię z ruchem spółdzielczym? Aż do II wojny światowej była jego bastionem! To w USA od czasu Wielkiego Kryzysu i Nowego Ładu, będącego nań odpowiedzią, związki zawodowe odnosiły wiele sukcesów w walce o prawa pracownicze. Co bardzo charakterystyczne, nie było to bez związku z polityką państwa, która od czasu sławnego przemówienia Franklina Delano Roosevelta grożącego sankcjami tym firmom, które będą utrudniały zakładanie związków zawodowych, było im przyjazne i stało na straży wolności związkowych.

Zmieniło się to radykalnie wraz z nastaniem rządów Ronalda Reagana. Były one znakiem początku ery neoliberalizmu, orientacji ekonomicznej, społecznej i politycznej z definicji wrogiej związkom zawodowym. Dlatego im bardziej dane państwo pogrążało się w neoliberalnym bagnie, tym coraz słabsza stawała się pozycja związków zawodowych. Dobrym przykładem jest Polska, gdzie od początku transformacji sterowanej neoliberalnymi założeniami mamy do czynienia z antyzwiązkową polityką wszystkich sił i orientacji politycznych. Gdzie – jeśli pracodawca sobie tego nie życzy (a z reguły sobie nie życzy) – związków zawodowych nie ma. Gdzie związkowców zwalnia się z pracy pod byle pretekstem, a państwo temu się przygląda i nie reaguje (z falą takich zwolnień mamy obecnie do czynienia, co dokumentuje rozmowa ze zwolnionymi związkowcami przeprowadzona w TOK FM przez niezawodnego Grzegorza Sroczyńskiego w ramach jego programu „Świat się chwieje"). W kraju, w którym powstała Solidarność!

Potwierdza to jedynie po raz kolejny diagnozę losów Polski zawartą w słynnej książce Davida Osta „Klęska Solidarności". Nasze całkowite odwrócenie się plecami do bodaj najlepszej tradycji, jaką dysponujemy. Będące także udziałem tych, którzy z Solidarności wyrośli i dzięki niej sprawowali rządy po 1989 r. Rzecz to niebywała w skali świata, zwrot o 180 stopni. Prócz polityków na jego „sukces" dzielnie pracowali także dziennikarze różnych maści, którzy z lubością oskarżali związkowców o cwaniactwo, hołdowanie jedynie swoim prywatnym interesom, nieodpowiedzialność i brak zrozumienia realiów ekonomicznych kraju. W ten sposób z kraju, który zbudował swoją chwałę na istnieniu związku zawodowego, zamieniliśmy się w kraj, który powrócił do XIX w. w sposobie traktowania zrzeszania się ludzi pracy. Możemy sobie pogratulować.

Czekam na pierwszy od 1989 r. rząd, który przyjąłby wyraźnie prozwiązkowy kurs.

Tymczasem państwa takie jak Szwecja czy Niemcy, choć nie pozostały nieczułe na urok neoliberalnych zaklęć, jednak potrafiły zachować potęgę swoich związków zawodowych z korzyścią dla wszystkich. I gdy dzisiaj nasz poziom uzwiązkowienia (ok. 12%) jest jednym z najniższych w krajach rozwiniętych, to w Szwecji wciąż wynosi ponad 60%. Nie muszę przypominać, że Szwecja wraz z innymi krajami nordyckimi stanowi czołówkę miejsc o najwyższym poziomie zadowolenia z życia i najwyższej jego jakości (liderzy neoliberalnej kontrrewolucji, jak USA i Wielka Brytania, zajmują zawsze miejsca dalsze, USA najczęściej w drugiej dziesiątce). W tej sytuacji czekam na pierwszy rząd od 1989 r., który przyjąłby wyraźnie prozwiązkowy kurs, wzmocnił Państwową Inspekcję Pracy (rozpocząłbym od podniesienia płac inspektorom o 100%) i zaczął wreszcie prawdziwą politykę propracowniczą. Przede wszystkim reagował zdecydowanie na wszelkie próby uniemożliwiania powstawania związków zawodowych w zakładach pracy, a także na blokowanie ich szefom wywiązywania się ze swoich zadań kontrolnych. Może się doczekam.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl cd394828f6

Zjednoczone stany strachu

Szturm na Kapitol był tylko testem. Prawdziwy atak na demokrację w USA dopiero nastąpi

Mateusz Mazzini

Wbrew pozorom momentem, w którym przyszłość republiki była w ostatnim czasie najbardziej zagrożona, wcale nie był ubiegłoroczny szturm na Kapitol. Choć 6 stycznia 2021 r. w miejscu dla amerykańskiej demokracji absolutnie świętym działy się sceny trudne do zracjonalizowania, tak naprawdę na funkcjonowanie amerykańskiego państwa nie miało to większego wpływu. Wyjaśnijmy od razu: nie chodzi o bagatelizowanie tamtej insurekcji czy brak szacunku dla jej ofiar, w tym śmiertelnych. Z systemowego punktu widzenia szturm był manifestacją pogardy Donalda Trumpa i jego zwolenników dla demokratycznych procedur, na których amerykańska państwowość opiera się od początku – ale demokracji nie mógł zniszczyć, przynajmniej wtedy.

Ten bardzo niebezpieczny moment w rzeczywistości był dużo dłuższy, bo trwał kilka tygodni. Zakończył się kilkanaście minut przed szturmem, kiedy tłum nie sforsował jeszcze barierek wokół Kapitolu. Jego protagonistą był nie Trump, ale wiceprezydent Mike Pence. I to jemu, trochę paradoksalnie, amerykańska demokracja zawdzięcza dziś najwięcej w kontekście tamtych wydarzeń.

Kabaret Trumpa

Zgodnie z konstytucją USA to właśnie wiceprezydent na połączonej sesji obu izb Kongresu dokonuje ostatecznego potwierdzenia wyników wyborów głowy państwa. Ustawa zasadnicza nie pozostawia w tym zakresie pola do interpretacji. Art. 2 stanowi jasno, że wiceprezydent, będący jednocześnie przewodniczącym Senatu, ma „zliczyć głosy elektorów w obecności członków Kongresu" i „certyfikować wynik wyborów". Nic ponad to. Przez ponad 200 lat istnienia dokumentu zapis ten nie budził żadnych wątpliwości. Aż do czasów Trumpa.

Odchodzący prezydent już od porażki w listopadowych wyborach robił wszystko, by demokratom udowodnić oszustwo. Im bardziej jednak się starał, tym mniej osiągał. Zaginione karty do głosowania z jego nazwiskiem nie nadchodziły, sądy w kolejnych stanach odrzucały protesty jego komitetu. Kolejni współpracownicy, nawet członkowie rodziny, jak zięć i szara eminencja jego administracji Jared Kushner, próbowali go przekonać, by wreszcie uznał porażkę. Walka Trumpa o utrzymanie się przy władzy coraz bardziej przypominała kabaret, a wizerunkowe kompromitacje, jak konferencja prasowa omyłkowo zorganizowana na parkingu czy samoopalacz rozpływający się na czole Rudy'ego Giulianiego odbierały sytuacji resztki powagi. Kiedy Trump zrozumiał, że powyborczego cudu nie będzie, został mu tylko Pence.

> Przekaz Trumpa jest jednoznaczny: kto nie z nami, ten przeciw nam. Były prezydent zdominował partię.

Przez długie tygodnie w grudniu i styczniu Trump nieustannie naciskał na wiceprezydenta, by ten odmówił certyfikacji wyborów. Pence, człowiek na wskroś moralny, głęboko wierzący i oddany amerykańskim instytucjom, przez chwilę flirtował nawet z tym pomysłem, co w swojej ostatniej książce „Niebezpieczeństwo" ujawnił Bob Woodward. Nie chciał jednak robić tego bezpodstawnie, dlatego szukał po całych Stanach choćby źdźbła argumentu prawnego. Obdzwaniał konserwatywnych profesorów prawa, byłych i obecnych polityków. Według źródeł Woodwarda ostatecznie odwiódł go od tego Dan Quayle, wiceprezydent za kadencji George'a Busha seniora. Quayle sam był w takiej sytuacji, musiał uznać porażkę swojego szefa i przekazać władzę demokracie Clintonowi. Art. 2 konstytucji znał więc dobrze i wiedział, że na odrzucenie głosów elektorów zapis ten nie pozwala, a tego oczekiwał Trump.

Mike Pence ostatecznie się nie ugiął i potwierdził wygraną Joego Bidena. Zapłacił za to politycznie najwyższą cenę, bo Trump zerwał z nim jakiekolwiek kontakty. Biorąc pod uwagę, że to on wciąż kontroluje Partię Republikańską, dla Pence'a gniew byłego szefa oznacza koniec kariery. Nie będzie więc zbyt wiele przesady w stwierdzeniu, że były wiceprezydent poświęcił ją dla uratowania stabilności amerykańskiej demokracji.

Gdyby wtedy posłuchał swojego przełożonego, otworzyłby na oścież drzwi do bezprecedensowego kryzysu konstytucyjnego. Wciąż trwająca kampania Trumpa zyskałaby paliwo do dalszej walki, a Biden nie mógłby formalnie objąć urzędu. USA podzieliłyby się na dwa zwaśnione plemiona, dwie równoległe rzeczywistości prawne, w pewnym sensie dwa kraje. I choć rok temu amerykańska demokracja uciekła spod topora, zagrożenie nie zniknęło.

Jeźdźcy apokalipsy

Pierwszym jeźdźcem politycznej apokalipsy jest sam Trump. Tylko biologia jest w stanie pozbawić go prezydenckiej nominacji republikanów w wyborach w 2024 r. Głównie dlatego, że nie ma w partii żadnego poważnego rywala. Jedyni liczący się rywale – były sekretarz stanu Mike Pompeo i gubernator Florydy Ron DeSantis – to nie tyle alternatywy dla Trumpa, ile jego mniej przekonujące podróbki. Ten sam styl wypowiedzi, zachowanie na

eprasa.pl cd394828f6

Protestujący przed Kapitolem w pierwszą rocznicę wydarzeń z 6 stycznia 2021 r.

wiecach, identyczna retoryka uderzająca w liberałów, progresywistów i rząd federalny. Choć eksprezydent przebywa chwilowo w politycznym cieniu, nie traci poparcia w najtwardszym elektoracie. Według informacji „New York Timesa" przez rok po wyprowadzce z Białego Domu zebrał od sponsorów ponad 100 mln dol., a telewizja CNN doniosła ostatnio, że przekonał też zarząd Partii Republikańskiej do częściowego pokrycia kosztów jego licznych procesów sądowych. Pomimo wyborczej porażki pozostaje najsilniejszym graczem w partyjnych strukturach, więc jego poparcie jest jednym z najbardziej pożądanych kampanijnych skalpów. Trump korzysta z tego skwapliwie, wyżynając do korzeni politycznych przeciwników.

Wszyscy republikanie, którzy otwarcie wystąpili przeciwko jego staraniom o unieważnienie wyborów, albo zostali zmuszeni do odejścia na emeryturę (jak Pence), albo przystawiono im do głowy pistolet w postaci protrumpowskiego rywala w walce o partyjną nominację. Taki los spotkał Liz Cheney, członkinię Izby Reprezentantów z Wyoming i najstarszą córkę byłego wiceprezydenta Dicka Cheneya. W listopadowych tzw. wyborach połówkowych będzie bronić mandatu, ale najpierw musi wygrać republikańskie prawybory, żeby w ogóle móc wystartować. Obóz Trumpa wystawił przeciwko niej Franka Eathorne'a, jednego z przywódców radykalnej prawicowej bojówki Oath Keepers, uczestnika ataku na Kapitol.

Przekaz jest więc jednoznaczny: kto nie z nami, ten przeciw nam. Dodając do tego fakt, że republikanie, sparaliżowani strachem przed Trumpem, robią wszystko, by ograniczyć działania komisji śledczej w sprawie wyjaśnienia przyczyn ataku z 6 stycznia, widać jednoznacznie, że były prezydent zdominował partię. W listopadzie z symbolizującym republikanów znaczkiem słonia wystartują wyłącznie jego lojaliści.

Jak zauważa Barton Gellman z „The Atlantic", jeden z najlepszych amerykańskich dziennikarzy śledczych od lat zajmujący się republikanami, kroczący zamach na demokrację odbywa się tam, gdzie jest ona najbardziej wrażliwa – na poziomie stanowym. Prezydenta w USA wybiera się *de facto* nie w całym kraju, ale właśnie w stanach, które potem przekazują głosy na Kapitol. W literalnej interpretacji prawa głowa państwa jest więc przywódcą 50 stanów, a nie mieszkających w nich łącznie wszystkich Amerykanów. Przez ostatni rok, wylicza Gellman, republikańskie władze zmieniły regulacje wyborcze w co najmniej sześciu stanach, w tym w bogatych w głosy elektorskie Teksasie (39 głosów), Pensylwanii (20) i Michigan (16). Upolityczniono tam komisje wyborcze, zmieniono procedury liczenia głosów. Pozbyto się urzędników, którzy odrzucili protesty komitetu Trumpa. Wprowadzono nowe zasady klasyfikowania głosów jako ważnych i nieważnych. Republikanie krok po kroku zmieniają instytucjonalną architekturę Ameryki pod dyktando Trumpa. Wszystko po to, żeby wyniki kolejnych wyborów znacznie łatwiej było podważyć.

Prawica bombarduje

Wbrew pozorom to nie jest miecz obosieczny, bo demokraci poszanowanie demokratycznych zasad mają zakodowane w trzonie swoich poglądów. Nawet jeśli przegrają za trzy lata i będą żądali unieważnienia elekcji, trudno się spodziewać, żeby robili to z taką furią jak dzisiaj republikanie. Trump i jego ludzie wiercą dziury w rusztowaniu amerykańskiej demokracji, ale także w jej społecznym odbiorze. Podprogowy przekaz prawicy, to nieustanne bombardowanie wyborców teoriami spiskowymi doprowadza bowiem do erozji zaufania obywateli do instytucji wyborczych. Alex Tausanovitch, politolog z think tanku Centre for American Progress, zauważa, że „spora część amerykańskiego społeczeństwa nie wierzy już,

Prawie 80% wyborców Partii Republikańskiej wierzy, że Biden i demokraci sfałszowali wybory prezydenckie.

Drugim zwiastunem nadchodzącego kryzysu jest sam elektorat Trumpa. Jak podaje tygodnik „The Economist", prawie 80% wyborców Partii Republikańskiej wierzy dziś, że Biden i demokraci sfałszowali wybory prezydenckie. Na amerykańskiej prawicy dominuje retoryka wojenna, którą Trump regularnie napędza. Cały czas padają słowa o zbrojnym powstaniu, konieczności walki z establishmentem, odzyskania kontroli nad krajem. Trump mówi, zwolennicy słuchają i notują.

FOT. AP/EAST NEWS

eprasa.pl cd394828f6

że wybory są przeprowadzane uczciwie". Skutek? W kwestii wyborów może w USA zaraz nie być jednej prawdy, jednego wyniku, jednego zestawu obowiązujących zasad. Wszystko stanie się ambiwalentne, swobodnie interpretowane. Fakt stanie się co najwyżej opinią. A Trumpowi o to właśnie chodzi.

Żeby jego taktyka była skuteczna, wybory muszą jednak spełnić jeden podstawowy warunek: w miarę niejednoznaczny wynik. Tak jak w 2020 r., kiedy Joe Biden wygrał z nim w Arizonie, Georgii i Wisconsin z przewagą mniej niż 1% głosów. Republikanie, nauczeni porażką Trumpa, wychodzą z założenia, że tę stratę są w stanie zniwelować bez większego problemu i to wcale nie skuteczniejszą kampanią czy lepszym programem. Wystarczy konkretne części populacji danego stanu po prostu pozbawić możliwości oddania głosu.

Zamach na demokrację odbywa się tam, gdzie jest ona najbardziej wrażliwa – na poziomie stanowym.

Republikanie, jak Stany długie i szerokie, prowadzą masową kampanię ograniczania praw wyborczych. Różnego rodzaju inicjatywy prawne reformujące zasady uczestnictwa w elekcji są realizowane w tej chwili w 19 stanach. Jest to możliwe, bo w USA nie ma zunifikowanego prawa wyborczego. O tym, kto i na jakiej podstawie może oddać głos, decyduje prawo danego stanu. Dla zwolenników Trumpa jest to olbrzymia szansa na stworzenie jeszcze większego zamieszania w amerykańskiej polityce.

Według statystyk Brennan Centre, think tanku zajmującego się monitorowaniem dostępu do demokracji w USA, tylko w 2021 r. przegłosowano 34 ustawy ograniczające prawa wyborcze. Z jednej strony to niewiele, biorąc pod uwagę, że projektów takich regulacji było aż 440. Z drugiej jednak oznacza to, że milionom Amerykanów skomplikowano drogę do urny wyborczej. Cztery Stany: Georgia, Iowa, Teksas i Floryda swoje kodeksy wyborcze zmieniły niemal w całości. Siedem stanów wprowadziło nowe zasady w kwestii dopuszczalnych dowodów tożsamości, tyle samo skróciło też czas na zgłoszenie chęci głosowania korespondencyjnego. Najbardziej niebezpieczny dla demokratycznej procedury wyborczej, alarmują analitycy z Brennan Centre, jest trend powoływania partyjnych komisji rewizyjnych. W aż sześciu stanach obecne władze zezwoliły na powołanie upolitycznionych, nieprzewidzianych w ordynacji organów obsadzanych przez partyjnych funkcjonariuszy, którzy od teraz będą mieli prawo analizować, oceniać i prawdopodobnie odrzucać niektóre oddane już głosy.

Jedyna wersja Ameryki

To odpowiedź na główny argument zespołu Trumpa po wyborach prezydenckich. Jego prawnicy i doradcy skarżyli się wtedy, że nie są dopuszczani do liczenia głosów, nie mogą zweryfikować ich prawdziwości, przez co, ich zdaniem, do końcowego wyniku wliczane są sfałszowane karty z głosami na Bidena. Dlaczego w ogóle powinni mieć ten dostęp? Bo członkom komisji wyborczych nie można przecież ufać. Na pewno oszukują. I tu wracamy do pierwszego argumentu tej analizy, czyli prowadzonej przez Trumpa erozji zaufania do instytucji publicznych. Jedyna dopuszczalna wersja Ameryki to jego wersja, jedyne akceptowalne organy to organy partyjne. Takie, którymi ręcznie będzie mógł sterować i na których będzie mógł wymuszać realizację swoich celów.

Czy demokraci zdołają odeprzeć autorytarno-legalistyczną ofensywę? Najpewniej nie, przynajmniej nie w całości. Także dlatego, że czwarty jeździec demokratycznej apokalipsy galopuje w ich własnych szeregach. W Senacie prezydenckie projekty wiszą na założeniu pełnej dyscypliny partyjnej i rozstrzygnięcia remisu przez wiceprezydent Kamalę Harris, bo izba podzielona jest równo na pół pomiędzy obie partie. A demokraci nie mówią w niej jednym głosem. Przy każdym głosowaniu ekipa Bidena wstrzymuje oddech, bo nie wiadomo, czy poprze ją Joe Manchin, senator z Wirginii Zachodniej. Jak na demokratę jest bardzo konserwatywny, w dodatku gospodarka jego stanu wisi na wydobyciu węgla, więc z przekonaniem blokuje chociażby wszelkie inicjatywy walczące z katastrofą klimatyczną.

Drugim niepewnym elementem senackiej układanki jest Kyrsten Sinema z Arizony, która wspólnie z Manchinem zablokowała niedawno reformę tzw. filibustera, czyli możliwości nieograniczonego przedłużania debaty nad projektem ustawy w celu osiągnięcia paraliżu decyzyjnego. Bez reformy filibustera demokraci nie dadzą rady przegłosować ujednolicenia kodeksów wyborczych i powstrzymać republikańskiej dywersji w kwestii demokracji.

Manchin i Sinema blokują projekty Bidena, bo są dla nich zbyt radykalne. Na drugim końcu ideologicznego spektrum są jednak ci demokraci, których zdanie jest dokładnie przeciwne. Tak zwani progresywiści twierdzą, że prezydent powinien iść dalej, być mniej zachowawczy. Do tej grupy należą m.in. Alexandria Ocasio-Cortez, Ilhan Omar i Rashida Tlaib. Prasa nazywa ich The Squad – ekipą. Jej członkowie chcą przede wszystkim większej sprawiedliwości społecznej, szybszego tempa odchodzenia od węgla, redystrybucji dóbr i nałożenia ograniczeń na kapitał korporacyjny. Publicznie mówią też, że niespecjalnie obchodzi ich większość demokratyczna, bo i tak mają po swojej stronie większość moralną, cokolwiek to oznacza w realiach zawodowej polityki.

W listopadzie demokraci najpewniej stracą większość w Kongresie. Tego losu partia rządząca po wyborach prezydenckich uniknęła zaledwie trzy razy od 1934 r. Wtedy republikanie mogą całkowicie sparaliżować pracę administracji Bidena. W połączeniu z systemowym wręcz tworzeniem wyłomów w demokratycznych instytucjach i prawach mogą doprowadzić do zachwiania się w posadach całej republiki.

6 stycznia był tak naprawdę tylko testem. Prawdziwy atak na amerykańską demokrację dopiero nastąpi.

Mateusz Mazzini
m.mazzini@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl cd394828f6

Oko w oko

Tomasz Jastrun

Ale burdel!

Upraszczając, istota pisowskiego Polskiego Ładu to zabrać pieniądze tym lepiej zarabiającym, czyli wyborcom opozycji, a dać je swojemu elektoratowi, więc ludziom mniej zamożnym. PiS znowu jak Janosik chce zabrać obcym bogatym, a dać swoim biednym. To nie ma jednak nic wspólnego ze współczuciem dla ubogich, to walka o wyborców. Nie bardzo im to wyszło. Na skutek niedopracowania reformy zrobił się wielki bałagan, słabiej zarabiający też zaczęli tracić, choćby nauczyciele, żołnierze i policjanci czy, o zgrozo, rodzice niepełnosprawnych dzieci. Uderzono przy okazji w samorządy – PiS nie znosi samorządów, bo ich nie kontroluje. A oto jak o Polskim Ładzie mówił Morawiecki: „Polski Ład to spójna i kompleksowa wizja nowoczesnego i sprawiedliwego państwa, a wraz z tarczą antyinflacyjną ma jeden cel – zapewnić bezpieczeństwo i szansę na rozwój milionów polskich rodzin". Zdaniem szefa rządu Polskim Ładem oburzone są osoby, które nie znają normalnego życia przeciętnego Polaka. „Dla oderwanych, odklejonych od życia części elit po prostu nie istnieją Polacy, którzy zarabiają poniżej 12 czy 13 tys. zł i może nawet nigdy nie istnieli. Liczyło się tylko tzw. górne 10%. Liczyli się mieszkańcy wielkomiejskich elit, ludzie bogatsi, bywalcy modnych miejsc, celebryci". Znowu to szczucie na elity, na tych miastowych, bywalców modnych miejsc, jak teatr i opera. Jak oni śmią tam łazić.

•

Większość członków Rady Medycznej działającej przy premierze złożyła rezygnacje z pełnionych funkcji. Odeszło 13 z 17 członków tego organu doradczego. Jak napisali w oświadczeniu, obserwowali: „narastającą tolerancję zachowań środowisk negujących zagrożenie COVID-19 i znaczenie szczepień w walce z pandemią". A jakiś czas temu premier Morawiecki chwalił się, jakich to wybitnych ma doradców, najlepszych z najlepszych. Nie stać mnie psychicznie, by obejrzeć „Wiadomości" i zbadać, czy w ogóle poinformowali o tej rezygnacji, jestem pewien, że nie. W ciągu dwóch lat na covid zmarło 100 tys. Polaków, w tym dwie osoby z mojej rodziny i kilkoro znajomych. Na jednej szali jest więc 100 tys. zgonów, a na drugiej kilku opętanych pisowskich antyszczepionkowców, którzy szantażują prezesa, a on się boi, że bez nich straci sejmową większość, a też jakąś grupę wyborców, bo nie szczepią się głównie pisowcy.

•

To, co wycieka z poczty elektronicznej Michała Dworczyka, jest szokujące czy raczej powinno być, ale już się przyzwyczailiśmy, więc tylko kiwamy głowami, no tak, można było tego się spodziewać. Ale jednak jest też poczucie obrzydzenia, do pewnych rzeczy nie można przywyknąć, jak do karaluchów. Listy, które wyciekły, mówią, że w czasie kampanii wyborczej premier był zaniepokojony spotem o uchodźcach, w którym pokazano ich jako terrorystów, morderców i podpalaczy, z sugestią, że opozycja sprowadza taką plagę na Polskę. Odpowiada mu szef sztabu wyborczego PiS. „Proszę jeszcze o zachowanie spokoju. Spot o uchodźcach ma na celu mobilizację naszych wyborców i demobilizację drugiej strony. Po drugie jest przeciwwagą do narracji o polexicie. To, że jest trafiony, świadczy reakcja drugiej strony, która wypuściła celebrytów Hołownia *et consortes* atakujących go. Ciekawe, że dopiero dzisiaj od popołudnia, a puściliśmy go wczoraj. To znaczy, że zorientowali się, że on działa". Kolejnym, który zabiera głos, jest politolog, prof. Waldemar Paruch, który miał napisać: „W zupełności Pan Tomek ma rację. Musimy przykryć tematem uchodźców sprawę polexitu, a innego tak mocnego nie mamy. Polacy muszą dyskutować o uchodźcach, a nie o polexicie. To naturalna reakcja na wczoraj. Temat polexitu przykrył taśmy PSL, czyli zniszczył nam przekaz tygodnia ostatniego przed wyborami". Plugawe, prawda?

Zdaniem premiera Polskim Ładem oburzone są osoby, które nie znają normalnego życia przeciętnego Polaka.

•

W moim domu w końcu zawisł obraz Piotra Krosnego, mojego przyjaciela ze Sztokholmu. Jakiś czas temu ściągnąłem jego obrazy do Polski, znajomy energiczny marszand próbuje je sprzedawać. A Piotr to świetny malarz, ale nie ma w Polsce wyrobionego nazwiska. Wyjechał z Polski w latach 80. Nie ma komórki, nie ma komputera, więc ekscentryk. Kiedy była wystawa jego prac w jednej z najlepszych sztokholmskich galerii, nie poszedł na wernisaż, bo był nie w sosie. Więc autodestrukcja, co się zdarza wybitnym artystom. Bardzo się cieszę z tego obrazu w domu, duże płótno, żona rozpacza, bo trochę nieprzyzwoite, wygląda to na scenę z burdelu, takiego z innej epoki. A ja jestem szczęśliwy, że mam ten obraz, ale jeszcze 20 lat temu bardziej bym się radował. Teraz już wiem, że na pewno umrę, zawsze wiedziałem, ale ta wiedza była, co powszechne, niepewna, wie się i nie wie, teraz już nie mam wątpliwości. I wiem, że ten obraz zostawię, jak wszystkie rzeczy mojego świata.

t.jastrun@tygodnikprzeglad.pl

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl cd394828f6

Marcin Ogdowski

Moralne zobowiązanie

Jak Niemcy wspierają militarnie Izrael

Dwa brytyjskie samoloty transportowe przerzuciły 17 stycznia br. na Ukrainę nieznaną liczbę lekkich zestawów przeciwpancernych oraz grupę szkoleniowców. „To broń krótkiego zasięgu i defensywna. (...) nie zagraża ona Rosji, ma być używana do samoobrony", mówił w Izbie Gmin szef brytyjskiego resortu obrony Ben Wallace. Co ciekawe, trasa maszyn RAF wiodła nad Morzem Północnym, Danią, Bałtykiem i Polską – omijając Niemcy. Brytyjczycy nie poprosili Berlina o zgodę na przelot, gdyż niemiecki rząd od dłuższego czasu komunikuje, że nie popiera dozbrajania Ukrainy. Kijów ma to stanowisko Niemcom za złe i oczekuje rezygnacji z „moralnie niegodziwej blokady" oraz „pilnego zaopatrzenia Ukrainy w potrzebne uzbrojenie obronne". Cytowane słowa padły z ust Andrija Melnykowa, ukraińskiego ambasadora w RFN. Dyplomata podkreślił, że Niemcy „ponoszą za Ukrainę taką samą historyczną odpowiedzialność, jak za Izrael". Z czego ma ona wynikać? Na skutek działań wojennych w latach 1941-1945 i okupacji ukraińskich terenów ZSRR śmierć poniosło co najmniej 7 mln Ukraińców. To więcej niż 6 mln ofiar Holokaustu, który stał się podstawą specyficznych kontaktów między RFN a Izraelem. Relacji w istotnej mierze opartych na militarnym wsparciu dla Jerozolimy.

Latem 2020 r. izraelskie i niemieckie myśliwce uczestniczyły w przelocie nad obozem koncentracyjnym w Dachau i miejscem masakry olimpijskiej w Monachium w 1972 r.

Wymowne gesty pojednania

Latem 2020 r., po raz pierwszy w historii, izraelskie siły powietrzne wysłały myśliwce do Niemiec na ćwiczenia z Luftwaffe. Poza zadaniami szkoleniowymi zrealizowano wówczas symboliczne przeloty – pierwszy nad bazą Fürstenfeldbruck, by upamiętnić izraelskich sportowców, zabitych przez palestyńskich terrorystów podczas olimpiady w 1972 r. Drugi nad dawnym hitlerowskim obozem koncentracyjnym w Dachau, gdzie pojawiła się też delegacja z udziałem ówczesnej minister obrony RFN i ambasadora Izraela w Niemczech. Jesienią 2021 r. doszło do rewizyty – tym razem myśliwce obu krajów, pilotowane przez dowódców tych formacji, przeleciały nad stolicą Izraela. Wcześniej gen. Ingo Gerhartz – razem ze swoim izraelskim odpowiednikiem gen. Amikamem Norkinem – odwiedził Instytut Yad Vashem. „Wciąż czujemy cierpienie żydowskich ofiar Shoah (...), a nasza odpowiedzialność nie wygaśnie", zapewniał Niemiec. Jego eurofighter przyleciał na Bliski Wschód odświętnie przemalowany w barwy izraelskiej i niemieckiej flagi.

Tyle współczesności; historia niemiecko-izraelskiej współpracy wojskowej sięga 1957 r. To wówczas doszło do potajemnego spotkania Szimona Peresa, odpowiedzialnego za zakupy broni dla Izraela, z Franzem Josefem Straussem, ministrem obrony RFN. Młode żydowskie państwo na gwałt potrzebowało broni i wyposażenia wojskowego – kolejna wojna z arabskimi sąsiadami, zapowiadającymi „wrzucenie syjonistów do morza", wisiała na włosku. Izraelczykom tymczasem brakowało gotówki, a stosunki z Ameryką Eisenhowera znajdowały się w krytycznym momencie. Peres poprosił więc Straussa o darmowe dostawy sprzętu z zasobów Bundeswehry. I Niemiec się zgodził – przy pełnym, choć nieformalnym poparciu całego rządu. Odtąd przez kilka lat do Izraela trafiały statki po brzegi wyładowane czołgami, samolotami, działami, amunicją i częściami zamiennymi. Gdyby nie te dostawy, Izraelczycy najprawdopodobniej przegraliby wojnę sześciodniową z 1967 r.

Gwarancje atomowych delfinów

Z czasem współpraca wojskowa Niemiec i Izraela stała się jawna, choć – z uwagi na rosnące zagrożenie palestyńskim terroryzmem – raczej dyskretna. Pomogło temu nawiązanie stosunków dyplomatycznych między oboma krajami w 1965 r. Obecnie w arsenale armii izraelskiej znajduje się sporo broni rodzimej konstrukcji, mnóstwo amerykańskiej, ale nie brakuje też produktów *made in Germany*. To w niemieckich stoczniach zbudowano okręty podwodne klasy Dolphin i Dolphin II. Jedne z najlepszych na świecie (jeśli nie najlepsze) czołgi Merkawa Mk IV

FOT. ISRAELI DEFENCE FORCES

eprasa.pl cd394828f6

są napędzane niemieckimi silnikami i strzelają z armat Rheinmetall produkowanych na niemieckiej licencji. Izraelskie ministerstwo obrony wybrało niedawno amerykańsko-niemiecką przekładnię automatyczną dla nowego kołowego transportera piechoty Eitan. Przykłady można by mnożyć, choć żaden system uzbrojenia i rozwiązanie technologiczne nie będą tak istotne, jak wspomniane okręty Dolphin. Pierwszy z nich trafił do służby w 1999 r., ostatni, szósty, w 2019. Budowę dwóch pierwszych jednostek sfinansowali Niemcy, kosztami trzeciej oba kraje podzieliły się po połowie. W 2006 r. Izrael zamówił dwa okręty Dolphin II warte po 500 mln euro każdy, z czego Niemcy zapłaciły jedną trzecią tej kwoty. Pięć lat później podpisano kontrakt na szósty okręt, w ramach którego niemiecka subwencja zamknęła się w kwocie 135 mln euro. Kilka lat temu rząd Angeli Merkel zgodził się na sprzedaż kolejnych trzech okrętów (mają wejść do linii do końca bieżącej dekady). Tym razem Niemcy pokryją 30% kosztów obliczonych na 540 mln euro.

W Niemczech zbudowano okręty podwodne klasy Dolphin i Dolphin II zdolne do przenoszenia pocisków uzbrojonych w głowice jądrowe.

Co istotne, mówimy o okrętach dostosowanych do przenoszenia pocisków manewrujących, uzbrojonych w głowice jądrowe o mocy 200 kT (dla porównania, moc bomby zrzuconej na Hiroszimę wynosiła 16 kT). Izrael nigdy oficjalnie nie potwierdził, że posiada broń jądrową, ale zakulisowo wielokrotnie dawał do zrozumienia swoim wrogom, że próba zniszczenia państwa żydowskiego spotka się ze srogą ripostą. Najważniejszym elementem tej strategii odstraszania są dziś dyżury „stalowych delfinów", z których każdorazowo dwa przebywają gdzieś w morzu, gotowe do śmiercionośnego kontrataku. Dodajmy, że rozwijanie izraelskich technologii atomowych również odbyło się za pieniądze z RFN. W 1960 r. jeden z zachodnioniemieckich banków, w większości kontrolowanych przez państwo, przekazał 2 mld marek na humanitarny projekt przekształcenia pustyni Negew w grunty rolne. Pieniądze trafiły tam, gdzie zapowiadano, ale – za zgodą Niemców – użyto ich do zgoła innego celu – rozbudowy Nuklearnego Centrum Badawczego.

Oczywiście transfer technologii i uzbrojenia odbywa się również w drugą stronę. W 2010 r., podczas szczytowego zaangażowania NATO w Afganistanie, Bundeswehra kupiła w Izraelu samoloty zwiadowcze Heron. Niemcy nie dysponowały wtedy własnym odpowiednikiem drona o podobnych parametrach. Tak jak dziś nie dysponują równie skutecznym jak izraelski systemem ochrony aktywnej czołgów. Zimą minionego roku spółka Rafael poinformowała o podpisaniu z niemieckim rządem umowy na dostarczenie i integrację zestawów Trophy dla czołgów Leopard 2. Kontrakt ma zostać zrealizowany w latach 2024-2025. Kilka miesięcy później koncern Israel Aerospace Industries ujawnił, że niemieckie wojska lądowe otrzymają radary pola walki, produkowane przez IAI. Tym razem terminy dostaw sprzętu – z pakietami szkoleniowym i wsparcia oraz częściami zamiennymi – zaplanowano na lata 2022-2024.

Izraelskie czołgi Merkawa Mk IV są napędzane niemieckimi silnikami i strzelają z armat Rheinmetall produkowanych na niemieckiej licencji.

Palestyńska kość niezgody

Zażyłe relacje niemiecko-izraelskie nie mają wyłącznie militarnego wymiaru, a ich beneficjantami są nie tylko instytucje z obu państw. Claims Conference (ang. Konferencja Roszczeniowa) to międzynarodowa organizacja działająca na rzecz zapewnienia odszkodowań, restytucji mienia oraz pomocy ocalałym z Holokaustu i spadkobiercom ofiar. Powołano ją w Nowym Jorku w 1951 r., na fundamencie 23 organizacji żydowskich, z wiodącą rolą Światowego Kongresu Żydów. To wówczas odbyły się pierwsze negocjacje z Niemcami Zachodnimi, których format jest kontynuowany rokrocznie aż do dziś. Tylko w 2021 r. Konferencja rozdysponowała prawie 660 mln dol. w formie bezpośrednich odszkodowań dla 260 tys. osób z 83 krajów. Przez cały okres działalności, Claims Conference wynegocjowała od Niemiec niemal 90 mld dol. Tych pieniędzy z pewnością by nie było, gdyby nie niemieckie poczucie winy.

Mówiła o nim w 2008 r., podczas słynnego przemówienia w Knesecie, poruszona Angela Merkel. „Właśnie w tym miejscu chcę wyraźnie podkreślić: każdy rząd Niemiec i każdy kanclerz przede mną byli świadomi historycznej odpowiedzialności Niemiec za bezpieczeństwo Izraela. Ta odpowiedzialność jest elementem racji stanu naszego państwa. (…) bezpieczeństwo Izraela jest dla mnie, jako niemieckiej kanclerz, czymś niepodlegającym dyskusji", zapewniała polityczka, która podczas 16 lat urzędowania odwiedziła Izrael aż siedem razy. Czy jej następca Olaf Scholz pozostanie równie pryncypialny? „Lewicowe skrzydła Zielonych i socjaldemokratów mają bardziej dwuznaczny stosunek do Izraela", zauważył niedawno portal Politico. Annalena Baerbock, nowa szefowa niemieckiego MSZ, swego czasu sprzeciwiała się sprzedaży Izraelowi okrętów podwodnych. Kością niezgody pozostawała kwestia palestyńska, co do której własne zastrzeżenia głośno wyrażała również Merkel. A i tak nie popsuło to międzypaństwowych relacji. O tym, czy ulegną one istotnym zmianom, dowiemy się pewnie nieprędko – Niemcy mają dziś inne zmartwienia. Kraj boryka się z pandemią COVID-19, a na arenie międzynarodowej ogromnym wyzwaniem pozostaje kryzys ukraińsko-rosyjski, w którym Berlin ma do odegrania niebagatelną rolę. Także z uwagi na swoją „historyczną odpowiedzialność" wobec europejskich republik byłego ZSRR…

m.ogdowski@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl cd394828f6

Tomasz Skowronek

Mięsna Hiszpania

Hiszpański minister wywołuje furię rolników, krytykując wielkie farmy

Prawica, regionalni prezydenci, politycy z lewicy, media i sieci społecznościowe – wszyscy grzmią o tym samym: oświadczenie ministra ds. konsumentów Alberta Garzóna w sprawie gigantycznych farm i nadmiernej konsumpcji mięsa wywołało burzę.

Zaczęło się od wywiadu, którego Alberto Garzón udzielił brytyjskiemu „Guardianowi" (wydanie z 26 grudnia 2021 r.). Apelował w nim do rodaków, aby jedli mniej mięsa, a także skrytykował przemysł mięsny. „Megafarmy nie są zrównoważone, za to są szkodliwe dla środowiska. Znajdują wioskę w wyludnionej części Hiszpanii i umieszczają w niej 4, 5 lub 10 tys. sztuk bydła. Zanieczyszczają glebę, wodę, a jakość mięsa jest zła, bo pochodzi ono ze źle traktowanych zwierząt. Działalność gigantycznych gospodarstw hodowlanych przynosi niszczące skutki na obszarach wiejskich Hiszpanii", powiedział minister.

Po wywiadzie zawrzało. Lider głównego opozycyjnego ugrupowania, Partii Ludowej, Pablo Casado, określił komentarze ministra jako „atak na rolników i wizerunek naszego kraju". Dodał również: „Niedopuszczalne jest, aby rząd informował zagraniczną prasę, że Hiszpania eksportuje mięso złej jakości, ze źle traktowanych zwierząt".

Stowarzyszenie młodych rolników Asaja zażądało dymisji ministra. Jego prezes Pedro Barato oskarżył Garzóna o nieodpowiedzialne zachowanie: „Hiszpański przemysł hodowlany zależy od eksportu". Z kolei Santiago Abascal, przywódca skrajnie prawicowej partii Vox, zaatakował Garzóna, zamieszczając na Twitterze post pokazujący, jak serwowano mięso na weselu lewicowego polityka z komentarzem: „Steki dla nich. Robaki dla reszty społeczeństwa".

Krytyka popłynęła także z własnego obozu. Rzeczniczka rządu Isabel Rodriguez stwierdziła, że Garzón zaprezentował stanowisko prywatne, a nie władz, a rząd odcina się od „antymięsnych" wypowiedzi ministra. Natomiast minister rolnictwa, rybołówstwa i żywności Luis Planas udzielił wywiadów, w których podkreślił, że PSOE (Hiszpańska Socjalistyczna Partia Robotnicza) nie podziela poglądów Garzóna. Javier Lambán, socjalistyczny prezydent Aragonii, przyłączył się do wezwania do natychmiastowej dymisji ministra, oskarżając go o „bezpośredni atak na ważny obszar aragońskiej gospodarki, który stara się być konkurencyjny i zrównoważony".

Typowe stoisko na targu La Boqueria w Barcelonie.

Hiszpania jest czwartym na świecie producentem wieprzowiny.

Dla Salvadora Calveta, profesora Uniwersytetu w Walencji, który bada sektor, oburzenie wywołane komentarzami Garzóna wynika z kulturowego i ekonomicznego znaczenia hodowli bydła i świń, która przynosi milionowe zyski. Według Organizacji Narodów Zjednoczonych ds. Wyżywienia i Rolnictwa (FAO) odpowiada ona za ok. 2,5 mln miejsc pracy w tym kraju i za 9 mld euro rocznego eksportu. I kwitnie. Według danych Uniwersytetu Oksfordzkiego produkcja mięsa w Hiszpanii wzrosła dziesięciokrotnie w ciągu ostatnich 60 lat, co jest większym wzrostem niż w większości krajów europejskich.

Rozwój sektora jest napędzany przez popyt zewnętrzny, zwłaszcza z Chin. Ale także w Hiszpanii szynka serrano, kiełbaski chorizo i fuet oraz inne produkty pochodzenia zwierzęcego są kluczowym elementem diety wielu ludzi. Kraj ten jest przy tym czwartym na świecie producentem wieprzowiny.

Debata o megafarmach ostatnio się nasiliła. Ich zwolennicy postrzegają je jako skuteczny sposób hodowli żywego inwentarza i ożywienia wyludnionych obszarów wiejskich, krytycy ostrzegają, że wiążą się one z wysokimi kosztami dla środowiska. Greenpeace opisał jedną z takich farm w północnym regionie Nawarry jako winną ekobójstwa. „Nic nie jest tak niezrównoważone jak hodowla świń", powiedział Luis Ferreirim, specjalista ds. hodowli bydła przemysłowego z Greenpeace.

FOT. GERARD/REPORTER

eprasa.pl cd394828f6

Wraz z zespołem przedstawił on badanie, które pokazuje, jak sektor stał się tym, czym jest obecnie, i co to oznacza dla zwierząt i środowiska. Według Eurostatu w Hiszpanii jest dziś o 30% więcej świń niż w 2012 r. „80% z 88 tys. gospodarstw to duże zakłady przemysłowe", wyjaśnia Ferreirim. Tymczasem coraz więcej małych hodowców musi zamykać działalność. Po prostu nie mogą produkować tak tanio jak duże przedsiębiorstwa. W Hiszpanii kilogram wieprzowiny z rzeźni kosztuje 1,61 euro bez VAT, co czyni ją tańszą niż gdziekolwiek indziej w UE. W Austrii jest to 1,75 euro, w Niemczech 1,78 euro, a w najdroższym europejskim kraju – Szwecji – 2,08 euro.

Przemysł mięsny odpowiada za 94% emisji amoniaku w Hiszpanii. Podczas gdy emisja amoniaku w UE spadła o 24% od 1990 do 2015 r., w tym śródziemnomorskim państwie wzrosła w tym czasie o 12%.

W październiku stwierdzono, że intensywna hodowla wieprzowiny prawdopodobnie odegrała główną rolę w jednej z największych katastrof ekologicznych w kraju, która doprowadziła do śmierci tysięcy ryb w Mar Menor, lagunie ze słoną wodą w południowo-wschodniej Hiszpanii.

Hiszpania nie tylko jest czołowym producentem mięsa, ale i największym konsumentem tej żywności w UE (rocznie Hiszpan zjada prawie 99 kg, wyprzedzając Portugalczyka zjadającego 97 kg oraz Polaka i Niemca – ok. 88 kg; tymczasem średnia światowa wynosi ok. 42 kg).

Debata na temat spożywania mięsa co jakiś czas powraca. Już w lipcu 2021 r. ten sam minister zachęcał Hiszpanów, aby spożywali mniej mięsa. Rozpoczął nawet na Twitterze kampanię „Mniej mięsa, więcej życia". W krótkim filmiku zauważył, że Hiszpania zjada więcej mięsa niż jakikolwiek inny kraj UE, ubijając rocznie 70 mln świń, krów, owiec, kóz, koni i ptaków. Garzón dodał, że w kraju, któremu grozi gwałtowne pustynnienie, nie ma sensu zużywanie 15 tys. litrów wody na pozyskiwanie każdego kilograma mięsa.

„Jeżeli nie zaczniemy działać, to nie tylko ze zmianami klimatycznymi będziemy musieli się zmagać – będzie to potrójny kryzys: utrata bioróżnorodności, zanieczyszczenie i zmiany klimatu" – powiedział Garzón. „To byłby koniec dla takiego kraju jak Hiszpania. Hiszpania to kraj w basenie Morza Śródziemnego – to nie Wielka Brytania czy Niemcy – a pustynnienie jest dla niego bardzo poważnym problemem, nie tylko dlatego, że tak bardzo jest on zależny od turystyki. Stawką jest nasze zdrowie i zdrowie naszych rodzin".

Coraz częściej dyskusje na ten temat toczą się także w innych krajach. W Niemczech rok temu Federalny Urząd Ochrony Środowiska zachęcał obywateli do zredukowania spożycia mięsa o połowę. Od kilku lat trwa tam też debata o wprowadzeniu podatku mięsnego. Z kolei we Francji były próby wprowadzenia wegeteriańskich dań do szkolnych stołówek przynajmniej raz w tygodniu. Na pomysł podawania bezmięsnych obiadów w szkołach wpadł niedawno burmistrz Lyonu, co wywołało oburzenie części francuskich polityków i rolników.

Hiszpańska kampania „Mniej mięsa, więcej życia" również wywołała zamieszanie wśród producentów i polityków. Minister Luis Planas powiedział wówczas w radiu Cadena Ser, że sektor rolny był „poddawany niesprawiedliwej krytyce, gdy zasługiwał na szacunek za uczciwą pracę, jaką wykonuje zarówno dla naszej żywności, jak i dla naszej gospodarki". Natomiast premier Hiszpanii Pedro Sanchez stwierdził wprost, że nie ma nic lepszego niż dobry stek.

Na szczęście nie zabrakło też głosów wsparcia dla Garzóna. „Jedzenie mniejszej ilości mięsa jest lepsze dla zdrowia i lepsze dla środowiska" – napisał na Twitterze hiszpański dziennikarz kulinarny Mikel López Iturriaga. „Możesz wypchać usta całym stekiem, jeśli chcesz, ale nie denerwuj się, ponieważ minister mówi dokładnie to samo, co WHO, inne instytucje i niezliczona liczba ekspertów w tej dziedzinie". Dodał także, że „Tradycyjna hiszpańska kuchnia jest pełna potraw, które zawierają bardzo mało mięsa lub nie zawierają go wcale: gazpacho, tortille, dania z ryżu, rośliny strączkowe, pisto, sałatki, warzywa… Daj im szansę, a wyświadczysz sobie i naszej planecie przysługę".

Być może przewidując wspomnianą krytykę, Garzón starał się raczej skłonić ludzi do zastanowienia nad nawykami konsumpcyjnymi, losem zwierząt hodowlanych i ochroną środowiska. Przyznał, że rozumie, że niektóre rodziny nie mają czasu, aby wybrać cokolwiek poza najtańszą i najszybszą opcją. Stwierdził, że po prostu myśli o przyszłości. A przyszłość może być bardziej ekologiczna i bezmięsna, wystarczy większa świadomość zdrowego odżywiania i troska o zwierzęta. Mięso drukowane w 3D, steki hodowane w kosmosie, burgery z mięsa roślinnego, mielone z laboratorium – to biznes liczony w miliardach, a do tego ekologiczny.

Przykłady? Izraelski koncern jest w stanie produkować dziennie 5 tys. burgerów drukowanych w 3D. Nowy zakład produkcyjny Future Meat Technologies zlokalizowany w Rehovot twierdzi, że jego hodowane w laboratorium mięso generuje o 80% mniej gazów cieplarnianych, zużywa o 99% mniej gruntów i o 96% mniej wody niż tradycyjna produkcja. Firma planuje produkować kurczaki, wieprzowinę, jagnięcinę i wołowinę bez użycia surowca zwierzęcego lub modyfikacji genetycznych, a do tego robić to ok. 20 razy szybciej niż tradycyjne rolnictwo.

W Hiszpanii obserwuje się jednak wzrost zainteresowania produktami roślinnymi. W październiku gigant fast foodów Burger King otworzył w Madrycie pierwsze w pełni wegańskie restauracje – Vurger King. Nadchodzącej „bezmięsnej rewolucji" świadome są chyba również hiszpańskie władze. W maju tamtejszy rząd opublikował długoterminową wizję strategiczną dotyczącą tego, jak kraj będzie wyglądał w połowie stulecia, stwierdzając, że „będziemy jeść mniej żywności pochodzenia zwierzęcego". ■

Hiszpan zjada rocznie prawie **99 kg** mięsa, wyprzedzając Portugalczyka zjadającego **97 kg** oraz Polaka i Niemca – ok. **88 kg**.

eprasa.pl cd394828f6

Świece nad socjalistką

Pogrzeb Zofii Praussowej był chyba jedynym w KL Auschwitz

Bohdan Piętka

17 i 18 stycznia 1945 r., wobec zbliżającej się ofensywy radzieckiej, rozpoczęła się ostateczna ewakuacja KL Auschwitz. Objęto nią ok. 58 tys. więźniów, w tym 20 tys. z obozu macierzystego i obozu Birkenau oraz ponad 30 tys. z podobozów. Na miejscu pozostawiono niecałe 9 tys. więźniów, w większości krańcowo wyczerpanych i ciężko chorych. W nocy z 17 na 18 stycznia w Birkenau zmarła także więźniarka Zofia Praussowa – jedna z bardziej zasłużonych działaczek Polskiej Partii Socjalistycznej w okresie II Rzeczypospolitej i jedna z pierwszych polskich feministek. Następnego dnia współwięźniarki zorganizowały jej symboliczny pogrzeb. Był to prawdopodobnie jedyny pogrzeb więźnia w historii KL Auschwitz.

Zofia Praussowa (z domu Kulesza) urodziła się 3 września 1878 r. w Budzowie koło Radomska w rodzinie ziemiańskiej. Należała do tej części tworzącej się wówczas polskiej inteligencji, która związała się z ruchem socjalistycznym, łączącym hasło walki o niepodległość Polski z programem przebudowy społecznej. Ideałem tej inteligencji stała się – jak to później ujął Stefan Żeromski – „Polska szklanych domów".

Otrzymała staranne wykształcenie, kończąc najpierw gimnazjum w Kazaniu, a następnie Wydział Matematyczny tzw. Kursów Wyższych Żeńskich im. Bestużewa w Petersburgu. W 1899 r. wstąpiła do PPS i w tym samym roku wyszła za Ksawerego Praussa, który również był członkiem PPS, a po I wojnie światowej ministrem oświaty w rządzie Jędrzeja Moraczewskiego. W maju 1901 r. Zofia Praussowa pomagała w ucieczce Józefa Piłsudskiego z petersburskiego szpitala Mikołaja Cudotwórcy, a w 1904 r. została członkinią Organizacji Bojowej PPS. W latach 1904-1905 wchodziła w skład Okręgowego Komitetu Robotniczego PPS w Częstochowie. Jeszcze przed wybuchem rewolucji 1905 r. organizowała przemyt broni z Niemiec do Królestwa Polskiego dla Organizacji Bojowej PPS.

Posłanka Zofia Praussowa w latach 30.

Za kolportowanie odezw przeciwko poborowi do wojska rosyjskiego została aresztowana 3 maja 1905 r. i zesłana w głąb Rosji. Szybko stamtąd uciekła i powróciła do Królestwa Polskiego, gdzie nielegalnie działała w strukturach PPS na terenie Łodzi i Warszawy. Ponownie aresztowano ją we wrześniu 1906 r. i osadzono na Pawiaku. Zwolniona stamtąd pod koniec 1906 r. wyjechała do Francji i w latach 1907-1911 odbyła studia matematyczne na Sorbonie. W 1911 r. osiadła w Zakopanem i założyła tam koedukacyjną szkołę średnią. Podczas I wojny światowej organizowała werbunek do Legionów Polskich. Była też organizatorką i komendantką oddziału żeńskiego Polskiej Organizacji Wojskowej w Piotrkowie Trybunalskim oraz należała do działającego w latach 1918-1919 Centralnego Komitetu Równouprawnienia Kobiet.

Po odzyskaniu niepodległości przez Polskę w 1918 r. Zofia Praussowa przystąpiła do współtworzenia od podstaw Państwowej Inspekcji Pracy. Była jednym z pierwszych inspektorów pracy w Polsce. Natomiast w latach 1922-1930 była posłanką na Sejm, najpierw z listy PPS, a od 1928 r. z ramienia prosanacyjnej PPS dawnej Frakcji Rewolucyjnej. Zasiadała w sejmowej Komisji Ochrony Pracy, Opieki Społecznej i Inwalidzkiej, gdzie poważnie przyczyniła się do opracowania regulacji prawnych dotyczących zatrudnienia i ochrony pracy kobiet i młodocianych. W latach 1920-1928 wchodziła w skład Rady Naczelnej i Centralnego Komitetu Wykonawczego PPS. Mimo popierania obozu sanacyjnego po przedterminowym rozwiązaniu Sejmu w 1930 r. nie uzyskała więcej mandatu poselskiego. Należała również do znanych działaczek feministycznych okresu II RP. Działała w utworzonej w 1919 r. organizacji feministycznej o nazwie Klub Polityczny Kobiet Postępowych i redagowała czasopismo „Głos Kobiet". Zorganizowała Centralny Wydział Kobiecy PPS i była jego przewodniczącą w latach 1923-1928.

Podczas okupacji niemieckiej Zofia Praussowa należała do ZWZ/AK. Gestapo aresztowało ją 10 listopada 1942 r. Po kilkumiesięcznym uwięzieniu na Pawiaku trafiła do KL Lublin (Majdanek). Stamtąd 15 kwietnia 1944 r. została deportowana do KL Auschwitz. W transporcie tym przywieziono 988 więźniarek i 38 dzieci (m.in. Polek, ale także obywatelek ZSRR). Otrzymały one numery z serii ogólnej od 77239 do 78219. Numer obozowy Zofii Praussowej jest nieznany. Więźniarki wraz z dziećmi umieszczono w obozie kwarantanny męskiej w Birkenau na odcinku BIIa w barakach 3-6, a po jej zakończeniu osadzono je w obozie kobiecym w Birkenau, który mieścił się na

FOT. NAC

eprasa.pl cd394828f6

odcinkach Bla i Blb. Jedynym dokumentem, z którego wiemy, że Zofia Praussowa przybyła do KL Auschwitz powyższym transportem i że zginęła w obozie, jest sporządzony po wyzwoleniu imienny spis 46 więźniarek Polek deportowanych w kwietniu 1944 r. z KL Lublin.

Na temat okoliczności śmierci Zofii Praussowej zachowało się kilka relacji byłych więźniarek. Maria Borowska wspomina: „Prauss Zofia – staruszka, trzymała się bardzo dzielnie i była dla nas dużym oparciem. Zmarła w obozie przed ewakuacją".

Z kolei więźniarka Anna Lipka wspomina: „W dniu 18 stycznia 1945 r. wraz z dr Perzanowską, Anną Chomicz i Jadwigą Romeyko brałam udział w symbolicznym pogrzebie Zofii Prauss. Zofia Prauss była przed aresztowaniem działaczką PPS. Zwłoki jej wynosiłyśmy na tragach przy zapalonych świeczkach do kostnicy".

Wspomniana Anna Chomicz (więźniarka nr 44174) była pielęgniarką, działaczką PPS i członkinią AK. Została deportowana do obozu w transporcie z Łodzi 6 maja 1943 r. Po pewnym czasie zatrudniono ją w szpitalu w obozie kobiecym w Birkenau, gdzie zaangażowała się w nielegalną pomoc dla chorych więźniarek. Szpital ten został w połowie listopada 1944 r. przeniesiony z obozu kobiecego na odcinku Bla do byłego obozu cygańskiego na odcinek Blle. Od października 1944 r. przebywała w nim Zofia Praussowa. Anna Chomicz doczekała wyzwolenia w KL Auschwitz 27 stycznia 1945 r. W okresie stalinowskim

Działała w Klubie Politycznym Kobiet Postępowych i redagowała czasopismo „Głos Kobiet".

stała się natomiast ofiarą represji komunistycznych. Chomicz była prawdopodobnie inicjatorką symbolicznego pogrzebu Zofii Praussowej. Tak o tym opowiedziała w swojej relacji:

„W okresie ostatecznej ewakuacji doszło do rozprzężenia rygorów obozowych. Między innymi nie zdzierano już odzieży ze zwłok zmarłych z wycieńczenia więźniarek. Np. nie zdarto odzieży ze zwłok zmarłej w nocy z 17 na 18 stycznia 1945 roku więźniarki Zofii Prauss. Współwięźniarki zorganizowały dla zmarłej Z. Prauss symboliczną uroczystość pogrzebową. Był to pierwszy od początku istnienia obozu przypadek przeprowadzenia takiej uroczystości pogrzebowej. Oprócz mnie w uroczystości wzięły udział: dr Irena Konieczna, Stanisława Jamrożówna, Elżbieta Sielbert (z Łodzi) i Marysia Scher (ze Lwowa). Dr Irena Konieczna przyniosła »zorganizowane« przez siebie świece, które zaświeciłyśmy przy tragach ze zwłokami zmarłej; przykryłyśmy też je prześcieradłem. Potem trzymając w rękach palące się świece, wyniosłyśmy zmarłą do pobliskiego baraku kostnicy (*Leichenkammer*)".

Po odzyskaniu niepodległości przez Polskę w 1918 r. Zofia Praussowa przystąpiła do współtworzenia Państwowej Inspekcji Pracy.

Ten symboliczny pogrzeb był możliwy dzięki temu, że w połowie stycznia 1945 r. nie działały już krematoria obozowe. Na temat miejsca pochówku Zofii Prauss Anna Chomicz relacjonuje:

„Zarówno przed wyzwoleniem, jak i pewien okres czasu po wyzwoleniu same wynosiłyśmy zwłoki zmarłych z wycieńczenia współtowarzyszek z bloków. W wyniku naszych interwencji wojskowe władze radzieckie przystąpiły do usuwania zwłok z całego terenu obozu. Do pracy przy wykopaniu dołu-mogiły i przenoszeniu do niej zwłok przyprowadzono pod eskortą volksdeutschów. W mogile złożono zwłoki z kostnicy rewiru żeńskiego i różnych zakątków tegoż odcinka. Nie wszystkie zwłoki od razu usunięto. Do mogiły-dołu dorzucano stopniowo znalezione zwłoki. Mogiła znajdowała się w końcu rampy kolejowej w Brzezince, w miejscu, gdzie do 1967 r. stał prowizoryczny pomnik obelisk ku czci ofiar KL Auschwitz. Pewnego dnia na życzenie świeżo przybyłych do Brzezinki żołnierzy radzieckich udałam się na mogiłę, by naocznie im ją pokazać. Towarzyszyli nam wówczas członkowie radzieckiej czołówki filmowej, wraz ze wspomnianym Polakiem A. Forbertem [właśc. Władysławem Forbertem – uzup. BP]. Członkowie ci sfilmowali mnie w momencie, gdy opowiadałam zebranym swoje przeżycia, pokazując ręką zwłoki w mogile. Moment ten został włączony do »Kroniki wyzwolenia Oświęcimia«. W momencie filmowania nas w mogile znajdowały się wyłącznie zwłoki więźniarek i dzieci. Pamiętam, że zwróciłam wtedy uwagę na leżące na wierzchu zwłoki wspomnianej koleżanki Zofii Prauss. Był to dla mnie dowód, że do mogiły przyniesiono zwłoki zebrane na terenie rewiru żeńskiego, zwłaszcza wyniesione z kostnicy. Słyszałam potem, że znajdujące się w mogile zwłoki będą ekshumowane. Nie orientuję się jednak, czy ekshumację przeprowadzono i gdzie zwłoki przeniesiono. Być może zwłoki przeniesiono na cmentarz koło byłego obozu macierzystego i pochowano je tam w dniu 28 lutego 1945 roku lub w okresie późniejszym".

Zatem doczesne szczątki Zofii Praussowej – w przeciwieństwie do większości z 1,1 mln ofiar KL Auschwitz – nie zostały spalone i spoczywają prawdopodobnie na tzw. cmentarzyku – zbiorowej mogile przy ulicy Więźniów Oświęcimia (nieopodal dawnego obozu macierzystego KL Auschwitz I), gdzie pochowano ok. 700 więźniów i więźniarek KL Auschwitz zmarłych pomiędzy 18 stycznia a wyzwoleniem 27 stycznia 1945 r.

W wypowiedzi zacytowanej w artykule Jerzego Steinhaufa „Kres rodu" („Dziennik Polski" nr 22, 26-27.1.1969 r.) Anna Chomicz nazwała Zofię Praussową swoją najserdeczniejszą przyjaciółką. Stąd wnioskuję, że musiała być inicjatorką jej symbolicznego pogrzebu, do czego prawdopodobnie przez skromność nie przyznała się w cytowanej relacji. Stwierdziła też, że w nocy z 17 na 18 stycznia 1945 r. miał miejsce nalot aliancki na fabrykę IG Farbenindustrie w Monowicach. Zofia Praussowa miała umrzeć „na odgłos samolotów, zwiastujących już bliski dzień wyzwolenia". Nie można jednak wykluczyć, że zmarła z wycieńczenia. ■

eprasa.pl cd394828f6

JAKIEJ HISTORII POLSKA POTRZEBUJE?

Historia bez zaciśniętych zębów

W ostatnim 20-leciu to IPN miał decydujący wpływ na kształtowanie narracji historycznej w polskim społeczeństwie

Paweł Siergiejczyk

Wybitny, choć niestety zapomniany, poznański historyk prof. Jerzy Krasuski zapisał takie oto myśli dotyczące swojego zawodu:

„Historiografia jako jedna z nauk społecznych jest w bardzo wysokim stopniu narzędziem walki i oddziaływania politycznego i ideologicznego niezależnie od tego, czy historyk posługuje się tym narzędziem świadomie, czy nieświadomie. Historyk, tak jak każdy człowiek, jest ukształtowany przez swoje środowisko w sensie zarówno wąskim, jak i szerokim. Jest on wytworem klimatu, środowiska geograficznego, rasy, narodu, klasy i warstwy społecznej, kręgu kulturowego, epoki, tradycji, rodziny, szkoły, swojego zawodu – oraz odpowiadającym tym wyznacznikom poglądów religijnych, filozoficznych, politycznych i społecznych. (…)

Wśród czynników wpływających na postawę historyka bardzo ważną rolę odgrywa przynależność narodowa. Historiografia jako nauka ukształtowała się w okresie, gdy nacjonalizm, tak jak poprzednio religia, stał się najbardziej uderzającym i najskuteczniejszym orężem oddziaływania ideologicznego. W rezultacie historiografia XIX i XX w. stawiała sobie za cel przede wszystkim podkreślanie wartości i zasług własnego narodu w przeciwstawieniu do innych, gloryfikowanie jego przeszłości – z reguły uważanej za »wspaniałą« – lub rozważanie domniemanych straconych okazji zdobycia jeszcze większej chwały, a uniknięcia załamań i niepowodzeń. Jeśli w epoce feudalnej celem historyka było głównie przedstawienie dziejów dynastii i jej gloryfikacja, to w epoce nacjonalizmu przedmiotem takiego zainteresowania stał się naród albo państwo narodowe (…); dzieje zaś władców, choć opisywane nadal szczegółowo, oceniano z punktu widzenia tego, co powinno być ich służbą dla narodu i państwa”[1].

Niewielu historyków ma tak uczciwe i obiektywne podejście do swojej profesji jak prof. Krasuski, który udowodnił to swoimi licznymi książkami, w tym zupełnie niespotykaną w polskim piśmiennictwie „Historią Niemiec”. Niespotykaną, bo nie ma w niej śladu urazy czy uprzedzenia wobec narodu niemieckiego, za to celem autora było – jak napisał we wstępie – „aby Czytelnik zrozumiał historyczny dramat tego narodu, którego dzieje nie były pasmem sukcesów, a zakończyły się katastrofą”.

Historycy – celebryci

„Aby Czytelnik zrozumiał…” – ten postulat towarzyszył poznańskiemu historykowi przez całe naukowe życie. Jakże odmienna to postawa od dominującego dziś podejścia dużej części adeptów muzy Klio, którzy wybierają ten zawód, by coś lub kogoś uczcić, upamiętnić, uhonorować, a z drugiej strony – oskarżyć, zlustrować, pognębić. Dziesiątki, setki studentów i absolwentów wydziałów historycznych poluje na „temat”, który przyniesie im sławę równą tej, jaką zdobyli panowie Cenckiewicz i Gontarczyk, lustrujący prezydenta Wałęsę, albo pan Zychowicz, głoszący nieodzowność sojuszu II Rzeczypospolitej z III Rzeszą. Oczywiście tylko nieliczni staną się historykami celebrytami, ale pokusa jest ogromna. Dlatego profesja historyka już dawno przestała być „zawodem zaufania publicznego”, a sami historycy należą – obok polityków i dziennikarzy – do głównych winowajców zaostrzania konfliktów ideologicznych w naszym i tak mocno skłóconym społeczeństwie.

Łatwo wyznaczyć początek tego zaprzęgnięcia historii do polityczno-ideologicznych rydwanów w III RP.

Grzechem pierworodnym IPN (obciążającym ojców założycieli z AWS-UW) jest połączenie instytutu badawczego, archiwum policji politycznej, instytucji edukacyjnej oraz prokuratury, która z uporem maniaka ściga „zbrodnie komunistyczne”.

Były to pierwsze lata naszego stulecia, gdy z jednej strony wywołała burzę książka Jana Tomasza Grossa o zbrodni w Jedwabnem, a z drugiej – utworzono Instytut Pamięci Narodowej, którego jednym z pierwszych zadań stała się polemika z Grossem. Niedługo potem zaczęto otwierać esbeckie teczki z archiwum IPN, co spowodowało wylanie się ogromnej fali oskarżeń i pomówień wobec ludzi zarówno żyjących, jak i zmarłych. A gdy kierownictwo IPN objął Janusz Kurtyka, doszła do tego kolejna pasja tamtejszych historyków: propagowanie kultu „żołnierzy wyklętych” oraz dekomunizowanie ostatnich materialnych śladów PRL – nazw ulic, pomników, tablic, cmentarzy.

Oczywiście w IPN pracuje tylko niewielka część historyków w naszym kraju, lecz roli Instytutu przecenić nie sposób ze względu na środki

eprasa.pl cd394828f6

Szef IPN Karol Nawrocki i ks. Jarosław Nawrocki na spotkaniu podczas pielgrzymki kibiców na Jasną Górę, 8 stycznia 2022 r.

i możliwości, jakimi dysponuje, a także oddziaływanie na edukację historyczną w szkołach i mediach. Krótko mówiąc, w ostatnim 20-leciu IPN miał decydujący wpływ na kształtowanie narracji historycznej w polskim społeczeństwie.

IPN-owska propaganda zaś jest typowym przykładem wykorzystania nauki historycznej do oddziaływania polityczno-ideologicznego, o którym pisał prof. Krasuski. Formy karykaturalne przybrało to pod rządami poprzedniego prezesa IPN, którego jedynym „dorobkiem naukowym" były książeczki dla dzieci przedstawiające dzieje Polski według archaicznego kanonu z czasów zaborów, zupełnie ignorujące złożoność naszej przeszłości i osiągnięcia naukowe współczesnej historiografii. Niewiele wskazuje też na to, by obecny prezes miał tę linię istotnie zmienić.

Nigdy dosyć przypominania, że grzechem pierworodnym IPN (obciążającym jego ojców założycieli z koalicji AWS-UW) jest połączenie w jednym organizmie instytutu badawczego, archiwum dawnej policji politycznej, instytucji edukacyjnej oraz prokuratury, która ściga „zbrodnie komunistyczne", czyli wszelkie naruszenia prawa przez aparat władzy w latach 1944-1989. Taka mieszanka piorunująca musiała dać fatalne efekty, które odczuwamy do dziś, i trudno zrozumieć, dlaczego przez dwie dekady w elitach politycznych nie pojawiła się refleksja o sensie istnienia IPN. Ów „grzech zaniechania" obciąża zatem wszystkie środowiska rządzące Polską w XXI w.

W todze prokuratora

Ale może warto postawić sprawę inaczej: czy gdyby nie było IPN, inna byłaby dominująca w Polsce narracja historyczna? Wystarczy spojrzeć na ofertę większości wydawnictw podejmujących tematykę historyczną, by uświadomić sobie, że dominuje podejście w stylu: „my kontra oni", „patrioci kontra zdrajcy", „bohaterowie kontra zbrodniarze" (najczęściej w sensacyjnym, nieraz wręcz pornograficznym sosie). Wcale nie trzeba IPN-owskiej pieczątki, by prokuratorska mentalność triumfowała wśród ludzi popularyzujących historię w książkach, mediach, internecie. Miał więc rację prof. Karol Modzelewski, wskazując, że duża część studentów historii najwyraźniej minęła się z powołaniem, gdyż powinna studiować prawo karne.

Czy zatem można sobie wyobrazić uprawianie historii w inny sposób? Chciałbym być optymistą i wierzyć, że tak. Zatem jak mogłaby wyglądać taka historia? Ująłbym to w pięciu punktach.

Po pierwsze – i chyba najważniejsze – motywacja: z jakiego powodu ktoś zajmuje się historią. Czy u historyka dominują motywy negatywne czy, pozytywne. Negatywne – to oskarżać, lustrować, demaskować, ujawniać wrogów. Pozytywne – to czerpać przyjemność z wyjaśniania wydarzeń i zjawisk z przeszłości, a także z udostępniania swoich wniosków czytelnikom i słuchaczom, by również mieli możliwość zrozumienia przeszłości. Albo jeszcze inaczej: historia z zaciśniętymi zębami kontra historia z uśmiechem i pogodą ducha, nawet wtedy, gdy mowa o rzeczach smutnych czy strasznych. Powodem radości powinna być bowiem sama prawda, która jest celem historyka. Prawda obiektywna, a nie „prawda" narodowa, religijna czy partyjna. A więc żadnego upiększania czy pomijania niewygodnych faktów, żadnego cenzurowania życiorysów. Wzorem może tu być „Polski Słownik Biograficzny", który od wielu dziesięcioleci zamieszcza życiorysy ważnych postaci z naszych dziejów.

FOT. KAROL PORWICH/EAST NEWS

eprasa.pl cd394828f6

I nie sposób się domyśleć, jaki jest stosunek autora do jego bohatera, za to można wyczytać mnóstwo nieraz wręcz zaskakujących informacji.

Po drugie – pamięć powszechna, a nie wybiórcza. Ulice, place, parki, cmentarze, muzea, zabytki, pomniki, tablice pamiątkowe są dobrem powszechnym i powinny służyć utrwalaniu historii całego społeczeństwa, które na danym terenie mieszka. Nie mogą być własnością jednej opcji politycznej czy światopoglądowej. Nie ma żadnego powodu, by przestrzeń publiczna miała być cenzurowana na zasadzie: zdejmujemy tablicę ku czci działacza KPP czy PPR i zastępujemy ją tablicą upamiętniającą miejscowego proboszcza lub „żołnierza wyklętego". Polska jest na tyle duża, że zmieszczą się w niej komuniści i antykomuniści, duchowni i antyklerykałowie, Polacy i Żydzi, Niemcy, Rosjanie i Ukraińcy. Zmieści się i wybitny poeta Zbigniew Herbert, i niezły dramaturg Leon Kruczkowski – nie trzeba ulic tego ostatniego zastępować ulicami pierwszego tylko dlatego, że Kruczkowski był komunistą, a Herbert antykomunistą. Wielkie narody o tym wiedzą: Francuzi czy Rosjanie potrafią czcić sławnych rodaków z różnych stron ideowo-politycznej barykady, np. zarówno przywódców kolejnych rewolucji, jak i ich ofiary. Dlaczego my tego nie potrafimy? Przecież to nasza wspólna historia, której już nie zmienimy. Przyjmijmy więc naszą przeszłość taką, jaka była.

Narodowa w powszechnej

Po trzecie – im więcej różnorodności, tym lepiej. Historia każdego kraju i każdego narodu jest w gruncie rzeczy historią pograniczy: etnicznych, kulturowych, religijnych. W przypadku dziejów Polski jest to szczególnie dobrze widoczne, ale jednak bardzo często zapominane lub celowo przemilczane. Nasza przeszłość to nie tylko Polacy katolicy z endeckich czytanek. To także miliony Rusinów (a później Białorusinów i Ukraińców), ale i Rosjan, a także Litwinów, Niemców, Żydów, Tatarów, Ormian itd., którzy wyznawali prawosławie, protestantyzm, judaizm czy islam, a im bliżej naszych czasów, tym więcej było takich, którzy nie potrafili się odnaleźć w żadnej religii. O nich wszystkich należy pamiętać w takim samym stopniu, jak o etnicznych Polakach – bez żadnych uprzedzeń, kierując się wyłącznie prawdą historyczną. A więc jeśli w przeszłości dochodziło między różnymi grupami do konfliktów, nawet bardzo krwawych, to nie należy ich ukrywać, choćby miało to „godzić w dobre imię" jakiejś grupy – większości czy mniejszości. Prawda nieraz może być bolesna, ale jeszcze bardziej bolesne jest kłamstwo – a tego historyk musi się wystrzegać jak grzechu najgorszego.

Wzorem uprawiania historii może być „Polski Słownik Biograficzny", który od wielu dziesięcioleci zamieszcza życiorysy ważnych postaci z naszych dziejów.

Po czwarte – nie tylko polityka. Historyk musi zawsze pamiętać, że zdecydowana większość każdego społeczeństwa (czy to współczesnego, czy w jakiejkolwiek innej epoce) nie zajmuje się polityką, tylko po prostu życiem, jakkolwiek banalnie by to brzmiało. Jednak w podręcznikach historii i w ogóle we wszelkiej narracji historycznej dominują dzieje polityczne, np. z historii dawnej Polski przypomina się głównie królów, hetmanów i toczone przez nich bitwy, z dziejów XIX-wiecznych pamiętane są przede wszystkim powstania narodowe, zaś historia XX w. w ogóle jest skrajnie upolityczniona, bo wszystko jest tu podporządkowane „walce o niepodległość", a potem „walce z komunizmem". Tymczasem poznanie możliwie pełnej prawdy o danym społeczeństwie w danym okresie historycznym wymaga skupienia się na życiu codziennym, gospodarczym, kulturalnym, religijnym itd. Jednym słowem – na socjologii historycznej, o którą tak konsekwentnie od wielu lat dopomina się prof. Marcin Kula.

Wreszcie **po piąte** – historia narodowa jest tylko częścią dziejów powszechnych. Skupianie się wyłącznie na przeszłości własnego kraju i narodu to prosta droga do zaściankowości, która więcej zafałszowuje niż pozwala zrozumieć. Jednak wśród polskich historyków niewielu zajmuje się historią powszechną, zaś tylko nieliczni potrafią dokonywać twórczych porównań między własnym krajem a innymi. Choć przecież już jeden z ojców założycieli naszej historiografii, Joachim Lelewel, dwa stulecia temu dokonał arcyciekawej paraleli dziejów Polski i Hiszpanii. Oczywiście zajmowanie się historią powszechną wymaga znacznie większego wysiłku: znajomości języków obcych i bieżącej literatury w tychże językach, a przede wszystkim ciekawości świata i porzucenia ideologicznych okularów w patrzeniu na rzeczywistość. Ale warto to robić, by nie pozostać na marginesie światowej nauki, a przy tym zacieśniać dobre stosunki z uczonymi oraz instytucjami naukowymi z innych krajów. Oczywiście daleko nam jeszcze do wspólnego podręcznika historii Europy, o którym w Unii Europejskiej marzono od dawna. Jednak warto zapytać: ilu polskich historyków jest w stanie dorównać Normanowi Daviesowi, autorowi monumentalnej „Europy. Rozprawy historyka z historią", albo prof. Wojciechowi Lipońskiemu, który wydaje właśnie wielotomowe „Dzieje kultury europejskiej" (ostatnio ukazał się tom trzeci, poświęcony epoce renesansu)? Jak długo jeszcze nasza historiografia będzie skazana na „dzieła" w rodzaju prokuratorskich monografii Urzędu Bezpieczeństwa w danym powiecie czy hagiografii dowódców kilkuosobowych oddziałów „żołnierzy wyklętych"? A jeśli już mamy tak wielu miłośników badania „zbrodni komunistycznych", to dlaczego nie znajdują się chętni, by dokonywać twórczych porównań sytuacji w Polsce Ludowej z innymi krajami bloku radzieckiego? Otwartość na świat jeszcze nikomu nie zaszkodziła, a historykowi może tylko pomóc.

Paweł Siergiejczyk

[1] J. Krasuski, *Wyznaczniki biegu historii*, Ossolineum, Wrocław 2008, s. 9-10.

Przepraszamy

Do tekstu „Jednak wyzwolenie" w poprzednim numerze PRZEGLĄDU wkradł się błąd. Oczywiście w powstaniu warszawskim poległo 20 tys. powstańców, a nie 200 tys., a Warszawa została wyzwolona 77, a nie 78 lat temu. Autora i Czytelników przepraszamy.

eprasa.pl cd394828f6

Tak, ale

Agnieszka Wolny-Hamkało

Światowe życie patocelebrytów

Zawsze cieszyła nas, ludzkość, czyjaś wtopa. Po prostu ludzie zawsze lubili wspólnie się z kogoś pośmiać. Bo nic tak nie łączy, jak wzajemna zgoda, że C. się skończył, J. jest grafomanem, a K. ssie. Ale teraz, w sieci, śmiejemy się na masową skalę. Kiedyś trzeba było mieć szczęście, żeby zobaczyć przysłowiowego Adriana K. pijanego albo sikającego pod kościołem na klomby. I tylko raz na kilka lat komuś się udawało, mimo że najbardziej uparte zawodniczki codziennie leżały na parapetach swoich okien tylko po to, żeby to zobaczyć. Nic więc dziwnego, że ludzie nie zostawiali takich obrazów dla siebie: podczas targowych śród, na rozstajach dróg – opowieść o pijanym K. krzaczyła się jak pękający lód: ludzie powtarzali ją sobie w wielu wariantach. Autor plotki zaś zyskiwał popularność i zbijał kapitał społeczny. Ale ówczesne łowczynie sensacji na poduchach parapetów nawet nie śniły, że w przyszłości dystrybucja właściwego ujęcia może błyskawicznie objąć cały kraj. I nawet jeśli Adrian K. oblałby klomb tylko raz, jego portret w planie amerykańskim mógłby stać się powodem radości wielu ludzi w różnym wieku.

Plotki nie trzeba dowartościowywać, poradzi sobie sama.

Niestety, wspólnotę buduje się także na negatywnych emocjach, wyznaczając wspólnego wroga. Ale w kapitalizmie ten mechanizm został wzmocniony i wyceniony: depozytariusz plotki zbija już nie tylko kapitał społeczny, ale także kapitał absolutnie wymierny, monetarny, który pomnaża się wraz z kumulacją kliknięć: im niżej upada celebryta K., tym więcej przychodów ma autor plotki. Co jakiś czas słusznie oburzeni publicyści apelują o rozsądek i rozwagę, bo bohaterami popularnych programów zostają przestępcy kryminalni, bo programy prowadzą bandyci. Za tym oburzeniem – trochę teatralnym i jakby z gruntu spóźnionym – stoją niestety płonne nadzieje na zmianę mechanizmów działania komercyjnych mediów. Oliver Stone w „Urodzonych mordercach" już na początku lat 90. pokazywał medialne kariery (i mechanizmy, które za nimi stoją) patocelebrytów. Jeżeli jedynym zarządcą danej informacji czy obrazu jest popyt – informacja lub obraz o najwyższym ładunku emocjonalnym zawsze wyprze tę łagodną lub zniuansowaną. To dlatego kapitalizm (a nie tylko media społecznościowe) promuje polaryzację.

Jeszcze dwie dekady lat temu trudno było sobie wyobrazić, że będziemy oglądać seks na żywo w niekodowanej telewizji, aż w roku 2001 przyszła polska emisja *reality show* „Big Brother". Przez te 20 lat granica przesunęła się tak bardzo, że seks w telewizji nie jest już w stanie przykuć niczyjej uwagi. Patocelebryci nękający osoby z niepełnosprawnością, próby samobójcze na lajwach, transmitowane w czasie rzeczywistym pobicia i kradzieże mają o wiele lepszą oglądalność. Sikający na klomby pijany K. nie miałby z nimi szans. Chyba że byłby prezydentem jakiegoś bogatego kraju.

W obwoźnych cyrkach zawsze pokazywano osobliwości: człowieka-jaszczurkę, kobietę-gumę, syjamskie bliźniaczki zrośnięte biodrami, dziecko o podwójnych zębach. Przed namiotami ustawiały się kolejki, a potem łapczywie łypano na cudze osobliwości, uważnie badano wzrokiem anomalie, choroby. Na dworach legendy wyprzedzały wizyty charyzmatycznych awanturników. A imiona zbrodniarzy i spiskowców powtarzano sobie lękliwie, strasząc nimi dzieci, rozbudzając wyobraźnię kawalerów i panien. Tę emocję sprawnie wykorzystały pisma o charakterze „sensacyjno-rozrywkowym", czyli tabloidy, w których gigantyczny kangur palący elektryczne papierosy sąsiaduje z pękającym biustem aktorki porno. Nie trzeba zresztą wierzyć w te sensacje, żeby się z nich pośmiać, niektóre tytuły naprawdę są zabawne. Niestety, część treści nie jest wcale nieszkodliwa. A nieustający przychód pozwala procesować się (i przegrywać) tym pismom/portalom, które naruszyły czyjąś prywatność albo doprowadziły do społecznego linczu – na przykład naszego przysłowiowego Adriana K. Bo jak już tak opowiadamy o sile wspólnoty, która jest podstawą funkcjonowania każdej społeczności i każdego kraju, a jej relacje i rytuały są tym, w czym upatrujemy alternatywy dla egotycznego indywidualizmu jednostek i ich rodzin, to chciałoby się dodać, że w tych wspólnych działaniach przydałoby się więcej sportu, literatury, sztuki. Plotki nie trzeba dowartościowywać, poradzi sobie sama.

Przegląd
Dołącz do naszej społeczności
Znajdź PRZEGLĄD na Facebooku, Twitterze, Instagramie, YouTubie i LinkedIn

eprasa.pl cd394828f6

Wiele rzeczy jednocześnie

Jako kobiety jesteśmy wielozadaniowe, łączymy twórczość z pracą w domu, dzięki temu nasza sztuka staje się głębsza

Rozmawia Artur Zaborski

Podobno od zawsze wiedziała pani, że będzie malarką.

– Rzeczywiście tak było. Nigdy nie wzięłam pod uwagę innej drogi zawodowej. Miałam świadomość, że w pewien sposób wyróżniam się artystycznie. I nigdy w to nie zwątpiłam mimo braku znajomości w tej branży. Wciąż pracowałam nad sobą i swoimi umiejętnościami.

W jaki sposób?

– Początkowo poprzez naukę w liceum plastycznym, następnie poprzez studia na Akademii Sztuk Pięknych. Wtedy to, co robiłam, to nie była jeszcze twórczość, tylko raczej droga rozwoju, poszukiwania. Dopiero po długim czasie przekułam to we własny styl. I zaczęłam reagować na to, co dzieje się dookoła. Bardzo przeżywam wszystko, co się dzieje dziś w świecie i jakie trudności z tym się wiążą. Ze względu na sytuację pandemiczną i polityczną bardzo oddalamy się od siebie. A ja chcę to jakoś zatrzymać, dlatego poprzez moją sztukę próbuję dawać innym dobro.

To dość oryginalne podejście.

– W polskiej twórczości dominują skrajności – albo maluje się rzeczy idealistyczne i piękne dla oka, albo takie, które mają wzbudzić bunt. A ja chciałabym poprzez sztukę załagodzić to, co czuję. Dawać ludziom radość i energię, chęć do życia. Ludzie myślą, że skoro moja sztuka jest taka, to ja też jestem jak ona – radosna, kolorowa, spontaniczna.

A jaka pani jest?

– Określa mnie to, jak maluję. Szybko i energicznie. Technika, którą stosuję, nie pozwala mi na wracanie do rozpoczętych obrazów. Pięć dni to maksymalny czas ich powstawania. Dlatego są one pewnym chwytaniem myśli i chwili. Czasami są bardzo wesołe, innym razem bardzo smutne, bo ujmują konkretne emocje z danego momentu i dnia. Tworzę szybko i chcę, żeby mój nastrój dawał energię odbiorcom. Moje prace kontrastują ze sobą, tak jak wszystko, co nas otacza. Skrajności są wpisane w nasze życie.

KRYSTYNA RÓŻ-PASEK
– malarka, zajmuje się głównie malarstwem sztalugowym, w latach 2004-2009 studiowała na Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie na Wydziale Architektury Wnętrz

Jak zabiera się pani do pracy? Czy czując jekieś emocje, wie pani, że to ten moment, kiedy trzeba chwycić za pędzel?

– Zawsze staram się dobrze przemyśleć kompozycje obrazów, zanim powstaną. Starannie przygotowuję się do wszystkich działań, miałam tak właściwie przez całe życie. Czasami myślę, że mogłabym mieć pracownię, do której przychodziłyby różne osoby i rozmawiały ze mną w trakcie malowania. Emocje i przemyślenia przelewałabym wtedy na płótno.

Z jednej strony mówi pani o planowaniu, a z drugiej o chwilowych emocjach. Wydawałoby się, że są to rzeczy niemożliwe do pogodzenia.

– Mam w sobie mnóstwo skrajności. Moje malarstwo musi być przygotowane, a jednocześnie szybkie. Nawet nasza rozmowa jest dla mnie pewnego rodzaju skrajnością, bo z natury jestem raczej osobą nieśmiałą, nielubiącą się uzewnętrzniać, a mimo to zawsze pakuję się w sytuacje, które tego wymagają.

Woli pani wyrażać siebie poprzez sztukę niż poprzez słowa?

– I tak, i nie. Kiedy rozmawiam o tym, co mnie fascynuje, przychodzi mi to z łatwością. Z pewnością moje malarstwo jest bardziej estetyczne niż polityczne, nie ma bulwersować ani zmieniać świata, choć chciałabym, aby pięknem tematów lub postaci skłaniało do działania.

Wierzy pani, że piękno może nas do niego popchnąć?

– Bardzo chcę w to wierzyć. Współpracując z ludźmi, widzę, że to działa, tylko oni nie zawsze chcą to przyznać.

Bez pewności siebie artysta nie da sobie rady.

To pójście pod prąd polskiej mentalności – kochamy przecież biczować się krzywdami, narzekamy na wszystko, co się nie udało, zapominając o tym, co nam wyszło.

– Cóż, czuję się w Polsce outsiderką. Ale myślę też, że u artysty to naturalne. Lubię wychodzić poza strefę własnego komfortu. Ale najlepiej

eprasa.pl cd394828f6

Pasja wolności

Rozentuzjazmowana

jest mi w dobrym, estetycznym otoczeniu. Moje miejsce pracy nie jest pochlapane farbą, mam wszystko poukładane, maluję wśród zieleni, a wszystkie te czynniki mają na mnie ogromny wpływ. Nie lubię chaosu. A jednocześnie, gdy się pojawia, potrafię go docenić, znaleźć w nim piękno. Właściwie wszystko jest dla mnie w jakiś sposób piękne.

Ludzie dobrze reagują na to, co pani tworzy?

– Odbiór moich prac przez osoby niezwiązane ze sztuką jest pozytywny. Odnoszę nawet wrażenie, że moja twórczość jest dla nich pomocna, łatwo przyswajalna, ale w jakiś sposób nowoczesna, nietradycyjna. Taki odzew bardzo cieszy z kolei mnie. Natomiast jeśli chodzi o artystów, ich zdania są podzielone. Raczej nie negatywne, ale albo pozytywne, albo obojętne.

Skąd może brać się ta obojętność?

– Często doświadczałam krytyki dotyczącej mojej pracy nad sobą. Zawsze chciałam być we wszystkim najlepsza, jak najwięcej korzystać z narzędzi i wiedzy profesorów. Nie każdy ma taką potrzebę, niektórzy chcą przejść przez życie w łatwiejszy sposób, szybszy, mniej wymagający. Mnie bardziej zależy na dokładności. Nie przedstawię niczego, dopóki nie będę w pełni gotowa.

Perfekcjonistka z pani.

– Zdecydowanie. Na studiach nauczyłam się, że rysowanie realistycznych wnętrz wymaga dokładności, w tworzeniu projektów nie ma miejsca na spontaniczność. Mogą być one mniej lub bardziej kreatywne, ale najważniejsze są detale. Rodzaj sztuki, do którego dotarłam teraz, i który jest wynikiem mojej wcześniejszej pracy, jest dla mnie bardzo łatwy i lekki w tworzeniu. Wypracowałam swoją rękę. Nie muszę długo zastanawiać się nad proporcjami, mimiką czy rysami twarzy. To wszystko wpisane jest w moje doświadczenie.

W ostatnim czasie sporo mówi się o artystkach w Polsce. O kobietach, które na swojej drodze do kariery musiały się mierzyć z męskimi autorytetami. Jest pani jedną z nich?

– Udało mi się tego uniknąć. Na pewno była to także kwestia tego, że w liceum plastycznym, do którego uczęszczałam, uczyły się niemal wyłącznie dziewczyny. Na studiach na architekturze wnętrz było podobnie. Kadrę naukową stanowili głównie mężczyźni, ale nie mieli oni szans na faworyzowanie kogoś ze względu na płeć. Natomiast po studiach zauważyłam bardzo duży kontrast.

Jaki?

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

eprasa.pl cd394828f6

KSIĄŻKI

Witold Bereś
Statek głupców
Biedni Polacy patrzą na Usnarz
Wydawnictwo Austeria
Kraków, Budapeszt, Syrakuzy 2020

Problemem nie jest obecna władza – są nim sami Polacy. Taka jest diagnoza choroby, której ofiarą staje się Polska, a ostatnio też uchodźcze dzieci – pisze w „Miesięczniku Kraków" o eseju Witolda Beresia Krzysztof Burnetko.

Jan Stępień
Wojak Janunio
Wydawnictwo „Kto jest Kim", Warszawa 2021

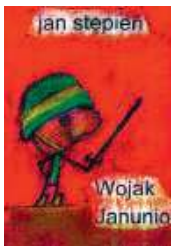

66 miniatur, które odnoszą się do osobistych przeżyć pisarza w trakcie dwuletniej służby wojskowej (jako czołgisty!) w Ludowym Wojsku Polskim. Ten zbiór to krytyka, ale nie PRL, tylko wojska jako instytucji bez względu na czas i system.

Jolanta Czartoryska
Każdy miał swój PRL
Opowiadania nostalgiczne,
Rozpisani.pl, Łódź 2021

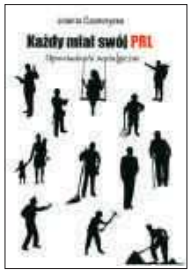

Wspomnienia córki członka aparatu władzy PRL to kolejne spojrzenie na tamte czasy, w którym starsi zobaczą swoje doświadczenia, a młodsi znajdą ciekawe informacje. W końcu każdy wtedy żył, jak mógł i umiał, a czasem jak chciał, niezależnie od tego, kim się było.

Romuald Jakub Weksler-Waszkinel
Powrót do domu
Fundacja Judaica, Kraków 2021

Pisana z perspektywy dziecka powieść o antysemityzmie ludzi pozornie dobrych, którzy wiarę mylą z władzą i boją się prawdy. Autor to filozof, teolog i przez 50 lat ksiądz katolicki, który o swoim pochodzeniu dowiedział się jako dorosły człowiek.

– Mężczyznom o wiele łatwiej było wejść na rynek, ich nazwiska były bardziej rozpoznawalne. Teraz, kiedy o tym problemie zaczęto rozmawiać, wszystko się odwraca. Artystek jest coraz więcej, mężczyźni przestają być faworyzowani. Zawsze podkreślam, że jako kobiety jesteśmy wielozadaniowe, łączymy twórczość z pracą w domu, opieką nad rodziną, i dzięki temu nasza sztuka staje się głębsza. Lekkość w twórczości może wynikać właśnie z tego, że musimy lepiej zarządzać swoim czasem, balansować pomiędzy dziećmi a wystawami.

Mnogość obowiązków i potrzeba pogodzenia różnych funkcji społecznych nie pozwalają zatem na zastanawianie się, trzeba działać szybko.

– Z pewnością wielu artystów tworzy w zamkniętych pracowniach i tam czuje się najlepiej. Sama uwielbiam działać w zgiełku życia codziennego, w otoczeniu córek, męża i szczekającego psa. Dzięki temu moje malarstwo wydaje mi się pełniejsze. 10-letnia córka powiedziała mi, że podziwia sposób, w jaki pracuję – robię wiele rzeczy jednocześnie. Podobnie wygląda życie bardzo wielu artystek i kobiet w ogóle. Nie mogę powiedzieć, że dziś namaluję obraz, a domem zajmę się jutro, bo w domu zawsze jest coś do zrobienia.

Pani słowa kontrastują z mitem artysty, który w przypływie weny skupia się tylko na pracy.

– Zdaję sobie sprawę, że takie podejście nie wszystkim się spodoba. Wielu woli postrzegać artystów jako ludzi niedostępnych dla odbiorców lub w taki sposób kreować swój wizerunek. Moje emocje są jednak tak silne, że nie potrzebuję dodatkowej przestrzeni ani niczego więcej do pracy. Malując, nie mam wątpliwości, nie zastanawiam się. Wiem, że skoro namalowałam plamę w danym miejscu, tak miało po prostu być. Nigdy nie wątpię w to, co robię.

Do tego potrzeba wiele pewności siebie.

– Artysta nie da sobie bez niej rady. Odkąd kreuję swoje nazwisko, nie mogę mieć wątpliwości co do tego, co tworzę. Wiele osób sądzi, że artyści powracają po latach do swoich obrazów i poprawiają je. Niektórzy tak robią. Trudno jest im sprzedawać prace, bo wciąż uważają, że są niedoskonałe. A ja nie tylko jestem pewna tego, co robię, po prostu nie mogę wrócić do rozpoczętych obrazów. Gruba warstwa farby olejnej jest po czasie nie do ruszenia.

Jak pani twórczość jest odbierana na naszym rynku sztuki? Jest na nim miejsce dla takich pewnych siebie artystów?

– Wydaje mi się, że jest go coraz więcej. Kiedy zaczynałam studia, wystawa na zakończenie roku malarstwa wyglądała tak, jakby wszystkie obrazy stworzyła jedna i ta sama osoba. Pod dyktando profesorów. Teraz nauczyciele są zdecydowanie bardziej otwarci, dają uczniom więcej swobody. Robi się coraz ciekawiej. Jednocześnie możemy zaobserwować przesyt. Mamy w Polsce zbyt wielu ludzi, którzy chcą tworzyć, zaistnieć w internecie, choć nie zawsze mają na siebie pomysł. Z czasem pewnie zostanie to zweryfikowane, uspokoi się, bo nie ma sensu, aby nagle wszyscy zostali malarzami. Ale możliwości są teraz dużo większe, nie tylko dla artystów, ale także dla obserwatorów. Dzięki sieci i nowym technologiom możemy zobaczyć dużo więcej różnorodnych prac.

Czy jako społeczeństwo stajemy się bardziej otwarci na sztukę?

– Nie do końca. Twórcom, którzy żyją w jednym, konkretnym środowisku, wydaje się, że tak jest. Dotyczy to malarzy, pisarzy, dziennikarzy, wszystkich twórców. Natomiast, powiedzmy, na typowym krakowskim osiedlu młodych rodzin, których większość ma stałą i codzienną pracę, takiego zainteresowania nie ma. Znajomi szanują i podziwiają moją pracę, ale większość z nich nie kupiłaby do domu ręcznie malowanego obrazu. Ludzie mają poczucie, że to nie jest ich świat. Łatwiej jest kupić inne dekoracje do wnętrz. Mam nadzieję, że to również się zmieni. Sama próbuję przemycić swoją wiedzę i podejście, wpłynąć na otoczenie, na moje dzieci, aby one kiedyś były otwarte na sztukę.

Ludzie mają poczucie, że sztuka to nie jest ich świat. Łatwiej kupić inne dekoracje do wnętrz.

Artur Zaborski

eprasa.pl cd394828f6

NA EKRANACH

Ten sezon należy do Oscara Isaaca, który sprawdza się i w spektakularnych blockbusterach („Gwiezdne wojny"), i w radykalnym kinie autorskim. „Hazardzista" to przykład tego drugiego. Przykład – dodajmy – znakomity. Za kamerą stanął Paul Schrader, który choć ma już kilka filmów na koncie (m.in. głośny „Pierwszy reformowany" o pedofilii w Kościele), to wciąż najbardziej znany pozostaje jako scenarzysta „Taksówkarza" i „Wściekłego Byka". Napisał te scenariusze dla Martina Scorsesego, który jest też producentem „Hazardzisty" – nowojorczyk wyłożył na film przyjaciela pieniądze, gdy nikt nie chciał tego zrobić. I to była świetna inwestycja, bo powstało refleksyjne, a jednocześnie trzymające za gardło kino. Isaac gra amerykańskiego żołnierza, który w Abu Ghraib torturował bliskowschodnich więźniów. Odsiedział za to karę więzienia, ale poczucia winy nie umie się pozbyć. Schrader da mu szansę na odkupienie, ale zrobi to w swoim stylu sceptyka. Bo od „Taksówkarza" niewiele u niego się zmieniło. Wciąż interesują go pokiereszowane jednostki, z pomocą których krytykuje Amerykę.

Hazardzista
reż. Paul Schrader, prod. USA, już w kinach

Artur Zaborski

KURTYNA W GÓRĘ

Teatr jako azyl

Wolność można znaleźć tylko w teatrze – powiada Mistrz w przedstawieniu na podstawie sztuk Tadeusza Słobodzianka. Słowa te pobrzmiewają nieco dwuznacznie w ustach kogoś, kto sam uważa, że skuszony przez reżim stał się jego niewolnikiem, ale i beneficjentem. To paradoks, że sztuka ostentacyjnie tradycyjnie realistyczna, pozbawiona awangardowych ciągot, okazuje się idealnym wehikułem opowieści o kreatorach awangardowego teatru: Jerzym Grotowskim i Tadeuszu Kantorze oraz towarzyszącym im Ludwiku Flaszenie i Juriju Zawadskim, moskiewskim mistrzu Grotowskiego. Słobodzianek wypuścił na świat utwory wyśmienicie skrojone (na przedstawienie składają się dwie sztuki: „Sztuka intonacji" i „Powrót Orfeusza"), które prowadzą nie tylko w głąb historii narodzin awangardowego teatru, rosyjskiego, polskiego i światowego, ale też w stronę odwiecznych poszukiwań odpowiedzi na pytanie: kim jestem.

Ogląda się to i słucha w wielkim napięciu przez niemal cztery godziny w przekonaniu, że nie jest to czas stracony. Nie tylko za sprawą tematyki i bohaterów (z nazwiska nieprzywoływanych, co daje autorowi swobodę pisania), ale i perfekcyjnego wykonania. Wszyscy wykonawcy naznaczeni są teatrem, jest w tym jakaś doza szaleństwa i nieposkromionej potrzeby gry – stąd objawiane nadmiary ekspresji, drobne i większe dziwactwa, które charakteryzują postacie. Publiczność kwituje przedstawienie owacjami na stojąco. „Słobodzianek mówi o kondycji człowieka i porażającej namiętności, żeby szukać i znaleźć sens naszego trwania", napisała Maja Komorowska. Trudno to ująć trafniej.

Tomasz Miłkowski

Tadeusz Słobodzianek, „Sztuka intonacji", reżyseria Anna Wieczur, Mała Scena Teatru Dramatycznego m.st. Warszawy, premiera 8 stycznia 2022

Macki pechowej matki

Jeśli jednym z priorytetów Polaków ma być zdrowa, trwała i szczęśliwa rodzina, to spektakl pokazany na małej scenie Teatru im. Jaracza w Łodzi stanowi ważny głos w dyskusji. Opowiada o tym, na jakie problemy może natrafić samotna matka wychowująca dorastającego syna. Dzięki internetowej sieci i portalom społecznościowym udaje się jej nawiązać autentyczny kontakt z własnym dzieckiem, co budzi salwy śmiechu, jednak spektakl nie jest komedią. Para aktorów w końcu wywołuje odruch współczucia dla bohaterów, bo w niejednej rodzinie nic nie jest takie, jakie być powinno.

Bronisław Tumiłowicz

Andrei Ivanov, „Kruk z Tower", przekład Bożena Majorczyk, reżyseria Robert Latosek, Teatr im. Jaracza, Łódź, premiera 14 stycznia 2022

ZASŁUCHAJ SIĘ

Hanna Holeksa, Marek Romanowski

Contemporary Sonatas for Double Bass & Piano
Gubajdulina, Lieberman, Proto
DUX

Trzy sonaty na kontrabas z fortepianem to ciekawostka muzyczna, bo ten instrument rzadko popisuje się solo, chyba że w koncertach jazzowych. Na płycie zarejestrowano zróżnicowane stylistycznie utwory pokazujące możliwości techniczne kontrabasu, oczywiście w otoczeniu ciekawych dźwięków fortepianu. Rosyjska awangardystka Gubajdulina jest najbardziej nowoczesna, Amerykanie Lieberman i Proto korzystają m.in. z jazzowych pomysłów i pozwalają na odrobinę improwizacji.

Franciszek Jacik

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. KRZYSZTOF BIELIŃSKI, MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl cd394828f6

Łyżka dziegciu w beczce miodu

W Niemczech na terenach chronionych odnotowano 75-procentowy spadek liczebności dzikich zapylaczy

Konrad Malec

Ponoć ludzkość ma zniknąć w ciągu czterech lat od śmierci ostatniej pszczoły. To twierdzenie przypisuje się wielkiemu fizykowi Albertowi Einsteinowi lub genialnemu biologowi Karolowi Darwinowi. Żadne źródła pozostawione przez obu uczonych nie zawierają tego twierdzenia. Mnie wydaje się ono przesadzone, niemniej zniknięcie pszczół i innych zapylaczy będzie dla nas poważnym kłopotem. Kłopotem o rozmiarach klęski.

Zapylacze

Pod koniec ubiegłego roku Stowarzyszenie Sady Grójeckie poinformowało o przekazaniu pszczelarzom 750 izolatorów chmary i zapowiedziało tysiąc kolejnych w tym roku. Izolatory mają kilka funkcji w pszczelarstwie, m.in. pomagają w zwalczaniu dręcza pszczelego, roztocza szerzej znanego pod łacińskim mianem *Varroa destructor*, wywołującego jeszcze lepiej znaną, przynajmniej z nazwy, chorobę – warrozę. Atakuje on pszczoły miodne i ich dzikie krewniaczki, których w Polsce mamy ponad 450 gatunków. Brzmi dobrze, ale… Ale przed oczami stają mi obrazki z sadów zachodniej Lubelszczyzny, gdzie często bywam i obserwuję, jak sadownicy wykańczają pszczoły, motyle, bzygi i inne owady zapylające.

Mój ogród ma we wsi opinię zapuszczonego. Niewielu rozumie, że to celowe działanie, dzięki któremu cieszę się obecnością pięknych, dzikich kwiatów, często określanych pogardliwie jako chwasty. Rzecz jasna z domieszką roślin wprowadzonych m.in. jako wabiki owadów albo po prostu, by cieszyły oko. To z kolei przekłada się na bogactwo nadlatujących pszczół, w tym samotnych, trzmieli, pszczolinek i mnóstwa innych, których nie potrafię nazwać. Poza nimi obserwuję wiele motyli (w Polsce ok. 3,2 tys.), będących moją niespełnioną miłością, much, jak wspomniane bzygi (ogółem ok. 400 muchówek w Polsce jest zapylaczami) czy chrząszczy (w Polsce opisano 6,2 tys. ich gatunków, nie wiadomo, jaka część z nich para się zapylaniem). To nie wszystkie owady odpowiedzialne za zapylanie w Polsce, jest ich więcej, przede wszystkim wśród błonkówek (dalszych krewnych pszczół).

Generalnie od wczesnej wiosny do późnej jesieni obserwuję wiele sześcionogich istot, opijających się nektarem i umorusanych w pyłku. Odmienny obraz widzę w czasie wizyt u rodziny na zachodzie Lubelszczyzny, gdzie sady ciągną się po horyzont. Minionego lata podczas dwugodzinnej zabawy z córką w ogrodzie pełnym kwiatów zaobserwowałem zaledwie dwa motyle oraz pojedyncze pszczoły, trzmiele i zapylające muchówki. Tak jest za każdym razem, kiedy wychodzę do tam ogrodu lub idę w teren.

Chemiczny batalion sadowniczy

W ogrodzie nie stosuję substancji biobójczych, w bezpośrednim sąsiedztwie też jest ich niewiele, co – wraz z suto zastawionym dla zapylaczy „stołem" – procentuje dużą liczbą owadów. A gdy odwiedzam Lubelszczyznę i przy okazji chcę zaopatrzyć się w owoce, dostaję komunikat: „po maliny/jabłka pojedziemy w to miejsce, bo właściciel mało pryska" lub „od sąsiada nie bierz, on pryska codziennie". I to nie przesada, widzę codziennie wjeżdżający do sadu traktor z opryskiem. Rzecz jasna nie służy to żadnym owadom. Do tego dochodzi intensywne nawożenie, które pozbawia pszczoły jedzenia. W okrawkach upraw intensywnie nawożonych rozwijają się rośliny nieprzydatne dla zapylaczy lub o niewielkim dla nich znaczeniu, jak pokrzywy czy glistnik

Pszczoła miodna zbiera pokarm w promieniu nawet kilku kilometrów od ula, ale jej dzikie krewne mają mniejszy zasięg.

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl cd394828f6

jaskółcze ziele. Warto jednak mieć świadomość, że o ile pszczołowate karmią swoje potomstwo nektarem, pyłkiem czy miodem, o tyle larwy części innych zapylaczy żywią się m.in. roślinami, w tym wspomnianą pokrzywą (np. znaczna część gąsienic rusałek).

Kolejnym czynnikiem jest zagospodarowywanie każdego wolnego skrawka. Nie ma miedz czy nieużytków, na których rosło wiele roślin pożytkowych, jak określa się rośliny, z których zapylacze zbierają nektar, pyłek lub spadź. Pszczoła miodna zbiera pokarm w promieniu nawet kilku kilometrów od ula, ale jej dzikie krewne mają mniejszy zasięg, często nieprzekraczający kilkuset metrów. Jeśli między resztkami terenów, na których żyją pszczoły samotnice, są wielkie połacie intensywnych upraw, owe remizy pozostają odizolowane. Z czasem prowadzi to do krzyżowania wsobnego, czyli przekazywania genów osobnikom blisko spokrewnionym, czego konsekwencją jest degeneracja i wymieranie. Same sady są atrakcyjnym miejscem żerowania dla zapylaczy, ale tylko w czasie kwitnienia. Po krótkim czasie obfitości, jeśli szkodliwe substancje nie zabiją owadów, następuje czas głodu. Podobne czynniki doprowadziły do zaniku pszczół i dzikich zapylaczy w kalifornijskim zagłębiu sadowniczym, gdzie uprawia się migdałowce. W efekcie tamtejsi sadownicy płacą krocie pszczelarzom, by ci przyjechali z pasiekami w czasie kwitnienia tych drzew. Dla pszczelarzy to intratny biznes, opłaca się jechać nawet ze Wschodniego Wybrzeża. Miejscowi sadownicy już wiedzą, co stracili i za olbrzymie pieniądze próbują przywrócić dzikie zapylacze.

Znikające owady zapylające

Zresztą problem zaniku zapylaczy osiągnął skalę globalną i wcale nie koncentruje się na pszczole miodnej. Owszem, w Europie i Ameryce Północnej zaobserwowano zamieranie rodzin pszczelich, m.in. z powodu warrozy, choć chorób i innych odpowiedzialnych czynników jest znacznie więcej, ale w skali globalnej liczba hodowlanych pszczół miodnych rośnie. Najlepiej skalę zaniku dzikich zapylaczy zbadano w Niemczech, gdzie na terenach chronionych odnotowano 75-procentowy spadek ich liczebności. Poza wyżej wymienionymi, przyczyn jest więcej, a za niektóre współodpowiadają… pszczelarze! Najlepszym przykładem są gatunki obce i ekspansywne w naszej florze. Wypierają one rodzime gatunki, w tym wiele stanowiących bazę pokarmową zapylaczy. Szacuje się, że na półnaturalnej łące 20% roślin stanowi pożytek dla zapylaczy. W momencie kiedy pojawia się nawłoć późna, zwana mylnie mimozą (Niemen śpiewający „mimozami jesień się zaczyna" był w błędzie), wypiera ona niemal wszystkie inne rośliny. Sama dostarcza pyłku i nektaru, ale tylko przez miesiąc. Podobnie rzecz się ma z robinią akacjową (niesłusznie nazywaną akacją), która dostarcza dobrego pożytku, ale krótko. Dodatkowo w przeciwieństwie do rodzimych drzew, np. równie miododajnej lipy, pod robiniami nie rosną rośliny lubiane przez zapylacze. Niestety, pszczelarze obu najeźdźców hołubią i rozsadzają, w efekcie sami sobie podcinają gałąź, na której siedzą. Zwróciłem kiedyś na to uwagę na jednym z forów pszczelarskich (jestem niedoszłym pszczelarzem), nie spotkało się to ze zrozumieniem, zostałem w klasycznie polskim stylu wyśmiany i znieważony. Pszczelarz też Polak.

Innym błędem pszczelarzy, ale też osób chcących wesprzeć zapylacze, jest… wysiewanie kwiatów. Sam w sobie to dobry kierunek, niemniej nie wszystkie rośliny mają jednakowo dobre właściwości dla pszczół, nawet jeśli pszczoły je chętnie odwiedzają. Okazuje się, że to, co służy dorosłym, niekoniecznie służy czerwiom, czyli potomstwu. Dorosłe pszczoły potrzebują głównie nektaru, przynajmniej w ciepłej porze roku. Czerwie potrzebują przede wszystkim pyłku, i to nie byle jakiego. Przykładowo pyłek słonecznika, do którego lgną pszczoły, wcale nie służy ich potomstwu. Tu trzeba jednak nieco usprawiedliwić i pszczelarzy, i osoby chcące pomóc owadom, badania nad odpowiednim pokarmem dla pszczół są w powijakach. Niemniej już wiadomo, że dobrej jakości pyłku dostarczają wszelkie koniczyny, róże i drzewa owocowe, a także gryka czy bób. Pyłki tych roślin są dobre dla pszczół udomowionych i ich dzikich pobratymców. Niestety, areał wspomnianych roślin spada.

Równie niekorzystną sytuacją jak intensyfikacja rolnictwa może być jego porzucanie. W mojej okolicy wiele pól przekształciło się w ugory, a następnie w lasy. Cóż się dziwić, gleba taka, że okoliczni mieszkańcy stawiając dom, pozyskują piasek na podwórku albo zaraz za nim. W każdym razie zarastanie pól może doprowadzić do zaniku roślin pożytkowych, choć – o ile nie wedrą się obce gatunki ekspansywne, a niestety często w takich miejscach pojawiają się jako pierwsze – ostatecznie nie musi to wyjść źle, las też jest domem dla zapylaczy, choć dla innych gatunków niż tereny otwarte. W tym miejscu tylko zaznaczę, że rozkręcające się ocieplenie klimatu jest problemem dla zapylaczy. Wraz ze zmianą zasięgu stref klimatycznych przesuwają się zasięgi roślin, a same rośliny wcześniej zaczynają kwitnąć, przez co rozmijają się w czasie z cyklem życia zapylaczy. To oznacza trudności z zapłodnieniem dla roślin i głód dla zapylaczy. W przeszłości kilkukrotnym zlodowaceniom i interglacjałom towarzyszyły zmiany zasięgów roślin, zwierząt i grzybów, ale nie wszystkim udało się nadążyć za zmieniającym się klimatem.

> Nie ma już miedz czy nieużytków, na których rosło wiele roślin pożytkowych.

Atak udomowionych pszczół

I wreszcie jeszcze jedna sprawa, zagrożeniem dla dzikich zapylaczy mogą być… hodowlane pszczoły, w tym trzmiele. Szczególnie gdy mamy do czynienia z masową pasieką lub jej czasowym przeniesieniem, np. w celu zapylenia pól rzepaku. Wprawdzie takie działanie zwykle podnosi plon, nawet o przeszło 20%, jednak często oznacza klęskę dla dzikich zapylaczy. Pojawiająca się w masowych ilościach pszczoła miodna stanowi poważną konkurencję dla dzikich zapylaczy. Jakby tego było mało, to roznoszą one choroby,

eprasa.pl cd394828f6

przede wszystkim na gatunki blisko spokrewnione. Nieco na marginesie warto w tym miejscu wspomnieć, że podobnie działa to w miastach, w których pasieki stają się coraz popularniejsze. Tymczasem wraz z pozytywnym trendem tworzenia w miastach kwietnych łąk zamiast trawników, stają się one atrakcyjnym miejscem dla dzikich zapylaczy. O ile nie mamy do czynienia z przepszczeleniem (czyli przeludnieniem w świecie pszczół).

Dobrej jakości pyłku dostarczają wszelkie koniczyny, róże i drzewa owocowe, a także gryka czy bób.

Hodowlane pszczoły i trzmiele pochodzą często z innych stref klimatycznych, przez co nie są przystosowane do tutejszych warunków. Uwolnione przekazują swoje geny dzikim populacjom, czym je osłabiają.

Światełko w tunelu

A jak to się ma do Sadów Grójeckich, których działanie skłoniło mnie do tej gorzkiej wyliczanki? Skontaktowałem się ze stowarzyszeniem i… zdziwiłem się. Wygląda na to, że sadownicy z Grójca próbują iść w dobrą stronę. Wszyscy członkowie stowarzyszenia muszą posiadać certyfikat Integrowanej Produkcji lub standard bezpieczeństwa GlobalG.A.P. Wprawdzie to nie biorolnictwo, jednak stosowanie sztucznych nawozów i środków ochrony roślin jest ograniczone. Nacisk kładzie się na organiczne nawożenie i mechaniczne lub biologiczne metody zwalczania szkodników. Każdy z członków stowarzyszenia jest zobowiązany do stworzenia areału kwietnej łąki lub innego, podobnego tworu pośród upraw. Stowarzyszenie przyjęło dwukrotnie ostrzejsze normy niż wynikające z certyfikatu Integrowanej Produkcji lub GlobalG.A.P. Złamanie warunków grozi wykluczeniem ze stowarzyszenia i niemożnością sprzedawania produktów z logo Sadów Grójeckich z certyfikatem Chronionego Oznaczenia Geograficznego. Jak dotkliwa to strata, można się przekonać, porównując ceny i popularność jabłek grójeckich z innymi w dyskontach. Dodajmy, że sadownicy z okolic Grójca wpuścili do swoich sadów pszczoły samotnice. Oby znani mi sadownicy z Lubelszczyzny oraz nieznani z reszty Polski podążyli tym samym tropem, choćby we własnym interesie.

Konrad Malec

PS Wspomniałem, że nie wierzę, by ludzkość zginęła bez pszczół, ale warto spojrzeć, co możemy stracić. 75% roślin lądowych, w tym jedna trzecia roślin uprawnych, jest zapylanych przez owady. W 2019 r. pracę pszczół wyceniono globalnie na 153-265 mld euro. Najnowsze dane dla Polski pochodzą z 2006 r., wówczas usługi świadczone przez zapylacze wyceniono na 3-4 mld zł. Powinniśmy się cieszyć, że owady nie żądają wypłaty, zwłaszcza po uwzględnieniu inflacji.

eprasa.pl cd394828f6

Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Czarny tulipan

Im dłużej trwa kaczyzm, tym bardziej chciałoby się zapaść pod ziemię z zażenowania i zgryzoty. Albo na podobieństwo wielu innych ssaków zapaść w hibernację, ale taką wielozimową: zbudzić się dopiero, gdy pisowska katastrofa się skończy. Dałbym radę, zgromadziłem zapasy tłuszczu na niejeden sezon, postanowiłem zatem podpatrzeć z bliska, jak to się robi.

Odkryłem w życiu parę większych jaskiń, ale właściwie mogę odwiedzać tylko jedną spośród nich, pozostałe już dla mnie za ciasne, a ta najpiękniejsza zamknięta włazem i udostępniana wyłącznie na specjalne zezwolenia naukowe. Nie muszę dodawać, że to nie jaskinie się skurczyły, ale ja wzdąłem. Paradoks polega na tym, że choć groty niezmienne od setek tysięcy lat, subiektywnie zmieniły się dla mnie także topograficznie: to, co niegdyś było zaciskiem, dziś jest nieprzebywalnym zwężeniem korytarza, tam, gdzie na planie widniał wygodny przełaz, dziś z trudem się przeciskam, gdzie niegdyś przemykałem żwawo, dziś przedostaję się zasapany. Czyli, *pardon my French*, w starej i znanej dziurze jestem, a jakbym ją pierwszy raz penetrował.

Wystarczyło zatem zniknąć z powierzchni ziemi i od razu zrobiło się optymistycznie: jaskinia jest jedną z największych sypialni podkowca małego, w Polsce zagrożonego wyginięciem; policzyliśmy je, okazało się, że 17 lat po odsłonięciu otworu liczba hibernujących ssaków w jaskini się nie zmniejsza. Z podkowcami trzeba szczególnie uważać, bo w przeciwieństwie do wielu innych gatunków nie mają w zwyczaju szukać na zimę niedostępnych pęknięć w stropie, ciasnych szczelin, tylko wiszą, gdzie popadnie, najchętniej podwieszone na płaskim suficie w przestronnych salach (jakby cierpiały na klaustrofobię). W dodatku nie zbijają się w kolonie, jak to robią na przykład nocki, aby się wzajemnie ogrzewać, podkowce zdają się przedkładać samotność nad instynkt stadny, ja to rozumiem – choć sam chrapię, nie zasnę, kiedy kto inny to robi, osobna sypialnia to niezrównany komfort. „I nagle on, wskazując mi jakieś dwie / wiszące na sąsiedniej skale / proponuje, byśmy się do tych dwóch przywiesili / a ja mówię / daj mi spokój / ja nie mam ochoty / ja to pierdolę / jestem w nastroju / nieprzywieszalnym", jak pisał muzykujący poeta nietoperz.

Ekscentryczny to gatunek, zasypia nietypowo, jako jedyny owinięty błonami skrzydeł niczym kokonem, co czyni kształt śpiącego podkowca wybitnie charakterystycznym – gdyby je odwrócić nogami do dołu, wyglądałyby jak czarne tulipany. Kiedy widzi się ich „łan" – bo choć niezbite w gromadę, nie dotykając się, często wybierają to samo dormitorium i w jednej komorze można ich naliczyć kilkanaście – efekt jest niesamowity, w surowym królestwie przyrody nieożywionej ze skalnych ścian „wyrastają" czarne kwiaty. Nie należy im przeszkadzać, podczas zimowych wizyt w hibernakulum najlepiej nie przystawać nawet na moment w ich pobliżu, bo ich sen, choć głęboki, łatwo przerwać, a wtedy też łatwo o chiropterologiczną tragedię. Niedźwiedź wybudzony zimą trochę pomarudzi, połazi po okolicach gawry i wróci do barłogu, żeby dospać do marca; nietoperz może już wiosny nie dożyć. Ich organizmy są na zimę otłuszczone, ale wybudzenie z hibernacji, kiedy na powierzchni panuje mróz i komara nie uświadczysz (podkowiec musi zeżreć ich parę tysięcy dziennie, żeby się nasycić), kosztuje niepowetowaną stratę energii. W jaskini panuje prawie stuprocentowa wilgotność powietrza, dzięki czemu nie usychają, ale zdarza im się zamarzać, jeśli niefartownie wybiorą nocleg zbyt blisko otworu w jaskini o dynamicznym mikroklimacie – zdarzało mi się widzieć nietoperze zatopione w lodzie.

Jaskinia jest jedną z największych sypialni **podkowca małego**, w Polsce zagrożonego wyginięciem.

Podczas akcji cyklicznego liczenia podkowców spoglądam na nie z zazdrością, pomimo tego, że są całkowicie bezbronne – ale też jedynym zagrożeniem może być dla nich zły lub głupi człowiek. Podobnie jak dla nas, którzy jednak od zła i głupoty nie możemy tak łatwo się odizolować: tymczasem pod ziemią Pegasus nie zadziała, czas z ludzkiej perspektywy właściwie stoi, tektonika pozostaje stabilna, nienaruszalna, nie ma rewolucji wśród skał, chyba że raz na milion lat, kiedy coś się zawali samoistnie. Móc się schować pod własnymi skrzydłami – to jest dopiero supermoc, tej umiejętności powinni uczyć wszyscy psychoterapeuci.

w.kuczok@tygodnikprzeglad.pl

FOT. WOJCIECH KUCZOK

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl cd394828f6

Widok na zimową, śnieżną Witoszę.

Chrystian Ślusarczyk

Bałkańskie kilometry narciarskich rozkoszy

Zimowa alternatywa nie tylko dla odkrywców

Lato na Bałkanach, zima w Tatrach. Dla wielu z nas to oczywistość. Latem doceniamy klimat Bałkanów – dlaczego nie zimą? Bałkańskie nartostrady w ostatnich sezonach rzadziej wymagały wsparcia armatkami śnieżnymi niż nasze czy alpejskie. Góry i same ośrodki narciarskie z jednej strony przypominają te alpejskie, z drugiej jednak wciąż zachowały sporo lokalnego kolorytu. Stacje narciarskie Serbii, Bułgarii czy Rumunii za sprawą powstających tam nowych dróg i autostrad bardzo ostatnio się do nas przybliżyły.

Kopaonik – zimowa wizytówka Serbii

Z krajów, które w latach 90. wyłoniły się po rozpadzie Jugosławii, turystyczny potencjał Serbii wydawał się najsłabszy. Chorwacja i Czarnogóra przyciągały wielbicieli ciepłego morza, alpejska Słowenia i olimpijskie Sarajewo – narciarzy. Serbia była uważana za kraj typowo tranzytowy. Konflikt serbsko-kosowski kryzys po wojnie na Bałkanach na długo ustawiły ją w gronie krajów mało bezpiecznych. Jednak dziś turystyka w Serbii bardzo się rozwija.

Największy i najbardziej znany ośrodek narciarski Serbii, Kopaonik, znajduje się na pograniczu z Kosowem. Stacja oferuje 68 km nartostrad o różnym stopniu trudności. W ostatnich latach ośrodek pamiętający czasy Jugosławii został dostosowany do najnowocześniejszych standardów – 97% tras ma już sztuczne naśnieżanie, a kilka nartostrad oświetlenie.

Narciarze najchętniej zjeżdżają z najwyższego szczytu Kopaonika – to Pančićev vrh, 2017 m n.p.m. Sieć wyciągów i nartostrad połączono, aby objąć jak najrozleglejszy rejon; 10 wyciągów krzesełkowych i tyle samo orczykowych w ciągu godziny może przewieźć 32 tys. narciarzy. Najczęściej Serbów i gości z byłej Jugosławii. Region poza dziewiczymi górami zachwyca też kilkoma bardzo cennymi prawosławnymi monastyrami (m.in. Studenica).

Najdłuższa gondola na świecie

Stacja narciarska Tornik i miasteczko Zlatibor w zachodniej Serbii usytuowane są w sercu łagodnych gór przypominających nasze Gorce. Jeszcze kilka lat temu znane były raczej jako ośrodki letniej turystyki górskiej. Jednak dzięki ostatnim inwestycjom Tornik stał się ośrodkiem narciarskim z prawdziwego zdarzenia. Tam właśnie otwarto najdłuższą na świecie kolejkę gondolową. Dziewięciokilometrowa Panoramska Gold łączy centrum Zlatiboru z najwyższym szczytem pasma Tornik. Prace przy jej budowie zaczęły się w 2016 r. i trwały ponad cztery lata. Inwestycja kosztowała 13 mln euro, teraz 55 gondoli, każda 10-osobowa, może przewieźć 600 narciarzy na godzinę. Cena przejazdu w obie strony wynosi 1 tys. dinarów (8,5 euro) dla dorosłych i połowę tej kwoty dla dzieci.

Z racji położenia na płaskowyżu stacja Tornik jest przeznaczona dla początkujących i rodzin z dziećmi. Poza najdłuższą gondolą na świecie może też się pochwalić sześcioosobowym wyciągiem krzesełkowym, kilkoma orczykami oraz naturalnym torem saneczkarskim.

Stolica i jej góry

Niemal dwie trzecie obszaru sąsiedniej Bułgarii zajmują góry. Otaczają także ponadmilionową Sofię. Miasto jest jedyną dużą stolicą europejską, w której sąsiedztwie znajdują

FOT. KEMPINSKI/WIKIPEDIA

eprasa.pl cd394828f6

się góry o charakterze alpejskim. Masyw Witoszy (2290 m n.p.m.), dawnego wulkanu, stanowi wizytówkę Sofii.

Miejskim autobusem dostać się możemy do Simeonowa, dziś dzielnicy Sofii, gdzie usytuowana jest dolna stacja kolejki gondolowej wywożącej narciarzy na wysokość prawie 2000 m n.p.m. Długa gondola powstała z myślą o zimowych igrzyskach olimpijskich. Sofia trzykrotnie była kandydatem do ich organizacji: w 1992, 1994 oraz 2014 r., jednak odpadała na różnych etapach rywalizacji. Niepowodzenia te spowodowały, że stacja Witosza zaczęła podupadać. Przestano dbać o infrastrukturę, zrezygnowano z nowych inwestycji. Dopiero dwa-trzy lata temu Witosza odżyła. Ośrodek, który bardziej przyciąga zaawansowanych narciarzy (jedną z nartostrad nazwano Stenata – ścianka), dziś poza kolejką gondolową może się pochwalić czterema wyciągami krzesełkowymi i 10 orczykami. Na Witoszy coraz bardziej doskwiera brak sztucznego naśnieżania. Dobra, do którego w polskich stacjach zaczynamy już się przyzwyczajać.

W masywie Witoszy mamy do dyspozycji kilkanaście schronisk. Większość znajduje się blisko nartostrad. Zimą, w razie problemów z miejscami, sensownym rozwiązaniem jest hotel w samej Sofii, nawet w centrum, np. przy głównej ulicy – bulwarze Witosza. Decydując się na chwilę wytchnienia od białego szaleństwa, warto się wybrać do cerkwi Bojańskiej (UNESCO) usytuowanej u podnóży Witoszy. To niewielka, średniowieczna świątynia, której freski datowane są na 1259 r. należą do najcenniejszych na Bałkanach.

Bansko – zimowa stolica Bułgarii

Podczas gdy o miano letniej stolicy Bułgarii rywalizują Słoneczny Brzeg i Złote Piaski, tytuł zimowej niepodzielnie należy do Banska w górach Pirin, w regionie nazywanym Macedonią Pirińską. Bansko położone jest na wysokości 950 m n.p.m. Narciarze szusować mogą z 2600 m! Jeszcze pół wieku temu miasteczko znane było tylko z hodowli zwierząt i handlu. Dziś to największy ośrodek narciarski na Bałkanach. Liczbą wyciągów i nartostrad konkuruje z niejedną stacją w Austrii czy Włoszech. Bansko to dziś 15 wyciągów, głównie krzesełkowych, i 70 km nartostrad. Jedna z najtrudniejszych, oznaczona na czarno, nosi nazwę Tomba. Należy do ulubionych tras zjazdowych słynnego włoskiego alpejczyka Alberta Tomby.

Bansko od wielu już lat organizuje zawody w narciarskim Pucharze Świata. U podnóży rozrastającej się z roku na rok plątaniny wyciągów i nartostrad powstało (i wbrew protestom ekologów wciąż powstaje) nowe miasteczko z luksusowymi hotelami i apartamentowcami. Apartamenty budują, kupują i wynajmują nie tylko zachodni inwestorzy i biznesmeni, ale także Rosjanie i Grecy.

Wielką zaletą Banska jest rzadkie połączenie długiej pokrywy śnieżnej i wielu słonecznych dni w zimie. Bliskość Morza Egejskiego gwarantuje łagodny klimat, a mrozy nie są tak dokuczliwe jak w Tatrach.

Choć inwestorzy zmienili oblicze miasteczka, starówka Banska od zawsze przyciągała gości. Stare domy otoczone duwarami (kamiennymi ogrodzeniami z czasów tureckich) to dziś albo bogate muzea, albo klimatyczne *mehany* – ludowe lokale z miejscową kuchnią. Zimowa, górska kuchnia Bułgarii znacznie się różni od tej, którą Polacy poznają latem na riwierze.

Warta odwiedzenia jest kamienna cerkiew Świętej Trójcy z 1835 r. Przyciąga bajecznie kolorowy, odnowiony ikonostas. A kamienna dzwonnica przez długie lata była wizytówką Banska. Teraz rolę dominanty przejęła infrastruktura narciarska.

Drakula miałby gdzie szusować

W Rumunii wiele małych, zapomnianych wiosek szybko przeistacza się w stacje narciarskie. Dziś działa ich 96. Najbardziej renomowane ośrodki znajdują się na południe od miasta Braszów. Prym wiedzie powstała pod koniec XIX w. Poiana Brașov (13 km od Braszowa). Stacja szczyci się 25 km nartostrad, w większości dla zaawansowanych. Kilka kilometrów na południe narciarze mają Predeal. Na tamtejszych, prowadzących przez świerkowo-jodłowe lasy nartostradach łatwo spotkać… niedźwiedzia.

Bliżej Bukaresztu, w otoczeniu majestatycznych, potężnych skał, w dolinie rzeki Prahova znajdują się kolejne ośrodki: Buşteni, Azuga i Sinaia. W tym ostatnim miasteczku zwiedzać możemy m.in. bajkowy pałac Peleş o architekturze bawarskiej, prywatną własność króla Michała I, oraz malowniczy monastyr Sinaia.

Warto zaznaczyć, że w Rumunii dojazd zimą do stacji nawet w przypadku obfitych śniegów nie stanowi większego problemu. Także do pobliskiego miasteczka Bran, gdzie znajduje się główna atrakcja regionu – znany na całym świecie zamek hrabiego Drakuli.

W zupełnie innym miejscu Karpat, w rejonie miasteczka Horezu na wschód od Bukaresztu, powstaje z kolei supernowoczesna stacja Murotti Valley. Koncepcja karpackiego kompleksu nowoczesnych willi powstała w pracowniach architektów szwajcarskich. Wkomponowane w lasy i połoniny domki znajdują się bezpośrednio przy nartostradach. W powstały z ekologicznych, trwałych materiałów ośrodek zainwestowało dwóch biznesmenów – Rumun i Irakijczyk. Jak podają rumuńskie media, w tym sezonie narciarze będą już mogli skorzystać z części ośrodka, który docelowo dysponować ma aż 50 nartostradami.

Drakula miałby gdzie szusować. Zimą na Bałkanach narciarze też nie będą się nudzić. ■

Nowy numer tygodnika „NIE”:
Poseł Gdula z przewodniczącym Tuskiem hula.

eprasa.pl cd394828f6

Śmierć za drewno

W puszczy nad Alto Tamaya i w innych częściach Amazonii rdzenni mieszkańcy pracują przy wycince w warunkach bliskich niewolnictwu

Joseph Zárate

Ci, którzy go poznali, mówią, że Edwin Chota miał szeroki, przesadny i zaraźliwy uśmiech, odsłaniający wyraźną dziurę po brakującym przednim zębie. Alberto Chota Tenazoa, jego ojciec, opowiada, że dwa lata przed tym, jak go zabito, Edwin Chota, najstarszy z jego synów, stracił ząb, kiedy jadł makaron z mięsem żółwia. „Ugryzł kawałek skorupy – wspomina staruszek – ale śmiał się tylko, wyrzucił ząb i wcinał dalej". Jaime Arévalo, myśliwy z ludu Asháninka, najliczniejszej nacji zamieszkującej peruwiańską puszczę, przypomniał sobie o tym brakującym siekaczu, kiedy wykopywał czaszkę przyjaciela. Przez cały ranek siedział z policjantami w dole wypełnionym brązową wodą, niedaleko granicy z Brazylią, w miejscu, do którego rzeka zawlekła nadjedzone przez ptaki i jaszczurki zwłoki Edwina Choty. Z tego głębokiego na 7 m zapadliska Arévalo – krępy 40-latek, doskonały pływak o mocnych ramionach – wydobył kość udową, parę żeber, postrzępioną koszulkę, podziurawiony gumiak i bransoletkę z kolorowych nasion, wciąż oplatającą kości nadgarstka. Były to szczątki jednego z jego czterech towarzyszy, zamordowanych dwa tygodnie wcześniej w niedalekim jarze. Zidentyfikował je dzięki jednemu szczegółowi: czaszce brakowało zęba.

Choć liczył sobie 53 lata, chudy jak patyk Edwin Chota był wytrwałym rolnikiem i zręcznie polował ze strzelbą. Nos miał ostry, orli, na włosach nawet śladu siwizny, skórę spaloną słońcem. Naśladował ptasie śpiewy i pomruki ocelota, dobrze grał w piłkę, tańczył *huaynos* Sósima Sacramenta i brazylijskie *forró*, wyginając swoje szczupłe ciało jak marionetkę. Kiedy Edwin Chota się uśmiechał, ten brakujący ząb, górny prawy siekacz, bardzo rzucał się w oczy. Tak samo, kiedy przeciw czemuś protestował. Jako szef Alto Tamaya-Saweto, amazońskiej osady, gdzie żyło ponad 30% rodzin, Chota – jedyny dorosły, który umiał czytać i pisać – wściekał się i wymachiwał pięściami, składając doniesienia na nielegalne wycinki drzew, wyniszczające lasy, w których mieszkali Asháninkowie. „Tylko w takich chwilach bywał poważny", opowiada Julia Pérez, wdowa. „Poza tym ciągle żartował". (…)

Żeby dostać się do Pucallpy, drugiego największego miasta peruwiańskiej Amazonii, w którym Edwin Chota się urodził i dorósł, musiał przez siedem dni płynąć łódką przez meandrującą rzekę. Odwiedzał ojca, przywoził mu żabuti, żółwia o żółtych łapach i smacznym miękkim mięsie, które stało się jego ulubioną potrawą. Ostatni raz widzieli się w Dzień Ojca; Chota powiedział wtedy, że wybiera się do Limy – może ktoś wreszcie potraktuje jego protesty poważnie. Coraz częściej grożono mu śmiercią. Ojciec błagał, żeby z nim został.

30% drewna w światowym obrocie pochodzi z nielegalnego źródła.

– Nie mogę – powiedział Chota. – Żywy z tego nie wyjdę.

Dwa miesiące później, o poranku 1 września 2014 r., grupa handlarzy drewnem zamordowała Edwina Chotę i trzech innych przywódców Asháninka – Jorgego Ríosa, Francisca Pinedę i Leoncia Quintisimę – kiedy ci przemierzali puszczę na Alto Tamaya, zdążając na zebranie organizowane po brazylijskiej stronie, którego celem była koordynacja działań na rzecz obrony ich terenów. Jedna kula kalibru 16, ze strzelby przeznaczonej do polowań na zwierzynę płową i małpy, przeszyła mu pierś. Druga głowę. Myśliwy Arévalo, który wyruszył na to spotkanie wcześniej, widząc, że jego towarzysze się nie zjawiają, wracał tą samą drogą. Pięć dni później znalazł ciała w jarze oddalonym 12 godzin drogi od granicy – kiedy wrócił tam z policją, zastał już tylko kości – i uciekł do swojej osady, bojąc się, że zabiją i jego. Cztery wdowy i dzieci zamordowanych przywódców trzy dni bez przerwy płynęły do Pucallpy łódką, żeby złożyć doniesienie. W Saweto nie ma policji. Radio z dwoma kanałami, którym dysponują – jedyny ich kontakt ze światem – działa kiepsko.

Gdy Edwin Chota pojechał do Limy ostatnim razem, żeby złożyć doniesienie na grożących mu śmiercią handlarzy drewnem, zadzwonił na komórkę swojego 82-letniego ojca i obiecał, że go odwiedzi. Wcześniej zostawił mu na pamiątkę swoją fotografię. (…) „Żebyś, jeśli coś mi się zdarzy, mógł na mnie patrzeć" – powiedział, wręczając ojcu fotografię, a potem się pożegnał. (…)

Spośród wszystkich amazońskich narodów to Asháninkowie ucierpieli najbardziej w wyniku starć Peruwiańskich Sił Zbrojnych i oddziałów

eprasa.pl cd394828f6

Edwin Chota (w białej koszulce), przywódca Asháninka, stanął twarzą w twarz z drwalem, który prowadził nielegalną wycinkę na ziemi tradycyjnie należącej do plemienia. 2011 r.

Świetlistego Szlaku. Jak wynika z raportu Komisji Prawdy i Pojednania, ponad 30 osad zniknęło, ok. 10 tys. Indian wysiedlono, 5 tys. porwano, a 6 tys. zamordowano (to mniej więcej 10% wszystkich ofiar śmiertelnych konfliktu). Choć zdaniem antropologa Óscara Espinozy, autora rozdziału poświęconego masakrze Asháninków z raportu Komisji, te dane nie mówią wszystkiego. Wspomina on, że kiedy prowadzono dochodzenie, brakowało środków i łodzi, żeby dotrzeć do wszystkich amazońskich osad. Ograniczono liczbę stron, usunięto szczegóły, opowieści, opisy przypadków. Krewni ofiar nie chcieli rozmawiać.

– Matka Asháninka nie może wypowiedzieć imienia zmarłego syna. Wierzy, że jeśli to zrobi, jego dusza nie trafi do nieba – opowiadał mi pewnego ranka Espinoza w swoim gabinecie na Pontyfikalnym Uniwersytecie Katolickim Peru. – Asháninkowie nie chcą rozmawiać o nieżyjących.

W odróżnieniu od innych narodów, które podbiły jakieś tereny, Asháninkowie są wojownikami specjalizującymi się w obronie: od dziecka uczą się najpierw uchylać przed strzałami, a dopiero potem strzelać. Gdy jednak zostają zaatakowani, gdy ktoś najeżdża ich ziemie, okazują się najbardziej wojowniczymi – i najsprawniejszymi w użyciu łuku i strzały – wojownikami spośród wszystkich 51 amazońskich narodów żyjących w Peru.

Asháninkowie unikają konfliktów. Kiedy Indianin zezłości się na sąsiada, idzie sam w las, żeby się uspokoić, a potem wraca i rozmawia. Dla Asháninki – słowo to w ich języku oznacza „nasi bracia" – nie ma nic gorszego niż znienawidzić czy zabić członka rodziny.

Indiańskim przywódcom i urzędnikom grozi się i bywają zabijani, jeśli nie chcą przyjmować łapówek.

Asháninkowie dzielą się jedzeniem. Kiedy ktoś odwiedza czyjś dom, bez pytania podaje mu się *masato* – sfermentowany napój z przeżutej juki – oraz jedzenie. 80% ich diety stanowią banany, kukurydza, kakao, bataty i fasola oraz inne uprawiane przez nich rośliny. Tam, gdzie mieszkają, ani ziemia uprawna, ani tereny łowieckie i rzeki z rybami nie mają właściciela. Koncept prywatnej własności jednostki jest im obcy.

Wszyscy Asháninkowie są dla siebie wujkami, kuzynami albo bratankami. Wszyscy są rodziną. Nieważne, że należą do innej społeczności albo że noszą inne nazwisko. Tu nie ma genealogii ani klas. Ich zachodnie nazwiska – Arévalo, Pérez, Ríos – pochodzą od dawnych właścicieli ziemskich, dla których pracowali, i od misjonarzy, którzy ich chrzcili w ten sposób, żeby łatwiej zapamiętać. Urzędnicy od spraw cywilnych także często zmieniali im imiona i nazwiska dla własnej wygody.

Na czele wspólnoty Asháninków stoi przywódca. Zwykle jest to człowiek, który wyróżnia się siłą charakteru i perswazji.

– Nie musisz być Asháninką, żeby zostać przywódcą, wystarczy, że nas kochasz, że kochasz naszą kulturę – mówi Ergilia Rengifo, była teściowa i sąsiadka Choty. – W końcu ludzie są tacy sami.

Elektryk Edwin Chota nie mówił płynnie językiem asháninka, ale zdołał tak zorganizować tę społeczność, że zyskała znacznie więcej niż paczki żywnościowe z programów pomocowych. Podczas pierwszych lat jego przywództwa Saweto zostało zelektryfikowane dzięki panelom słonecznym, pojawiły się tam dwukanałowe radio umożliwiające kontakt z miastem, spory zbiornik na wodę oraz szkoła dla małych dzieci. Mieszkańcy po raz pierwszy dostali dokumenty potwierdzające tożsamość: teraz istnieli już jako obywatele.

Przed śmiercią Chota zajmował się budową lokalu na szkołę podstawową, która jak dotąd działała u niego w domu. Wszystko to osiągnął dzięki uporczywym zabiegom u władz miejskich, regionalnych, wsparciu różnych organizacji oraz w porozumieniu z Asháninkami z osady Apiwtxa, z brazylijskiego stanu Acre w sprawie wspólnego dozoru nad lasem po obu stronach granicy. Chota chciał także tego, co brazylijscy Indianie już posiadali: hodowli ryb oraz żółwi

FOT. ALEX WEBB/MAGNUM PHOTOS/FORUM

eprasa.pl cd394828f6

na jaja, uprawy kwiatów na eksport oraz ponownego zalesiania terenów wyrębu. Apiwtxa stanowiła dla niego przykład „rozwoju". (…)

Od końca lat 90. Edwin Chota i Asháninkowie z Saweto patrzyli bezsilnie, jak grupy uzbrojonych w maczety i strzelby drwali szabrują ich drzewa. Ścinali je w górnym biegu rzek Alto Tamaya i Putaya i spławiali przez ponad tydzień do tartaków w Pucallpie.

Kiedy Chota składał doniesienia, władze odpowiadały, że inspektorzy zajmą się sprawą tylko wtedy, kiedy opłaci im się łódkę, jedzenie i paliwo potrzebne do podróży w puszczę.

– Kto nas obroni? Kto obroni nasz las? – pytał Chota przy kilku dziennikarzach „The New York Timesa", którzy przyjechali do tartaku, żeby zbadać temat handlu drewnem. – Grożą nam śmiercią. Śmierć, bardzo proszę. Tutaj nie ma prawa. Nie ma pieniędzy na śledztwo. Pieniądze są tylko na niszczenie. (…)

Jedno obalone w peruwiańskiej puszczy drzewo dostarcza mniej więcej trzy kubiki wysokojakościowego drewna na eksport. Mafiosi zacierają ręce: jeden kubik mahoniu to 1,7 tys. dol. Kubik cedru – 1 tys. A kiedy to drewno trafia na amerykański rynek, ceny się potrajają. 30% drewna w światowym obrocie pochodzi z nielegalnego źródła. Chodzi tu więc o biznes, w którym – jak wynika z oenzetowskiego programu na rzecz środowiska – w skali roku przepływają nawet 152 mld dol., czyli dwa razy tyle, ile Apple, Google i Facebook zarobiły w sumie w 2017 r. I nie ma takiego ryzyka jak na giełdzie: badania przeprowadzone w Brazylii, na Filipinach, w Indonezji i w Meksyku wykazały, że prawdopodobieństwo ukarania winnych przestępstw związanych z nielegalnym wyrębem jest mniejsze niż 0,082%. Dzieje się tak przede wszystkim w krajach niewydolnych, skorumpowanych albo ogarniętych polityczną przemocą.

Nielegalny wyrąb z pozoru nie ma tak kryminalnego charakteru jak handel narkotykami. Podczas gdy kokaina powoduje uzależnienie, amazońskie drewno używane jest do budowania domów, stołów, krzeseł i innych mebli. Niewielu wie, że w puszczy nad Alto Tamaya, tak jak i w innych częściach Amazonii, rdzenni mieszkańcy pracują przy wycince w warunkach bliskich niewolnictwu; że kucharki w obozach dla pracowników są gwałcone przez drwali; że indiańskim przywódcom i urzędnikom grozi się i bywają zabijani, jeśli nie chcą przyjmować łapówek. ONZ uważa handel drewnem za analogiczny do handlu „krwawymi diamentami", z którego w Afryce finansowano wojny i masowe łamanie praw człowieka. Mimo to władze Pucallpy, miasta zbudowanego przy samej puszczy, wciąż tylko gromadzą doniesienia, których nikt nie sprawdza. Żaden przedsiębiorca leśny w Peru nie został jeszcze ukarany więzieniem za nielegalny wyrąb czy handel.

– Tutaj to, co nielegalne, staje się legalne. Łapówkami i sztuczkami można osiągnąć wszystko.

Fragmenty książki Josepha Zárate *Wewnętrzne wojny*, przeł. Tomasz Pindel, Post Factum/Sonia Draga, Katowice 2021

eprasa.pl cd394828f6

Jacek Izydorczyk: bez ostatniego rozdziału

Jacek Izydorczyk w 2019 r. został odwołany ze stanowiska ambasadora RP w Japonii, jak dziś się przekonujemy na podstawie wyciągniętych z kapelusza zarzutów. Odwołaniu towarzyszyła zniesławiająca go kampania plotek.

Od tego czasu Izydorczyk walczy o swoje dobre imię. Pisaliśmy już o tym, warto więc sprawdzić, jak te sprawy przebiegają.

Jednym z głównych pretekstów do odwołania Izydorczyka był zarzut, że jeździł z żoną na spotkania oficjalne poza Tokio, na które był zaproszony razem z małżonką. I że kupował jej na koszt ambasady bilety kolejowe i lotnicze. Chodziło o sześć podróży, koszt tych biletów w sumie to równowartość… niespełna 5,5 tys. zł.

Tę „nieprawidłowość" wykryły dwie trzyosobowe komisje, które w tej sprawie przylatywały do Tokio z Warszawy. Pomnóżmy cenę biletu (w klasie biznes dla jednej osoby sięgać może 30 tys. zł) przez sześć, dodajmy do tego koszt hoteli i diet i okaże się, że dwie delegacje do Tokio kosztowały polskiego podatnika kilkaset tysięcy złotych! Co więcej, kontrolerzy zostali wysłani do Japonii po tym, jak w MSZ zdecydowano o odwołaniu Izydorczyka i wniosek w tej sprawie był już u prezydenta.

Do tego doszła kampania zniesławiania. I różni hejterzy, a także wiceministrowie Marcin Przydacz i Paweł Jabłoński mniej lub bardziej otwarcie sugerowali, że za odwołaniem ambasadora kryją się sprawy finansowe.

On sam z kolei bronił się, opisując skandaliczne zachowanie dyrektora generalnego MSZ Andrzeja Papierza w japońskiej świątyni.

Wszystko to skończyło się serią pozwów i doniesień do prokuratury.

Co dalej?

Sprawy przeciwko Izydorczykowi, które wytoczyła ambasada RP w Japonii, utknęły w martwym punkcie. Nic wokół nich się nie dzieje. Ewidentnie widać, że MSZ chciałoby je zamknąć i zapomnieć o tym wszystkim.

Ale takie rozwiązanie nie odpowiada Izydorczykowi, który nie chce żyć z piętnem oszusta. Broni się więc na sądowych i prokuratorskich frontach. Z różnym powodzeniem – bo sprawy, które wytoczył wiceministrom Przydaczowi i Jabłońskiemu, sąd w I instancji umorzył z uwagi na niską szkodliwość społeczną.

Ciekawa jest za to sytuacja na innym froncie. Otóż Izydorczyk złożył pozew do sądu pracy. Domaga się w nim unieważnienia ocen pracy ambasady w Tokio za rok 2018 i za pierwsze półrocze roku 2019, sporządzonych przez centralę MSZ. Jak twierdzi, oceny te były fałszywe, bez oparcia w faktach, a posłużyły jako ważny argument, by go odwołać. Dlatego domaga się ich zmiany.

Kierując pozew do sądu pracy, Izydorczyk opatrzył go załącznikami, m.in. dodał kilka zdjęć. I jakież było jego zdziwienie, gdy dostał z sądu odpowiedź z prośbą o załączenie wspomnianych zdjęć, gdyż sąd w przesyłce ich nie znalazł. Ewidentnie „ktoś" korespondencję przeglądał, wyjął zdjęcia i już ich nie włożył do koperty.

Izydorczyk zresztą nie ukrywa, że ma wrażenie, że w jego sprawach (ma ich ponad dziesięć, w sądach i w prokuraturze), aparat państwa jest przeciwko niemu i ktoś tymi działaniami dyskretnie kieruje. Żeby chronić Andrzeja Papierza i jego ludzi. Bo jedne sprawy są umarzane, drugie chowane do szuflady, w jeszcze innych urzędnicy odmawiają wykonania wyroku sądu.

„Oni myślą – mówi Izydorczyk – że albo się zmęczę, albo umrę na zawał, albo popełnię jakiś błąd, zdenerwuję się, powiem coś za dużo. Bo tak kończą się ludzie. Mówią jedno słowo niepotrzebne, a wtedy prokurator wszczyna postępowanie z artykułu 226 – znieważenie funkcjonariusza publicznego. Zapadają wyroki bez zawieszenia i ludzie idą do więzienia. Ja na pewno się nie zmęczę. Na pewno będę uważał na słowa. I na pewno będę zbierał dokumentację prowadzonych spraw – z nazwiskami prokuratorów, sędziów, urzędników i decyzjami, pod którymi widnieją ich podpisy. Żeby do tych spraw zawsze można było wrócić". *RW*

Marsz upamiętniający 30. rocznicę zakończenia wojny domowej (1979-1992) w Salwadorze, San Salvador, 16 stycznia 2022 r.

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl cd394828f6

JOLKA

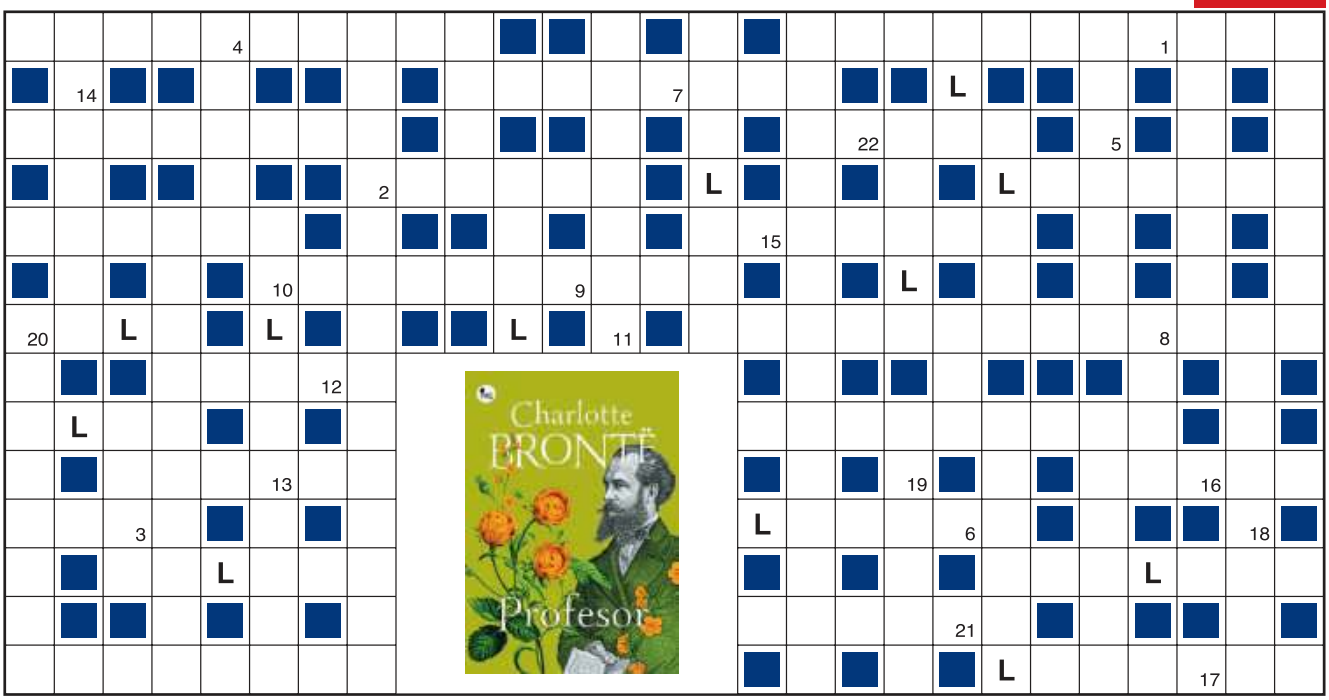

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery L ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 22 utworzą końcowe hasło.

- …Sari, czyli Jadwiga Szajer
- *a cappella* – bez niego
- angielskie piwo jasne
- posąg muskularnego mężczyzny jako podpora
- ...i higiena pracy
- sakrament lub bojowy
- jednostka o skrócie dag
- grube deski, belki w konstrukcjach nośnych
- Zygmunt lub Tuba Dei
- imię autora „Siódmego wtajemniczenia”
- przednia część koszuli męskiej
- traktowanie lekceważąco, jak zabawę
- papier – origami, kwiaty – ?
- rybio o wigorze
- …z Rosetty – klucz do odczytania hieroglifów
- grupa rockowa jak stan w USA
- straszny w „To” Kinga
- pierwsza powieść sensacyjna Joanny Chmielewskiej
- półwysep z Symferopolem
- wbija do bramki nie krążek, lecz piłeczkę
- „Przerwana... muzyki” z Winoną Ryder
- imię rzeźbiarki Nitschowej
- ośla – dla początkujących narciarzy
- krętactwo, oszustwo
- towarzyski bywa nazywany sparingiem
- mebel do kąta
- był stolicą Królestwa Obojga Sycylii
- czubek buta
- obdartus, obszarpaniec
- o długiej wędrówce obfitującej w przygody
- zakonnicy z Jasnej Góry
- „…kobiet” Boya-Żeleńskiego
- goguś, strojniś
- odgłos nadchodzącej burzy lub dezaprobaty
- umyślny, kurier
- „...z Narbony” Juliana Stryjkowskiego
- w dłoni pingpongisty
- piłkarski klub z Madrytu
- trofeum wojenne Indian
- scenka kabaretowa
- świętuje imieniny
- Warszawa, Berlin lub Paryż
- futerał na nie to kołczan
- nuta z podwójną chorągiewką
- bywa trwały na zdrowiu
- Gavrilo Princip lub Ignacy Hryniewiecki
- uczucie obawy, niepewności
- pasy dla pieszych

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem: „JOLKA-1049”. Do rozlosowania książki „Profesor” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu, pisząc SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 30 stycznia 2022 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1046” z nr. 2: *Dobroć nie zna granic.*

Nagrody otrzymują: Ryszard Kiełczewski z Tychów, Marek Masłowski z Buska-Zdroju, Kazimiera Szota z Czeladzi.

eprasa.pl cd394828f6

PENETRACJE

DZIENNIK GAZETA PRAWNA

RAFAŁ WOŚ, PUBLICYSTA

Gdy się czyta „Wybór", rozmowę (a właściwie przyjacielską pogawędkę) walczącego o przywództwo opozycji Donalda Tuska i pisarki Anne Applebaum, można odnieść wrażenie, że liberałowie są dziś w lesie. Powtarzają w kółko zgrane i wyświechtane slogany. Nie widać chęci krytycznego zderzenia się ze słabościami własnego obozu. Jeszcze bardziej dojmująca jest bezradność wobec wyzwań, przed którymi stoją dziś Europa i świat. W świecie, który nam proponują Tusk i Applebaum, nie ma wiele autorefleksji. Za to jest dużo pohukiwania na myślących inaczej niż oni.

KRAKÓW

JACEK DUKAJ, PISARZ

Generalny kierunek przemian wyznaczają: rosnąca kontrola państwa i wielkich korporacji nad ludźmi, przenoszenie pracy i życia z realu do sieci, dewaluacja pieniądza fiducjarnego i przechodzenie do cyfrowego systemu finansowego, zanik klasy średniej i jej prywatnej własności, koniec globalizacji w przestrzeni fizycznej, upadek Pax Americana i otwarcie epoki dominacji Chin, przyjęcie jako modelu bezalternatywnego rządów technokratycznych elit. Na Wschodzie mogą one rządzić otwarcie, a na Zachodzie – za pomocą coraz celniejszego pobudzania emocjonalnego mas przez media i coraz ściślejszego reżyserowania teatru demokracji.

TYGODNIK ANGORA

MARIANNA SCHREIBER, ŻONA POLITYKA PiS

Polityka podzieliła mnóstwo rodzin w Polsce i uważam, że trzeba o tym mówić. Kiedy konsekwentnie odbierano mi szansę bycia kimkolwiek innym niż tylko uległą żoną ministra z PiS, w końcu coś we mnie pękło. Uznałam, że muszę zawalczyć o siebie. I nie uważam, żebym przekraczała jakieś granice. Dlaczego mam się ograniczać w mówieniu prawdy i pokazywaniu problemów, które z pewnością dotyczą wielu rodzin? Tylko dlatego, że moim mężem jest znany z telewizji wpływowy polityk?

19 stycznia setne urodziny świętował Ignacy Golik, dziennikarz, były więzień niemieckich obozów, m.in. Auschwitz i Sachsenhausen, rodowity warszawiak. Przed wojną uczęszczał do Liceum im. Tadeusza Czackiego. Za działalność w ruchu oporu w 1941 r. został aresztowany przez gestapo i wraz z bratem przewieziony do więzienia na Pawiaku, a następnie do KL Auschwitz, gdzie otrzymał numer 9898. Po wojnie aż do 1998 r. pracował jako dziennikarz w „Trybunie Ludu", „Expressie Wieczornym" i Polskiej Agencji Prasowej. Był autorem wielu reportaży i informacji o tematyce stołecznej. Od ponad 70 lat należy do stowarzyszeń dziennikarskich, obecnie do Stowarzyszenia Dziennikarzy Rzeczypospolitej Polskiej. Serdeczne życzenia, Drogi Jubilacie.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

Aby język giętki…

PROF. JANUSZ CZAPIŃSKI O PiS

Pisizm był w Polsce zawsze. I będzie. Ale Polska nie jest pisowska.

MICHAŁ SZPAK O PRAWICY

W tym środowisku jest bardzo wielu homoseksualistów, więc czasami czuję się jak w matriksie.

ANDRZEJ STASIUK O BLUŹNIERSTWIE

Bluźnierstwo nie istnieje. Jak można obrazić Boga, który jest największy na świecie i ma wszystko pod sobą?

LUDWIK DORN O SZYMONIE HOŁOWNI

W kategoriach wyborczych Hołownia jest prawdziwym przeciwnikiem Tuska i robi wszystko, by nie dać mu się przytulić.

MAREK BOROWSKI O PŁACACH

Presja płacowa narasta, ale za rosnącymi zarobkami nie nadąża tempo wzrostu wydajności.

IRENA SANTOR O ZAKONIE

Jak patrzyłam na św. Teresę w habicie, z różami, to chciałam pójść do zakonu i zostać świętą. Na szczęście nikt mnie nie chciał przyjąć.

KATARZYNA NOSOWSKA O NAIWNOŚCI

Młodzi ludzie są na tyle naiwni, że myślą, że mogą wszystko. A ja nie myślę, ja wiem.

ANDRZEJ SIKOROWSKI O KRAKOWIE

To dzisiaj miasto koteryjne, grajdołkowate, wciąż pod zbyt silnym wpływem kurii, ale ja ten grajdół kocham.

TOMASZ ORGANEK O NAJPROSTSZEJ PRAWDZIE

Codziennie trzeba żyć z ludźmi tak, jakbyśmy mieli się żegnać.

ADAM FERENCY O USZCZYPLIWOŚCI

Myślę, że człowiek inteligentny jest uszczypliwy. A ja mam się za inteligentnego.

MAJA KLECZEWSKA O ZBAWIKSIE

Większość z nich nie jest zdolna do żadnych poświęceń. Nie są nawet zdolni do działania! Tylko narzekają nad sałatką z jarmużu. Mają usta pełne frazesów.

eprasa.pl cd394828f6

MEMY BEZ ŚCIEMY

ŚWIAT SIĘ KRĘCI

Wypalenie zawodowe – stadium zaawansowane

Brytyjski chirurg stracił prawo do wykonywania zawodu, gdy wyszło na jaw, że wypalił swoje inicjały na wątrobach dwóch pacjentów. Postępki Simona Branhalla odkryto, gdy jego ofiary zostały poddane ponownym zabiegom. Lekarz, którego ukarano także grzywną i pracami społecznymi, przyznał się do winy. Podczas śledztwa zeznał, że podpisywał się na organach, by złagodzić stres, jaki odczuwał podczas wielogodzinnych operacji. A to interesujący sposób na relaks *nomen omen* sobie zorganizował...

Blacha zdobi człowieka?

Balwinder Sahni, prezes dubajskiej firmy z branży nieruchomości, wydaje miliony na... prestiżowe numery rejestracyjne. Prawo do posługiwania się jednocyfrową tablicą z numerem 5 kosztowało go niemal 9 mln dol., a w kolekcji ma także m.in. tablicę z dziewiątką, która uszczupliła jego przepastny budżet o marne 6,5 mln zielonych. Bez wątpienia było warto, bo jak mawiają w rejonie Zatoki Perskiej: pokaż mi swoje blachy, a powiem ci, kim jesteś!

Ciszej nad tą muszlą

Głośne spuszczanie wody w toalecie narusza prawa człowieka – orzekł po trwającej 18 lat batalii prawnej włoski Sąd Najwyższy. Para z miasta La Spezia, której łóżko jest oddzielone od WC sąsiadów jedynie cienką ścianą, żądała od nich rozwiązania problemu hałasu oraz rekompensaty finansowej. Po kolejnych zwrotach akcji ostatecznie sąd najwyższej instancji uznał, że pieniądze małżonkom po prostu się należą, a w swoim rozstrzygnięciu powołał się na prawo do poszanowania zwyczajów codziennego rodzinnego życia, gwarantowane przez Europejską Konwencję Praw Człowieka. Nie zapominajmy też o przykazaniu: nie spłukuj drugiemu, co tobie niemiłe.

Czytajcie, a znajdziecie

Wykładowca Uniwersytetu Tennessee w pomysłowy sposób udowodnił, że studenci w najlepszym razie pobieżnie czytają sylabus prowadzonego przez niego przedmiotu. Zawarł w nim krótką instrukcję, jak niewielkim wysiłkiem wzbogacić się o 50 dol. – wystarczyło odnaleźć konkretną szafkę na kampusie. Przez cały semestr banknot nie znalazł nowego właściciela, mimo że grupa kursantów liczyła 70 osób. – Powszechnie wiadomo, że nikt nie czyta sylabusów. To trochę jak lista warunków użytkowania podczas instalowania programu komputerowego. Każdy klika, że ją przeczytał, choć nikt tego nie zrobił – skomentował prof. Kenyon Wilson. Znamy lepszą analogię: parlamentarzyści przysięgający, że będą „przestrzegać Konstytucji i innych praw Rzeczypospolitej Polskiej".

Poważnie?

W obwodzie rostowskim w południowej Rosji zabroniono śmiania się i wznoszenia okrzyków podczas ślubów cywilnych. Jak uzasadniono, „można się uśmiechać, ale w ceremonii nie ma nic śmiesznego. To podniosła, delikatna okazja". Na liście zakazów dla osób uczestniczących w uroczystościach ślubnych znalazło się także m.in. noszenie dużych toreb i plecaków oraz posiadanie brudnego obuwia. Mówiąc Wyspiańskim: trza być w (czystych) butach w urzędzie!

Łapaj pokemona!

Dwóch policjantów z Los Angeles zostało zwolnionych ze służby za to, że zamiast ścigać uciekających przestępców, uganiali się

eprasa.pl cd394828f6

Matka z młodymi w Parku Narodowym Wapusk w Kanadzie wyrusza w ponad 60-kilometrową podróż do Zatoki Hudsona. Tam nauczy je polować na foki.

za wirtualnymi potworkami w popularnej grze mobilnej Pokémon Go. Louis Lozano i Eric Mitchell byli na patrolu, gdy okradziono dom towarowy Macy's. Przegląd nagrań z kamery samochodowej mundurowych udowodnił, że zignorowali wezwanie do pościgu, a pięć minut później ruszyli schwytać znajdującego się w pobliżu stosunkowo rzadkiego Snorlaxa. Tak to się często kończy, gdy funkcjonariuszem zostaje się nie z powołania, ale z łapanki.

Co za dużo, to... zdrowo?

Emerytowany listonosz z indyjskiego stanu Bihar uzależnił się od... szczepionek przeciwko COVID-19. Brahmdeo Mandal przyjął 11 dawek, co było możliwe dzięki niedoskonałości systemu ewidencyjnego; wpadł przy 12. próbie. Oprócz dwóch dawek, które mu się należały, siedem mężczyzna wyłudził na ten sam dowód osobisty, a w pozostałych przypadkach użył innych dokumentów. Fanatyk szczepień, który zanim podjął pracę doręczyciela, był znachorem w swojej wiosce, przekonuje, że dzięki nim m.in. pozbył się bólu kolan, jest silniejszy i ma lepszy apetyt. Ciekawe, ile dawek uzdrowiłoby Pocztę Polską?

FOT. POLSKA ORKA POLITYCZNA (3), SEKCJA GIMNASTYCZNA, SOLENT NEWS/EAST NEWS

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego:
Paweł Dybicz **e-mail:** p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępcy redaktora naczelnego:
Roman Kurkiewicz **e-mail:** r.kurkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Robert Walenciak **e-mail:** r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca redaktora naczelnego – sekretarz redakcji:
Joanna Wielgat **e-mail:** j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl
Sekretarz redakcji: Agata Gogołkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków), Anna Brzeska, Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra), Paweł Drąg, Jakub Dymek, Beata Dżon (Wiedeń), Beata Igielska, Leszek Konarski (Kraków), Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork), Paula Leśniewska, Maja Marklowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Marcin Ogdowski, Jan Ordyński, Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz), Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Anna Banaszek **e-mail:** a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Agata Mierzejewska **e-mail:** a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
Koordynator ds. innowacji i mediów społecznościowych:
Sandra Zawadzka **e-mail:** s.zawadzka@tygodnikprzeglad.pl
Koordynator ds. komunikacji i PR:
Piotr Ciszewski **e-mail:** p.ciszewski@tygodnikprzeglad.pl
Sekretariat fundacji i redakcji:
Izabela Strupiechowska
Dział Kolportażu:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.
Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGLĄDZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.
Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120
WYDAWCA:
Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, **IBAN:** PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

FUNDACJA ORATIO RECTA

eprasa.pl cd394828f6

Rafał Olbiński w Pekinie – 9. Biennale Sztuki „Duch Europy”

Po raz pierwszy na międzynarodowym biennale sztuki prace artystów z Unii Europejskiej, w tym malarstwo, kolaż, wideo i instalacje, zostały zebrane na wspólnej wystawie w jednym z czterech oficjalnych pawilonów Międzynarodowego Biennale Sztuki w Pekinie. Nasz kraj reprezentuje Rafał Olbiński.

Jak podkreśla Lucia Sollinger, kurator biennale, sztuka jest potężnym narzędziem, które może zmienić sposób, w jaki myślimy i działamy. Ta wystawa jest inspirowana tą szeroką i mocną koncepcją sztuki. Czy sztuka może pomóc nam myśleć i działać jako obywatelom Europy? Czy uda się zdefiniować nas jako odrębny byt kulturowy? Czy ta wspólna wystawa w Chinach może nam pomóc w dążeniu do jedności? Krótko mówiąc, czy istnieje coś takiego jak „duch europejski”? Właśnie z myślą o tych pytaniach, jako eksperyment, powstała ta wystawa sztuki europejskiej w Pekinie.

Wystawa będzie trwała do 1 marca

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl cd394828f6

REŻYSERIA
EWA KONSTANCJA BUŁHAK

BLIŻEJ CHMUR ZARAZ SPADAM

PREMIERA: 22 STYCZNIA 2022

SPEKTAKLE: 23 – 26 STYCZNIA, 17 – 19 LUTEGO

TEATR COLLEGIUM NOBILIUM

ul. Miodowa 22/24 | 22 635 99 39
Kasa czynna:
wt-pt 15.00-19.00
sb-nd 15.00-17.00
lub do rozpoczęcia spektaklu
ewejsciowki.pl / KupBilecik.pl
eBilet.pl
www.tcn.at.edu.pl

patroni medialni

partnerzy teatru

COLLEGIUM NOBILIUM
TEATR

05-68_Aurora Wszystko poszło dobrze.indd 68 eprasa.pl/394828f6 21.01.2022 14:40:45